



**PROWOKATORA
- ROZMOWA
Z REŻYSEREM
JANEM KLATĄ**
s. 48.



**NIE MUSI BYĆ
HORROREM.
JAK WYBRAĆ
NAJLEPSZE?**
s. 60.



**ZOSTAĆ
W DOMU!
- WIZYTA
PREZYDENTA
W USA** s. 28.

**Kupon
rabatowy
20% na sprzęt
narciarski**
s. 73.

Najsztub pyta:

PRZE KROJ

HAUSNER ODLATUJE W IDEALIZM

3113 • 17 lutego 2005 • cena 4,50 zł



**WIETNAMCZYCY
UCIEKAJĄ
Z POLSKI**
s. 34.



**CZY JUŻ
DALEŚ SIĘ
ZROBIĆ
W VIP-A?**
s. 54.

ISSN 0033-2488



08

770033 248502
Indeks 371424

GE Money Bank


„Znalazłem bank,
który sfinansował to,
co chciałem.”

Nowy samochód? Tak. Wyprawka dla dziecka? Tak.
A może większe mieszkanie? Tak, to jest możliwe.
Z GE Money Bank.

Infolinia: 0-801 889 889

(całkowity koszt połączenia jest równy cenie jednego impulsu taryfy lokalnej)



 GE działamy z wyobraźnią

na Czwartek **RACZKOWSKI**



w tym tygodniu **NIE PISZEMY:**

...o **Andrzeju Lepperze**, który zapowiedział, że Samoobrona organizuje blokady dróg dla wsparcia żądań protestującej służby zdrowia. Bo to tak, jakbyśmy nagle przed wami odkrywali, że zimą śnieg pada.

...o **bardzo byłym sekretarzu** redakcji „Tygodnika Solidarność” Krzysztofie Wyszkowskim, który ma teraz swoje pięć minut publicznej sławy (choć nie chwwały) – dopuszczony do wizji i eteru wreszcie może ujawnić wszystkich agentów, których spotkał na jawie i nie tylko. Bo pięć minut, jak to pięć minut – minie bezpowrotnie, zanim coś o tym warto będzie pisać.

...o **pośle Ligi Polskich Rodzin** Witoldzie Hatce, który gdzieś w grudniu przeniósł biuro poselskie (wraz z przysługującym

mu sejmowym komputerem, telefaksem i kserokopiarką) do własnego mieszkania, ale nie bardzo się tym chwali, nawet sąsiadom. Bo nie ma się co czepiać: poseł Hatka to w tej Lidze z pewnością jest pierwsza liga, a te 10 tysięcy złotych od Sejmu, przeznaczone na utrzymanie biura, zostanie przecież w rodzinie, polskiej rodzinie.

...o **tym, że zdaniem** przewodniczącego Solidarności Janusza Śniadka sprawa finansów związku to „temat intymny”: „Nie rozmawiam o tym nawet z żoną, tym bardziej nie chcę prowadzić dyskusji na łamach prasy”. Bo to bardzo dobrze, że na czele Solidarności stoi człowiek dyskretny. I taki, który pamięta, że kiedyś związek nazywano

„sentymentalną panną S”. A czy może być coś bardziej intymnego niż rozmowa o finansowaniu panny? Zwłaszcza dla żonatego?

...o **Waldemarze Pawlaku**, który nabiera wigoru po powrocie na fotel prezesa PSL i zaczyna mówić, choć nie musi. Bo niestety, mówi jak kiedyś – zapytany o kandydowanie w wyborach prezydenckich, odrzekł precyzyjnie: „Jest taka opcja, ale jeszcze za wcześnie, by o czymkolwiek przesądzać”; sprawę listy Wildsteina skomentował z chłopską prostotą i takąż wyobraźnią: „IPN powinien opublikować własną listę agentów wraz z komentarzem, bo to, co się teraz dzieje, to jest kosmos”. W każdym słowie czuje się męża stanu. Nieważności.

CYTAT tygodnia

Istnieje coś takiego jak dyskretny urok faktów dokonanych

– LUDWIK DORN
poseł Prawa
i Sprawiedliwości, wzywający
do jak najszybszego przyjęcia
nowej ustawy lustracyjnej





Fot. CORBIS/FREE

Fot. BE&W (2)

60

Metoda na przedszkole

POWIĘKSZENIE

6 ROK ŻYWIÓŁÓW

NAJSZTUB PYTA

12 DRUŻYNA PIERŚCIENIA
Ja bardzo starannie, bardzo konsekwentnie powiem jeszcze więcej: niezwykle pracownicy próbują to państwo zmienić – mówi Jerzy Hausner

PRZEKRÓJ TYGODNIA

16 KRAJ
18 ZAGRANICA

BIZNESMAGAZYN
MOSZA

20 GOSPODARKA JAK CYRK
Gospodarka unijna, jeśli chce sprostać konkurencji, musi być jak wędrowny cyrk

A WŁAŚCIWIE TO...

24 KOMENTARZE PIOTRA
NAJSZTUBA I WAWRZYŃCA
SMOCZYŃSKIEGO

ALE O CO CHODZI

26 UCIECZKA PRAWICY
Będą wszystko lustrować, ale co z gospodarką?

ANALIZA

28 SOJUSZ ZŁUDZEN
Prezydent Kwaśniewski w Ameryce, zamiast dbać o wizerunek Polski, walczy o wizy

KRAJ

30 W CZERAZ I DZIŚ AGENTA
Tajny współpracownik rozszyfrowany!

32 OSTRA ZIELEŃ ŻĄDA TRAWY
Jak minister Balicki z ludem o marihuanie debatował

TEMAT „PRZEKROJU”

34 BYE, BYE, BA LAN
Wietnamczycy żegnają się z (k)rajem nad Wisłą

ZAGRANICA

40 PORA NA PUTINA
Młodzi rosyjscy zapaleńcy chcą powtórzyć ukraińską pomarańczową rewolucję. Ale Moskwa to nie Kijów. Na razie?

44 WISZNU MÓWI DOŚĆ
Królewski zamach stanu w Nepalu

LUDZIE

46 ROTHSCHILD, ZBAWCA LEWAKÓW
Potomek bankierskiego rodu zakłada imperium medialne. Zaczął od kupna trybuny francuskiej lewicy

48 W OKU SALONU
Strzeżcie się, filistrzy! Nadchodzi Jan Klata, dzięki człowiek polskiego teatru

52 KÓŁKAMI OPĘTANY
Robert Kubica pędzi do Formuły 1. Szerokiej drogi!

OBYCZAJE

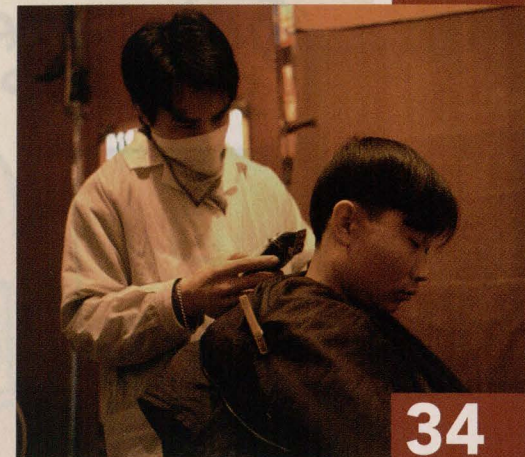
54 FULL VIP-AS
Polska rośnie w siłę. Niedługo prawie wszyscy będziemy VIP-ami

NAUKA

60 PRZEDSZKOLE, POCZĄTEK WSZYSTKICH PROBLEMÓW
Rodzicu! Przeczytaj, zanim będzie za późno

64 KAWITACJĄ W AMERYKĘ

Ostatni krzyk mody podwodnej: superszybka rosyjska torpeda



Fot. RAFAŁ MILACH

34

Czy zatęsknimy za Wietnamczykami?

PATRZĄC I CZYTAJĄC

66 ŚNIEG NIE MÓWI „NIE”
Światowej sławy fotografik Michael Ackerman osiedlił się w Polsce. Zwariował?

SPORT

72 ODWET MAŁYSZA
Czy Adam Małysz rozprawi się z „francją” w Oberstdorfie?

TYDZIEŃ – KULTURALNIE
POLECAMY

76 FILM Eastwood kontra Scorsese
78 MUZYKA Tori Amos
80 KSIĄŻKI Ewa Lipska
82 TEATR Grzegorzewski obnażony?
84 TELEWIZJA Polityka rozrywkowa

ZAWSZE CZYTAJ

3 NA CZWARTEK RACZKOWSKI, W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY
21 CENNIK
22 TECZKI PERSONALNE
58 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ
74 LISTY
85 SŁOWA WYCZESANE
86 POPMODA
87 RACZEJ RACZKOWSKI
88 KULINARNE PIÓRO POLSKI, WINNY BIEŃCZYK, KRZYŻÓWKA, JOLKA
90 ZALEWAJKA KAZIMIERZA KUTZA
92 ROZMAITOŚCI

40

Pora na rosyjską pomarańczową rewolucję



Fot. KOMMERSANT/EAST NEWS

SPORTAGE
Mocne wrażenia

KIA

KIA MOTORS
The Power to Surprise™

Jazda na próbną przygodę

Przyjdź do salonu KIA i przetestuj osobiście nowy KIA Sportage. Usiądź za kierownicą dużego, nowoczesnego i świetnie wyposażonego samochodu i jedź tam, gdzie podpowiada Ci wyobraźnia. Nowy Sportage ma wszystko, czego się spodziewasz: napęd 4x4, dynamiczne silniki oraz 4-osobową homologację ciężarową (pełny odpis VAT).

Nie kupuj samochodów, które kosztują więcej, niż są warte.
W KIA płacisz zawsze tylko za samochód!

www.kia.com.pl

3 lata

EuroGwarancja

24 h 3 lata

EuroAssistance

KIA Finance

ZALECAMY PRODUKTY

Castrol

Białystok TOP MOTORS (85) 664 39 09-10; Bielsko-Biała BIEL-CAR (33) 814 47 34; Bydgoszcz MOTO-BUDREX (52) 323 08 59; Bydgoszcz - Rynarzewo CAR-MAK (52) 384 58 37; Chorzów INTERKAS (32) 246 07 16; Ciechanów AJMEX (23) 672 50 65; Dąbrowa Górna AUTO LATOS (32) 262 56 57; Elk TOP MOTORS (87) 621 57 50; Gdańsk INTERBIS (58) 552 36 36; Gdynia AUTO-GDYNIA (58) 623 65 15; Gilwice ORENCZUK (32) 279 96 60; Gorzów Wlkp. MAREX (95) 728 22 20; Gorzów Wlkp. - Barlinek MAREX (95) 746 21 10; Katowice MOTO (32) 255 56 66; Kielce KIA ARION-SHOP (41) 345 88 22; Konin NOWICKI (63) 245 44 35; Kolobrzeg EXIM (94) 35 40 600; Koszalin AUTO-SALON (94) 340 87 71; Kraków AUTO-CENTRUM PATECKI (12) 415 77 77; R.M. FILIPOWICZ (12) 423 51 13; Kwidzyn INTERBIS (55) 279 15 00; Leszno RAKOWSKI (65) 529 91 52; Lublin - Kalinówka TECHNOTOP (81) 748 88 88; Lublin - Motycz TECHNOTOP (81) 748 87 20; Lubliniec AUTO MONIKA (34) 351 01 44; Łaziska Górne ETRANS (32) 324 46 01; Łomża AUTO DEPCZYŃSCY (86) 215 08 00; Łowicz ZHU MGT (46) 830 34 25; Łódź LANDCAR (42) 227 82 75; COMA (61) 842 55 99; Poznań - Komorniki LEE MOTORS (61) 810 82 86; Radlin koło Wodzisławia Śl. SOLEY (32) 456 75 00; Rzeszów MULTITRUCK (17) 850 41 61; Siedlce AUTO-MIG (25) 633 26 28; Słupsk CONTINENTAL (59) 848 21 05; Sopot POLESZAK (58) 551 00 00; Stargard Szczeciński MAREX (91) 573 77 70; Suwałki AUTO-LAKUS (87) 562 77 15; Szczecin TRANSBUD (91) 482 00 25; Tomaszów Mazowiecki ASPOL (44) 734 00 85; Wąbrzych SIMA (74) 664 25 44; Warszawa AUTO-EDEN (22) 444 61 45; CAR-DROOM (22) 814 51 66; KIA PLAZA (22) 546 40 51-53; MALIBU AUTO CENTRUM (22) 614 54 54; Wrocław GAM (71) 352 84 70; MOTORMARKET (71) 315 26 24; WROBUD (71) 353 59 97; Zakopane WADOWSKI (18) 200 04 00.

PHOTO: JAHİ CHIKWENDU/THE WASHINGTON POST WORLD PRESS PHOTO

ROKI WIOŁÓW

Poprzednie lata przerażały nas wydarzeniami politycznymi. W roku 2011 swoim okrucieństwem przypomniaty siły natury. 48. edycja konkursu World Press Photo podsumowuje rok w fotografii prasowej na świecie. Autorzy ze 123 krajów przestali nań prawie 70 tysięcy zdjęć

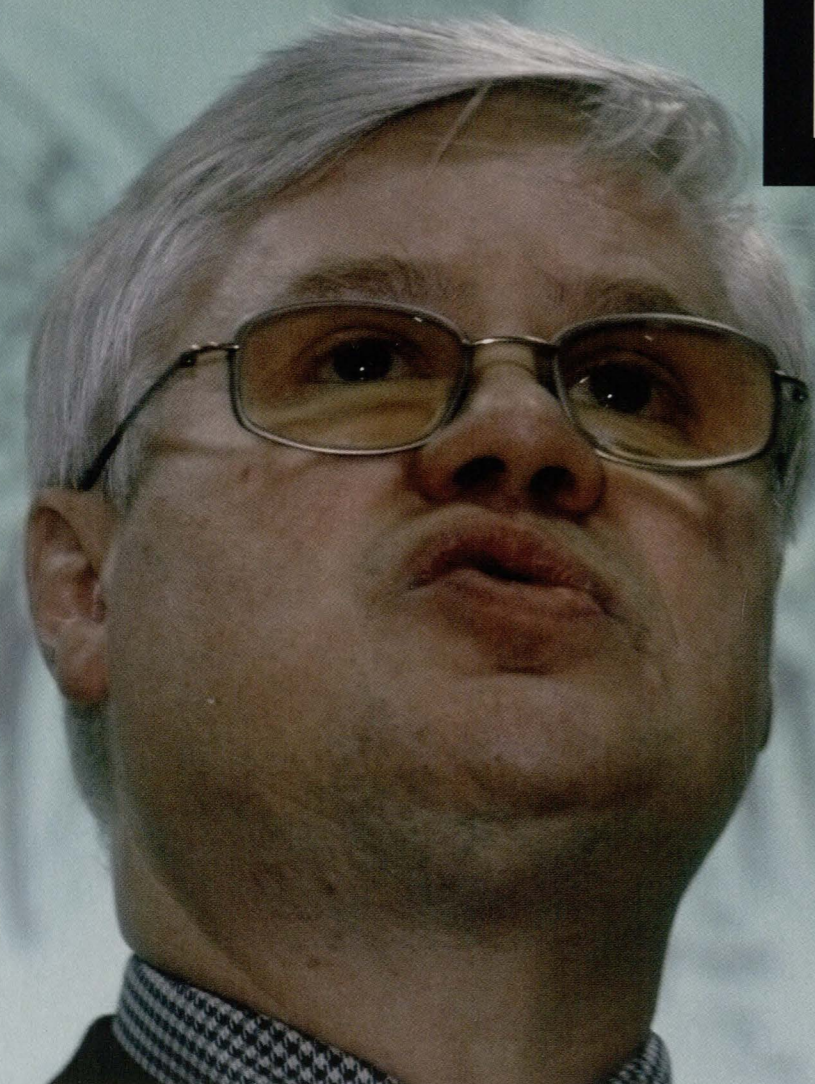
Zdjęcie Amerykanina Jahi Chikwendu zdobyło pierwszą nagrodę w kategorii Natura



Alessandro Digaetano fotografował rozbudowujące się centrum Szanghaju. Parcele pod nowe wieżowce kupowane są od mieszkańców starych XIX-wiecznych domków, ale niektórzy nie chcą ich sprzedać mimo ceny równej 12-letniej średniej pensji w Chinach. Trzecia nagroda w kategorii Sprawy Współczesne



Eric Travers sfotografował zjawisko zorzy polarnej
na północy Kanady – to trzecia nagroda World Press
Photo 2004 za pojedyncze zdjęcie w kategorii Natura



DRUŻYNA pierścienia

Panie premierze, chciałby pan być odpowiedzialny za sprawy gospodarcze w przyszłym, prawicowym rządzie?

– Nie wydaje mi się to możliwe i nie aspiruję do tego.

Ale czy pan chciałby?

– Powiem coś, co pokaże, że takie rozwiązanie jest poza sferą rozsądnych rozważań. W 1997 roku byłem pełnomocnikiem rządu do spraw reformy zabezpieczenia społecznego, robiłem pierwsze praktyczne kroki związane z reformą emerytalną. Między innymi doprowadziłem do uchwalenia kluczowych ustaw budujących nowy system.

I po zmianie rządu zabiegał pan, żeby to robić dalej?

– Nie tyle zabiegałem, ile tak myślałem. Mnie się wydawało, że nowy rząd rozsądnie zrobi, jeżeli zawrze ze mną kontrakt na sześć miesięcy w celu wykonania zadania: niech pan doprowadzi do uchwalenia wszystkich pozostałych ustaw, my pana wynajmiemy, bo pełnomocnik to jest odrębna funkcja, niech pan zachowa swój zespół. Wydawało się, że to jest racjonalny koncept. A nikt nawet nie wpadł na taki pomysł, żeby to rozważyć.

Bo mamy państwo partyjne, politycy myślą kategoriami: moja partia, mój interes.

– To jest za daleko posunięte stwierdzenie. Jesteśmy jednak państwem, w którym partie zawłaszczają jego funkcje i podporządkowują swoim interesom politycznym.

A teraz pan, wydawałoby się, człowiek mądry, profesor, opuszcza swoją partię, wiedząc, w jakim państwie żyje.

– To bardziej złożone, niż pan sądzi. Po pierwsze, moja decyzja o rezygnacji z członkostwa w SLD, w którym byłem od 2001 roku, jest „wyjściem”, a nie „przejściem” do innej partii. Chcę wyraźnie powiedzieć, że ja SLD opuściłbym nawet wtedy, gdybym nie miał żadnych planów politycznych. Teraz mam dwie opcje. Opcja numer jeden – nie być aktywnym w polityce partyjnej.

Ale pan się rozsmakował w wielkich reformach, w wielkich planach, a takie rzeczy można realizować, tylko należąc do wielkiej partii.

– Są dwa rodzaje osób uczestniczących w życiu politycznym: mendedżerowie władzy, czyli politycy zajmujący się tej władzy zdobywaniem, organizowaniem poparcia, którzy prowadzą gry polityczne, i politycy, którzy są od rozwiązywania problemów. Ja jestem od rozwiązywania problemów i wiem, że nie można rozwiązywać problemów, jeżeli się nie uczestniczy w jakiejś większości. Trzeba się zaangażować w jakąś większość, niekoniecznie będąc członkiem partii. Wracając do moich opcji, to druga polega na tym, że jeżeli miałbym się zaangażować dalej w politykę, to tylko jeśli prowadziłoby to do pojawienia się w Polsce nowej jakości, czegoś, co spowodowałoby inne ułożenie sceny politycznej, przy czym nie chodzi o to kto z kim. Czegoś, co będzie reakcją na patologię polskiej polityki.

A nie chciał pan zawalczyć o rolę męża opatrnościowego SLD?

– Po pierwsze, do tego się nie nadaję, po drugie, nie miałem takiej aspiracji, po trzecie, sądzę, że obecne SLD jako ugrupowanie polityczne przydatne Polsce to twór niemożliwy.

Czy wicepremier JERZY HAUSNER jest nowym Samem, a premier Belka stanie się nowym Frodem, którzy wspólnie z innymi członkami Drużyny Pierścienia zniszczą pierścień władzy? A może to tylko sfrustrowany polityk, który chce zapełnić kanapę przywoitymi mędrkami?

Ma pan telefon na biurku. Dzwoni pan do pańskim zdaniem rozważnych ludzi i mówi: słuchajcie, może byśmy coś zrobili?

– Od jesieni 2004 roku bardzo wielu ludzi zaczęło ze sobą rozmawiać o tym, czy można coś zrobić. Te osoby to między innymi Włodek Cimoszewicz, Marek Belka, Dariusz Rosati, Władysław Frasyniuk, Jan Lityński. Czy te rozmowy doprowadzą do tego, że jeszcze z innymi osobami, które o tych rozmowach wiedzą, które się tym interesują, coś podejmiemy, to się jeszcze okaże.

Czy wśród tych zainteresowanych jest prezydent?

– Prezydent jest osobą, która jest informowana o naszych spotkaniach, ale nie znaczy to, że w jakikolwiek sposób ustala przedmiot, miejsce spotkań, harmonogram i cel tych rozmów.

Jak często się spotykacie?

– Często, nie rzadziej niż raz na dwa tygodnie.

Ta regularność nie wystarczy, żeby stworzyć coś trwałego.

– We mnie góruje optymizm nad sceptycyzmem.

A czy czasem nie jest tak, że rozmawiacie między sobą w ten sposób: wygląda na to, że możemy coś wspólnie stworzyć, ale poczekajmy jeszcze pół roku, niech się prawica zacznie kompromitować po jesiennych wyborach?

– Nikt nie zaproponował takiego stylu myślenia, takiego wypracowania, tego rodzaju kalkulacji.

To nie musi być wyrachowanie. Można myśleć tak: stare musi się wypalić, lewica się wypaliła i teraz czas na prawicę. Można myśleć, że dopiero na tych popiołach może zakwitnąć jakiś kwiat.

– To myślenie jest obce ludziom, z którymi rozmawiam.

Tu się pan myli. Część tych ludzi w połowie lat 80. wiedziała, że im gorzej, tym lepiej. Im gorzej tamtej władzy idzie, tym lepiej dla nas, bo zbliża się czas, kiedy tamta władza będzie musiała podjąć z nami rozmowy.

– Dziś nikt takiego myślenia nie prezentuje.

Czy oprócz pewnej estetyki i stylu działania coś istotnego jesteście w stanie zaproponować?

– Po pierwsze, jeżeli ta grupa osób chciałaby w sprawach ważnych coś powiedzieć opinii publicznej, to takiego głosu nikt by nie zlekceważył. Więc ja się nie martwię o to, czy my jesteśmy w stanie przykuć uwagę, ale też nie martwię się o to, czy mamy do zaproponowania coś pozytywnego. Najważniejsze w sposobie rozumowania ludzi, o których mówię, jest nie to, jak przejąć ster rządów, lecz jak stworzyć warunki do te-

JERZY HAUSNER MA 56 LAT. UKOŃCZYŁ AKADEMIE EKONOMICZNĄ W KRAKOWIE, W 1994 ROKU UZYSKAŁ TYTUŁ PROFESORA. JEST SPECJALISTA W DZIEDZINIE EKONOMII POLITYCZNEJ, GOSPODARKI ORAZ ADMINISTRACJI PUBLICZNEJ. DO PZPR WSTĄPIŁ W 1970 ROKU I ZOSTAŁ DO JEJ ROZWIĄZANIA. W LATACH 1986-1989 BYŁ SEKRETARZEM PZPR W KRAKOWIE. W III RP BYŁ SZEFEM DORADCÓW WICEPREMIERA GRZEGORZA KOŁODKI, NALEŻAŁ DO ZESPOŁU DORADCÓW ALEKSANDRA KWAŚNIEWSKIEGO. W 2001 ROKU ZDOBYŁ MANDAT POSELSKI SLD. JAKO MINISTER PRACY I POLITYKI SPOŁECZNEJ ORAZ WICEPREMIER W RZĄDZIE LESZKA MILLERA PRZYGOTOWAŁ ODWAŻNY PLAN CIĘC BUDŻETOWYCH, KTÓRY ZAKŁADAŁ REFORMĘ ADMINISTRACJI, OGRANICZENIE WYDATKÓW PUBLICZNYCH, RESTRUKTURYZACJĘ PKP. WIĘKSZOŚĆ ZAŁOŻEŃ PLANU HAUSNERA UPADŁA W SEJMIE. 7 LUTEGO JERZY HAUSNER WYSTĄPIŁ Z SLD. KILKA DNI PÓŹNIEJ WRAZ Z TADEUSZEM MAZOWIECKIM, JANUSZEM STEINHOFFEM I WŁADYSŁAWEM FRASYNIUKIEM OGŁOSIŁ DEKLARACJĘ POLITYCZNĄ, KTÓRA ZAPOWIADA STWORZENIE NOWEGO UGRUPOWANIA CENTROWEGO. NA RAZIE NIE ZAMIERZA ODEJŚĆ Z RZĄDU MARKA BELKI.

go, by zwiększyć pozytywną energię społeczną, poszerzyć przestrzeń do działania. Polska jest państwem resortowo-korporacyjnym, a ideą tej grupy osób jest państwo samorządowo-obywatelskie.

Może powinniście instytut naukowy założyć albo stowarzyszenie?

– Dlaczego?

Bo takie idee najlepiej propagują tego rodzaju instytucje.

– Ma pan fałszywe wyobrażenie, jak może wyglądać nowoczesna polityka. Oczywiście z jednej strony możemy mówić o polityce oświeconego centralizmu, w której chodzi o to, żeby gdzieś, w jednym miejscu ten jeden wielki, uczciwy, nieskorumpowany, niepodatny na żadne wpływy, rozumiejący wszystko umysł stworzył wokół siebie zespół ludzi zdolnych do idealnego wykonywania jego poleceń, jego zasad i on będzie napędzał tę maszynę biurokratyczną, a ona będzie realizowała punkt po punkcie jego plan. To jest jednak obca mi wizja. Z drugiej strony jest wizja państwa, które jest tylko jednym z aktorów i jeżeli chce skutecznie wykonywać swoje zadania, to musi być to państwo pomocnicze, wspierające, a nie zastępujące innych aktorów. Państwo, które nie we wszystkim wkracza swoimi resortami, nie tworzy uprzywilejowanych grup, ale tworzy przestrzeń dla przedsiębiorców, dla ludzi, którzy chcą wykonywać wolne zawody, dla ludzi, którzy chcą rzetelnie pracować, stwarza im przestrzeń do aktywności. Buduje struktury, które mogą tym ludziom pomagać realizować ich cele. I to nie jest żadna utopia.

Panie premierze, rozmawiamy o godzinie w pół do dziesiątej rano. O której pan zaczyna pracę jako szef resortu? Bo w godzinach pracy to pan chyba wspiera to państwo korporacyjno-resortowe?

– Ja bardzo starannie, bardzo konsekwentnie, powiem jeszcze więcej: niezwykle pracowicie próbuję to państwo zmienić. Czy jest możliwe, aby w obecnych warunkach polityczno-instytucjonalnych robić to skutecznie? Nie. Jednym z powodów mojego wyjścia z SLD jest przekonanie, że SLD jest ugrupowaniem, które w praktyce utrwała centralistyczny, resortowo-korporacyjny model państwa.

Bo z tego żyje.

– Niektórzy z tego żyją. Jeżeli pan popatrzy na wiele moich inicjatyw, nie tylko ustaw dotyczących spraw socjalnych, ale też ustawy o działalności pożytku publicznego i wolontariacie, to pan dostrzeże moje praktyczne zaangażowanie na rzecz takiej koncepcji państwa.

Rozmawiał pan z premierem Belką, kiedy pójdzie w pańskie ślady i odda legitymację SLD?

– Nie, nie rozmawiałem na ten temat.

Ale spodziewa się pan takiego rozwoju wypadków?

– Mnie się wydaje, że jest sprawą w pewnym sensie oczywistą, że obecność Marka Belki w SLD jest tymczasowa.

Panie premierze, nie boi się pan koalicji z politykami Unii Wolności, partii, która może i szlachetna, może i życiorysami wspaniała, ale nie potrafiła przekonać do siebie zbyt wielu Polaków?

– Jeszcze raz chcę podkreślić, że chodzi o coś nowego. Oczywiście inicjatywa wychodzi od osób, które były od pewnego czasu w polskiej polityce, ale te osoby nie zwracają się wzajemnie do siebie: słuchajcie, a może byśmy się dogadali i zrobili coś nowego, tylko chcą się zwrócić do innych i przekonać ich co do tego, że nie należy rezygnować z aktywności obywatelskiej, że nie należy rezygnować z upominania się o taki projekt rozwoju Polski, który będzie możliwie dla Polski najkorzystniejszy. Zorientowany na Unię Europejską, który będzie umacniał przedsiębiorczość, umacniał myślenie o gospodarce rynkowej, ale zarazem otwierał się na praktyczne rozwiązywanie społecznych problemów.

Ale panie premierze, jeżeli macie coś zrobić, to zostało wam szalenie mało czasu, bo trzeba wystartować w wyborach, zebrać pieniądze i zrobić kampanię, a zanim się zacznie robić kampanię, to jeszcze trzeba poinformować ludzi, że się jest. Tak naprawdę macie moim zdaniem trzy-cztery tygodnie, żeby zawiadomić, że jesteście.

– Mnie w ogóle odstręcza myślenie krótkofalowe.

To pana miejsce jest w Kościele katolickim.

– Nie, ja nie mówię o perspektywie dwóch tysięcy lat, mówię o perspektywie zmiany społecznej. Zmiany społeczne nie dokonują się w cyklu wyborów parlamentarnych. One się dokonują w cyklach dłuższych, a wybory parlamentarne jako element demokratycznej sukcesji władzy w istocie rzeczy powinny dawać taki wynik, który by nie zakłócał możliwości przeprowadzenia istotnych zmian. Wróć do reformy emerytalnej. To jest największy projekt przeprowadzony według tego pomysłu, że jeden minister go przygotowywał, kolejny kontynuował.

Chodzi o to, żeby nowe rozwiązanie wytrzymało próbę kolejnych rządów, żeby było kontynuowane. A na drugim biegunie umieszczam reformę służby zdrowia, w której się miotamy politycznie od ściany do ściany, każdy następny minister zaczyna od zdruzgotania, zniszczenia tego, co zrobił poprzedni, i udowadniania, że poprzednik zrobił wszystko źle. Ludzie takiego państwa nigdy nie będą szanować, nigdy się nie włączą. W związku z tym, jak pan mnie pyta: co będzie, jeżeli się okaże, że panowie nie zrobicie list wyborczych itd.

To wtedy po prostu nie będziecie startowali.

– To nie będziemy, ale to nie oznacza, że jest bez sensu publiczne powiedzenie przez jakąś grupę mającą autorytet i społeczny, i zawodowy, że to nie musi tak wyglądać, jak wygląda.

Dlatego proponowałem, żebyście założyli instytut lub stowarzyszenie, bo z pozycji tego rodzaju instytucji takie mówienie jest dobre. I uspokoić swoich niedysyjszych kolegów, że nie założycie żadnej partii, więc oni nie będą was zwalczać, będzie bardzo przyjemnie.

– Nie mogę wykluczyć, że powstanie nowa partia.

No to na założenie partii macie – niemilą panu – krótką perspektywę czasową.

– Kto wie, może ma pan rację, może za trzy tygodnie coś powstanie.

Jak by się taka partia mogła nazywać? Czy nazwa w ogóle jest ważna?

– Jest bardzo ważna. Myślę, że nazwa jest sprawą...

Może Partia Umiarkowanego Postępu?

– No nie, pan to chce uszwejkować. Myślę, że ta partia powinna mieć cechy nowego centrum. Czy to jest dobra nazwa, nie wiem. Po drugie, ta partia powinna wyraźnie łączyć elementy orientacji liberalnej, szczególnie gdy chodzi o gospodarkę, o problemy kulturowo-obyczajowe, z orientacją na rozwiązywanie kwestii społecznej, orientacją socjalliberalną. Ponadto powinna bardzo mocno akcentować swoją orientację demokratyczno-obywatelską i rozumienie demokracji nie jako demokracji kart-

Jak się porówna Polaków w ciągu pierwszych miesięcy obecności w Unii Europejskiej i inne nacje, które wchodziły do UE, to pod tym względem w Polsce jest o wiele lepiej, jest dużo większa aktywność

ki wyborczej i wyłaniania przywódców, tylko jako demokrację uczestniczącą, aktywnych obywateli kontrolujących władzę. I to kontrolujących nie wyłącznie przez media. Partia, która nie przyjmuje założenia o omnipotencji państwa i zdolności państwa do rozwiązywania wszystkich problemów, ale przyjmuje koncepcję państwa wspierającego, państwa pomocniczego w stosunku do mikrostruktur życia społecznego.

Zastanawiam się, gdzie najbliżej od Warszawy leży takie torium, na którym można by tego rodzaju rozmowę z wyborcami prowadzić...

– Tu, wokół nas.

Jednak Polacy chcą mieć władzę, której zaufają i oddadzą jej na cztery lata, dominuje demokracja kartki wyborczej.

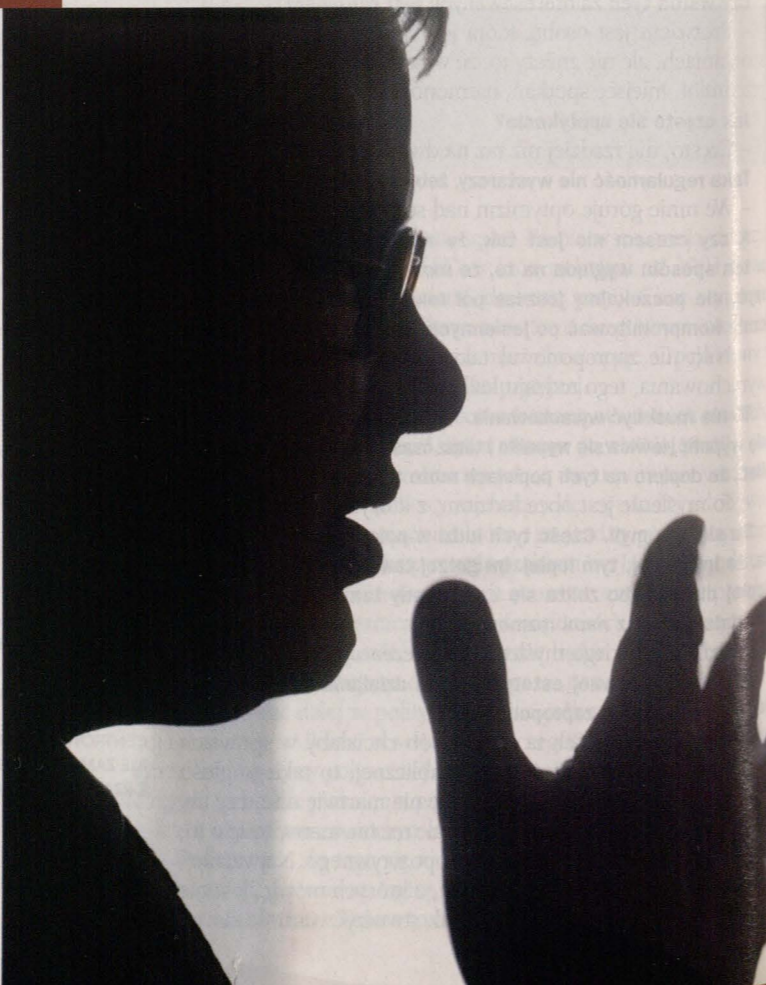
– Ja bardzo dużo jeżdżę po kraju, w Warszawie tylko przebywam, mieszkam w Krakowie...

To mieszkanie w Krakowie jakoś by tłumaczyło pańską idealizm...

– Jeżdżę i spotykam bardzo często ludzi, do których moje słowa i moje propozycje docierają, którzy mówią: to jest służne. W tej chwili trwa debata na temat wstępnego projektu Narodowego Planu Rozwoju. Byłem w trzech województwach. Na konferencję w Lublinie przyszło ponad 600 osób i mówili: chcemy rozmowy o tym, jak wykorzystać polską szansę i unijne środki. To są ludzie z samorządów, z organizacji pozarządowych, z uniwersytetów, szkół, ludzie kultury, przedsiębiorcy. I ci ludzie mówią, co ich uwiera, w co gotowi byłiby się zaangażować, więc uważam, że jest do kogo mówić i że jest zaplecze dla takiej polityki.

Pan mówi: jeżdżę po kraju i spotykam takich ludzi, ale potem są wybory i okazuje się, że te 600 osób w Rzeszowie, 400 w Radomiu to jednak nie są wszyscy Polacy, bo Polacy w swojej masie dokonują innych wyborów.

Fot. SZAWONIMIR KAMIŃSKI/AG



– Niech pan sobie przypomni, że były głosy – absolutnie dominujące – że nie jesteśmy przygotowani do wejścia do Unii Europejskiej, że będziemy płatnikami netto, bo w Polsce nie ma możliwości rzeczywistego zagospodarowania tych środków. A dzisiaj mamy wielokrotnie więcej wniosków niż możliwości ich sfinansowania. Jak się porówna Polaków w ciągu pierwszych miesięcy obecności w Unii Europejskiej i inne nacje, które wchoziły do UE, to pod tym względem w Polsce jest o wiele lepiej, jest dużo większa aktywność.

A nie widzi pan tych tysięcy przedsiębiorców, którzy starają się zapłacić jak najmniejsze podatki, zawyżają koszty, wypisują lewe faktury, to jest codzienność przedsiębiorczości.

– Takich przedsiębiorców też widzę, czyli widzę ludzi, którzy w określonych warunkach systemowych, adaptując się i przystosowując, radzą sobie również w sposób nielegalny i nieuczciwy. Pytanie, czy jeżeli fiskus będzie ich traktował tak, jak powinien ich traktować, administracja będzie traktować tak, jak powinna ich traktować, państwo nie będzie ich łupić, nie będzie ich ograniczać i nie będą zmuszeni do korupcji, to czy oni będą dalej tak postępować, czy będą się zmieniali, cywilizowali?

Jaka jest pańska odpowiedź?

– Będą się zmieniali, są na to dziesiątki dowodów. Tak samo jest w organizacjach pozarządowych. Jest bardzo wiele fikcyjnych organizacji pozarządowych, które pieniądze publiczne marzną czy przejadają, ale to środowisko dzisiaj samo chce się oczyścić. Stworzymy warunki rozwoju środowiskom, żeby one mogły rozwiązać swoje problemy. Nie wierzymy, że my to zrobimy metodami administracyjnymi czy policyjnymi.

Stworzy, jestem za. Z nas dwóch to pan ma w tej sprawie większe możliwości, bo jest wicepremierem. Natomiast mam jedną wątpliwość. Polega na tym, że w Polsce partia profesorów nie dobędzie takiego poparcia społecznego, żeby mogła wywrzeć istotny wpływ. Podobny błąd popełniła już Unia Wolności, która przemawiała językiem profesorów.

– Czyli nie daje pan szansy Lechowi Kaczyńskiemu?

Lech Kaczyński szybko zrozumiał, że musi zacząć być trybunem ludowym, choćby to był gwałt na jego naturze. A jak patrzę na twórców przyszłej partii, to żadnemu z was, z powodów estetycznych, nie będzie się chciało być trybunem ludowym.

– A co pan profesorskiego znajduje we Władysławie Frasyniuku?

Władysław Frasyniuk jest takim kwiatkiem przy waszych profesorskich kożuchach. Bo i Belka, i Geremek, i pan macie manierę profesorów, a naród nie chce masowo studiować.

– O, proszę pana, jeżeli pan mówi o manierach, czyli o dobrych obyczajach, to nie ma nic w tym wstydliviego, że się ma manery przyzwoitych profesorów.

Ale rządu dusz się w ten sposób nie zdobywa.

– Bardzo wiele osób uważa, że jestem osobą, która potrafi przekonywać do swoich racji, że potrafię mówić w sposób zrozumiały i prosty, wtedy gdy mówię do szerokiej publiczności. Czyli że nie ma we mnie żargonu profesorskiego, że potrafię być autentyczny, mówić z pasją i w sposób zrozumiały.

Pan się poczuł dotknięty profesorską etykietką?

– Nie chodzi o to, czy ja się poczułem dotknięty, tylko o to, że nie ma pan racji, sugerując, że ludzie tacy jak ja, Belka czy Rosati nie są w stanie porozumieć się z przeciętnym Polakiem, trafić do niego.

Kiedy tak pana słucham, to przychodzi mi na myśl pewna analogia. Czy czytał pan książkę Tolkiena lub oglądał filmową trylogię „Władca pierścieni”?

– Nie.

W skrócie chodzi w niej o to, że istnieje potężny pierścień władzy i „dobre” plemiona, które są w jego posiadaniu, postanawiają go

zniszczyć – po to by nigdy nie wpadł w ręce zła. W tym celu zbiera się Drużyna Pierścienia i mimo wielu niebezpieczeństw niesie go do krateru jedyne go wulkanu, w którym ten szczególny pierścień można zniszczyć. Kiedy pan mówi o tym, że trzeba wzmocnić aktywność społeczeństwa obywatelskiego, zniszczyć mit omnipotencji władzy, odebrać władzę państwu i rozproszyć w społeczeństwie, to wydajecie mi się trochę taką tolkienowską Drużyną Pierścienia.

– To nie tak. Gdy się zastanawiam nad tym, co się Polsce może przytrafić z tego i co nas może powstrzymać od autokratycznych rządów pozornie oświeconego centralizmu, to sobie przypominam parę istotnych rzeczy: że w Polsce jest Trybunał Konstytucyjny, Rzecznik Praw Obywatelskich, że Polska jest w Unii Europejskiej, że jest Parlament Europejski, Trybunał w Strasburgu, czyli mówiąc wprost, jeżeli ktoś wierzy, że da się przeprowadzić swój projekt polityczny od „a” do „z”, nie licząc się z nikim i z niczym, to tego się już nie da.

Pańskim zdaniem powinniście wystartować w tych najbliższych wyborach parlamentarnych?

– Intencje, które nam przyświecają, są dużo szersze niż kwestie wyborów parlamentarnych, ale oczywiście wybory parlamentarne w Polsce są tak ważne, że o wyborach myślimy. Nie po to, by przejmować elektoraty, lecz raczej by przyciągnąć do aktywności wyborczej, aktywności obywatelskiej tych, którzy dzisiaj mówią: nas to nie interesuje, my w ogóle nie chcemy w tym brać udziału.

Czyli tak naprawdę chcecie być partią o nazwie Trudno Powiedzieć, ponieważ największa grupa w sondażach opinii publicznej to są ci, którzy odpowiadają: „Trudno powiedzieć”.

– Największa grupa to ta, która mówi: nie pójdziemy do wyborów, bo nie mamy na kogo głosować. Większość to ludzie, którzy rozczarowali się politykami i polityką i są w pewnym sensie przestraszeni tym, co się dzieje, więc wycofali się na pozycje obserwatorów. Jeżeli ci ludzie dostrzegą, że jest propozycja dla nich, że chodzi nie tylko o to, żeby głosowali, ale żeby przede wszystkim działali, że chodzi o wywołanie pewnego ruchu, mobilizacji na rzecz rozwoju Polski, po to by wyzwalać pozytywną energię, to się włączą.

Tyle było w tym metafizyki, że właściwie powinienem powiedzieć: amen.

– No dobrze, a rozumiem, że to, kto z nas w tej rozmowie ma więcej argumentów: czy pan niewierzący w przedsięwzięcie i komentujący je...

...taką mam rolę zawodową, muszę nie wierzyć...

–...czy ja, wierzący w nie, będzie podlegało sprawdzeniu.

Z pewnością.

– Czyli mimo metafizyki, od której stronić tak całkiem nie należy, będziemy mogli eksperymentalnie dowieść, kto ma rację.

Na szczęście przede wszystkim na pańskiej skórze.

– Ja mam skórę przez życie niezłe wygarbowaną i nadal wiele optymizmu.

ROZMAWIAŁ PIOTR NAJSZTUB

WARSZAWA, 11 LUTEGO 2005 R.

tvn
GRUPA ITI

NAJSZTUB PYTA

TVN, NIEDZIELA 21.15

Szpital zajęty

Głódówki, strajki ostrzegawcze i okupacyjne – lekarze i pielęgniarce w całym kraju protestują przeciwko planowanej zmianie przepisów, która ich zdaniem pogłębi zadłużenie szpitali. Dyrektor katowickiego Szpitala imienia Jędrzeja Śniadeckiego wystąpił do sądu o uwolnienie pieniędzy na wypłaty, zajętych przez komornika. Egzekucja nastąpiła mimo zapewnień ministra zdrowia Marka Balickiego, że znowelizowany kodeks postępowania cywilnego na to nie pozwala.

Pomogli – ale sobie

90 tysięcy dolarów znaleźli wrocławscy celnicy przy polskich oficerach powracających do kraju z Iraku. Porucznik i kapitan nie potrafili wytłumaczyć, skąd wzięli sumę, która wielokrotnie przekracza ich półroczny żołd. Sprawą zajęła się prokuratura.

Otępią

Janina Chim, była wicedyrektor Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego, trafiła do aresztu. Należy do szóstki oskarżonych o roztrwonienie 350 milionów złotych przeznaczonych w latach 1989–1990 na wykup długów zagranicznych PRL. Chim nie przychodziła do sądu. Mówiła, że leczy się psychiatrycznie, jest senna i otępiąta. Sędzia uznał, że to próba zerwania procesu. Zarzuty w sprawie FOZZ zostaną przedawniać w lipcu 2005 roku.

Świnia honorowa

Czy świnia była zestresowana – ma orzec biegły w procesie działacza związków rolniczych Mariana Zagórnego oskarżonego o znęcanie się nad zwierzęciem podczas piknicy w Urzędzie Wojewódzkim we Wrocławiu przed dwoma laty. Świnia wystąpiła wtedy jako żywy transparent, później trafiła do zoo, gdzie Zagórny ją odwiedza i przynosi smakołyki.

Na bruk nie wolno

W życie weszło prawo zakazujące wyrzucania lokatorów na bruk. Teraz trzeba zapewnić im lokal zastępczy. Obowiązek ten spoczywa na gminach, które na ogół nie są w stanie mu sprostać. Niektóre gminy rozważają przejęcie hoteli robotniczych i wojskowych.

demonstracje

ATAK GREENPEACE'U NA PREMIERA

PROTEST EKOLOGÓW PRZECIWKO ŻYWNOŚCI MODYFIKOWANEJ GENETYCZNIE (GMO) POKAZAŁ, ŻE SIEDZIBA PREMIERA JEST NIEZABEZPIECZONA PRZED ATAKIEM TERRORYSTÓW

W piątek o dziesiątej rano grupa aktywistów Greenpeace'u urządziła akcję protestacyjną pod budynkiem kancelarii premiera. Dwóch ludzi wdrapało się na balkon i wywiesiło transparent „Stop GMO póki nie jest za późno”, inni zainstalowali nadmuchiwą atrapę zegara wskazującą godzinę za pięć dwunasta. Reszta przywiązała się grubym łańcuchem do ogrodzenia, blokując bramę.



Fot. Witold Rożbicki/REPORTER

media

WAŁĘSA KONTRA RYDZYK

Były prezydent nie wytrzymał, gdy usłyszał w audycji Radia Maryja, że elity zdradziły naród, a Polską rządzą agenci

Napisał list do rozgłośni ojca Rydzyka i wysłał go mailem, także do wszystkich znajomych. Broni w nim swojej politycznej przeszłości, Okrągłego Stołu, prezydentury i reform rynkowych.

„Przez te audycje można zwątpić w wiarę i w człowieka! – napisał Wałęsa. – Sytuacja dojrzała, aby dziś ludzie spod znaku Maryi włączyli się w zdecydowaną walkę z fałszem, który sieje wasza rozgłośnia (...)”.

List może zaszkodzić finansowo dziełu ojca Rydzyka, bo Polonia amerykańska, która wspiera Radio Maryja i łoży na nie, bardzo się liczy ze zdaniem Wałęsy. Samą audycją zainteresowała się Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji.

nowa partia

SCENTROWANI

List otwarty do tych, którzy nie chcą być bezradni, podpisali Władysław Frasyniuk, Jerzy Hausner, Tadeusz Mazowiecki i Janusz Steinhoff

Ostrzegają Polaków, że „wycofując się z uczestnictwa w demokracji, pozostawiają scenę polityczną radykalizującym się siłom politycznym”. Według nich ofiarą w obecnej debacie politycznej staje się każdy głos rozsądku, a dominują moralne pomniejszanie przeciwnika, agresywna retoryka i pomieszanie pojęć.

„Nadszedł czas, by wyjść poza ten sposób uprawiania polityki” – stwierdzają. Proponują, by tworzyć nową forma-

cję popierającą gospodarkę rynkową, wolny rozwój nauki, oświaty, kultury i trwałe miejsce Polski w UE. „Chodzi o coś więcej niż współpraca Unii Wolności i Partii Centrum”. Pierwsza to partia Frasyniuka i Mazowieckiego (dziś bezpartyjnego). Szefem drugiej – popierającej kandydaturę Zbigniewa Religi na prezydenta – jest Steinhoff. Hausner w ubiegłym tygodniu opuścił SLD, ale pozostaje wicepremierem w rządzie Belki.

1% TWÓJ WYBÓR

Już po raz drugi mamy okazję, by samodzielnie wybrać organizację, która zasługuje na jeden procent naszego rocznego podatku. Przy wypełnianiu rocznego zeznania PIT należy zakreślić odpowiednią rubrykę, odliczyć jedną setną część podatku i przekazać tę kwotę na konto naszej ulubionej fundacji lub stowarzyszenia.

W zeszłym roku, kiedy przepis wszedł w życie, z tej możliwości skorzystało zaledwie 80 tysięcy spośród 24 milionów podatników (0,33 procent). A warto docenić tę formę opodatkowania. Przynajmniej w tym jednym procencie mamy wolny wybór. Możemy zagłosować naszymi pieniędzmi wbrew decyzjom polityków i Ministerstwa Finansów. Możemy wybrać dziedzinę, którą chcemy wesprzeć – zdrowie, edukację, sport, pomoc niepełnosprawnym lub najuboższym. Oficjalna lista organizacji pożytku publicznego zawiera ponad 2,5 tysiąca pozycji.

„Przekrój” przygotował własną, znacznie skromniejszą listę fundacji i stowarzyszeń, które naszym subiektywnym zdaniem są godne zaufania i zasługują na wsparcie. Można ją znaleźć na stronie www.przekroj.pl/fundacje.

Ja z listy Wildsteina

Najpierw myślałem, że to żart, ale kiedy zadzwoniły się telefony, dotarło do mnie, że jestem na tej liście naprawdę. Oburzenie i rozpacza. Ktoś postawił mnie w sytuacji, z której nie ma dobrego wyjścia. W jednej chwili stałem się Józefem K. z „Procesu” Kafki.

Nie mogłem spać i zacząłem pisać list otwarty do Bronisława Wildsteina.

Rano w agencji wszyscy byli dla mnie mili, ale taktownie omijali temat. Czuję wokół siebie ten rodzaj delikatności, która każe ludziom nie rozmawiać o przykrych sprawach. Myślę, że moi współpracownicy są zdezorientowani. Moja przeszłość nie jest jeszcze całkiem czarna, ale na pewno przestała być biała.

Tego samego dnia jeden z naszych klientów zadzwonił do mnie, czy jestem na liście Wildsteina. Słuchałem ze zgrozą, jak tłumaczę się z tego, że 26 lat temu w policyjnym kraju wezwano mnie na przesłuchanie.

Wtedy właśnie pomyślałem po raz pierwszy, że poproszę w IPN-ie o dostęp do mojejteczki. Wcześniej byłem temu przeciwny, bo uważałem, że to absurd. Potrafię w końcu odróżnić we własnym życiu dobro od zła i nie potrzebuję zasięgać w tej sprawie opinii instytucji. Co też miałbym z tą teczką zrobić? Pokazywać znajomym, wysyłać do klientów, a może

demonstracja nie była zapowiedziana, więc nikt z kancelarii nie wyszedł do ekologów. Straż pożarna rozciąła piłami łańcuchy, a policja odwiozła protestujących na komendę, gdzie większości wlepiono 100- i 150-złotowe mandaty. Dwóm uczestnikom, którzy zdobyli balkon, postawiono zarzut „wtargnięcia na ogrodzony teren” z art. 193 kodeksu karnego. Wypuszczono ich po kilku godzinach.

Demonstranci chcieli, by rząd jak najszybciej zakazał uprawy kukurydzy modyfikowanej genetycznie. Ich zdaniem GMO może być odpowiedzialna za otyłość, cukrzycę, nowotwory i alergie. Z opinią ekologów nie zgadzają się genetycy. Według centrum badawczego Joint Research Center pracującego dla Komisji Europejskiej GMO jest równie bezpieczna jak żywność niemodyfikowana.

– Ta żywność jest bardzo ostro sprawdzana. Areał jej upraw w 2003 roku wyniósł 81 milionów hektarów – mówi profesor

Tomasz Twardowski z Instytutu Chemii Bioorganicznej PAN. – Statystycznie taką żywność jadł każdy mieszkaniec Ziemi i nie znam ani jednego przypadku, żeby komuś coś się z jej powodu stało.

Zdumiewa łatwość, z jaką ekologodzy zaatakowali budynek kancelarii premiera. Centrum prasowe rządu odesłało nas do Biura Ochrony Rządu. Rzecznik BOR jest na zwolnieniu, a nikt inny nie był w stanie udzielić nam informacji. Czyżby coś było na rzeczy?

rozpocząć prywatną kampanię reklamową w telewizji?

Dodatkowo dręczyła mnie myśl, że w mojej teczce mógłbym znaleźć informacje, które SB zebrało na mój temat od osób, z którymi łączę mnie znajomość, a może nawet przyjaźń. Nie chcę korzystać z tej ubeckiej wiedzy, bo uważam, że mam prawo do dobrych wspomnień.

Wieczorem w telewizji reportaż z wiecu poparcia dla Wildsteina. W obronie tego, przez którego teraz cierpię, występuje Krzysztof Krauze, którego bardzo lubię i uważam za wrażliwego człowieka. Telefonuję do Krzysztofa i dowiaduję się, że nie mam się czym martwić, bo w Internecie powstaje właśnie lista „oczyszczonych” i wystarczy papier z IPN-u, żeby się na niej znaleźć. Myślę, że Krzysztof nie zastanowił się nad tym, że zażądał właśnie ode mnie świadectwa moralności.

Na tym samym wiecu triumfujący Wildstein mówi, że właśnie jesteśmy świadkami narodzin IV Rzeczypospolitej. Jeżeli o mnie chodzi, to byłbym przy tych narodzinach i na tym koniec. Jeżeli IV Rzeczpospolita odziedziczy charakter po rodzicach, to znaczy, że poglądy polityczne będą cenione wyżej niż prawo.

Dowiedziałem się, że przysługuje mi status pokrzywdzonego. Gdyby żył mój przyjaciel Ja-

cek Kuroń, pewnie wstydiłbym się mówić przy nim, że byłem pokrzywdzony. Chyba że przez Wildsteina. Jacek by mnie zrozumiał, bo akurat na tych sprawach znał się lepiej niż telewizyjni dysydenci, których teraz mamy taki urodzaj. Zauważyłem, że gazety posługują się ubeczką terminologią. Jakoś mi się to nie podoba, że najlepsze, co może mnie spotkać, to to, że będę nazywany „kandydatem na tajnego współpracownika”. Jeżeli kandydat na kata to ktoś taki, kto ma naturalne predyspozycje, żeby pozabawiać ludzi życia, to w zgodzie z tą logiką kandydat na tajnego współpracownika powinien mieć zadatki na donosiiciela.

Przeczytałem ten tekst od początku i czuję, że rozpacz miesza się w nim z furią. Nic na to nie poradzę. Takie są objawy tej nowej choroby, na którą od kilku dni cierpi w Polsce kilkadziesiąt tysięcy osób.

Co zrobić? Jak się oczyścić z podejrzeń? Jeżeli tego nie wiem nawet ja, który sprawami wizerunku zajmuję się kilkanaście godzin na dobę, to co ma zrobić uczciwy człowiek z małego miasteczka, którym zaczynają gardzić sąsiedzi? Może ktoś wie, co poradzić jego dzieciom?

MARCIN MROSZCZAK
dyrektor kreatywny DDB Warszawa

ALTACET ICE
NOWOŚĆ
SPRAY
Stosuj od razu, gdy doznasz urazu!

Korea atomowa

Korea Północna pokazała światu pięć atomową. Phenian w ubiegłym tygodniu oficjalnie ogłosił, że ma broń jądrową i wycofuje się z rozmów na temat rezygnacji z programu nuklearnego. Amerykańska administracja zapewnia, że zamierza rozwiązać konflikt metodami dyplomatycznymi.

Hiszpanio, głosuj tak!

Prezydent Francji Jacques Chirac bawił w Barcelonie, gdzie u boku premiera Hiszpanii José Luisa Zapatero przekonywał Hiszpanów do głosowania „tak” 20 lutego w referendum w sprawie konstytucji europejskiej. Oprócz nich mieli przyjechać jeszcze Gerhard Schröder i Silvio Berlusconi, ale zmgła ich grypa.

Raj dla imigrantów

Od początku lutego trwa wielka akcja rządu Zapatero, który przyznał prawa pobytu w Hiszpanii milionowi nielegalnych imigrantów pracujących tam na czarno. Dziennik „ABC” oblicza, że większość imigrantów, około 580 tysięcy, stanowią Latynosi. Na legalizację pobytu może także liczyć 200 tysięcy Marokańczyków i Rumunów.

Zamach w Libanie

Były premier Libanu Rafik Hariri zginął w wyniku zamachu bombowego w ruchliwej dzielnicy zachodniego Bejrutu. Wraz z Haririm zginęło osiem innych osób, a sto zostało rannych. Najprawdopodobniej obok jadącej kawalkady eksplodował samochód-pułapka. Hariri rządził Libanem z czteroletnią przerwą w latach 1992–2004. Ostatnio sprzymierzył się z opozycją domagającą się wycofania z Libanu oddziałów syryjskich.

Latająca pizza

Brytyjski pilot wojskowy tak chciał zaimponować swojej dziewczynie, że przywiózł jej śmigłowcem pizzę. Jego lot linksem AH-7, przeznaczonym między innymi do niszczenia czołgów, kosztował podatnika 10 tysięcy funtów. Dziewczyna jest podobno zachwycona, armia zdecydowanie mniej. Bohaterowi historii grożą sankcje dyscyplinarne.

Watykan**PAPIESKI POWRÓT**

JAN PAWEŁ II WRÓCIŁ ZE SZPITALA DO WATYKANU, ALE POSTĘPUJĄCA CIĘŻKA CHOROBA WZNOWIŁA DEBATĘ NAD MOŻLIWOŚCIĄ JEGO USTĄPIENIA Z URZĘDU

W niedzielę Jan Paweł II błogosławił wiernych na placu Świętego Piotra. Po dziewięciu nocach w szpitalu Ojciec Święty mówił bardzo niewyraźnie, a większość jego postania odczytał pomocnik. Postępy trwającej od 10 lat choroby Parkinsona ograniczają aktywność 84-letniego Papieża, a niedawna ostra infekcja może pogorszyć jego stan. – Papież ma dobre momenty i takie, gdy nie wie do końca, co się dzieje. Proporcja tych momentów zmienia się niekorzystnie – mó-



Fot. PLINIO LEPRI/AP

wił BBC John Allen, watykański korespondent „National Catholic Reporter”.

W ubiegłym tygodniu kilku kardynałów nie zaprzeczyło możliwości ustąpienia Papieża. „Zostawiamy odpowiedź na to pytanie sumieniu Papieża” – oświadczył w ubiegłym tygodniu kardynał Angelo Sodano zapytany, czy Papież rozważa przejście na emeryturę. Brak standardowego dementi uznano za nieprzypadkowy. Dwa dni później francuski kardynał Jean-Marie Lustiger

wypowiedział formułę o tym, że „Papież musi czynić to, co uznaje za wolę Boga w celu osiągnięcia swojej misji”. Kilku innych kardynałów ucił jednak stanowczo spekulacje. Włoch Giovanni Battista Re uznał je wręcz „za w bardzo złym guście”. – Chory Papież jest ikoną cierpiącej ludzkości – przypomniał włoski kardynał Tarcisio Bertone.

Część światowych mediów pisze mimo to o możliwym kryzysie w Watykanie. Prawo kanoniczne pozwala papieżowi na ustąpienie, ale tylko w wyniku świadomej decyzji (ostatnio uczynił tak w 1415 roku papież Grzegorz XII) i nie ustanawia procedury na wypadek utraty świadomości przez urzędującego papieża. Nieoficjalnie mówi się, że Jan Paweł II zostawił na taką okoliczność zapieczętowaną list z rezygnacją. Watykan stanowczo dementuje jego istnienie, choć były tego rodzaju precedensy (papież Paweł VI, zmarły w 1978 roku). Spekulacje w mediach nie ustają. Włoska „La Repubblica” wspominała o podziale w łonie samej Kurii na „zwolenników trwania Papieża w jego gołgocie oraz pragmatyków”. Brytyjski prestiżowy tygodnik „The Tablet” zwracał się do Papieża, by „odszedł na emeryturę dla dobra własnego i dobra Kościoła”, a paryski „Le Monde” określił rządy wyczerpanego Papieża jako fikcję.

JAKUB MIELNIK

MAREK RYBARCZYK

W ramach przygotowań do hucznych obchodów 60. rocznicy zwycięstwa nad faszyzmem rosyjskie MSZ udzieliło Polakom lekcji, dlaczego powinni kochać układy jałtańskie

Konferencja jałtańska była dla Polski pozytywnym wydarzeniem, a ci, którzy uważają inaczej „przewrotnie interpretują

ZSRR wiecznie żywy

historię” i „grzeszą brakiem dobrej woli” – tak w ubiegłym tygodniu rocznicę rozmów Stalina, Roosevelta i Churchilla skomentowało rosyjskie MSZ, które w ostatnich miesiącach zmieniło się w głównego apologetę ZSRR. Teraz przekonywało, że w lutym 1945 roku w Jaltcie „mocarstwa sojusznicze potwierdziły wspólną wolę budowy silnej, wolnej, niezależnej i demokratycznej Polski”.

9 maja Moskwa będzie świętować 60-lecie swojego zwycięstwa nad Niemcami i przygotowuje wielki show z udziałem ponad 60 głów państw. Ekipa Putina

chce tym razem pokazać ZSRR jako zbawcę ludzkości. Na refleksję nad historią stalinowskiego imperium nie ma miejsca. Pisanie o „zdradzie jałtańskiej”, wzmianki o pakcie Ribbentrop–Molotow czy o zbrodni katyńskiej – wszystko to wywołuje u Rosjan głęboką irytację.

Poważne problemy z rocznicą zwycięstwa mają kraje bałtyckie. Dla nich 9 maja to początek nowej okupacji. Prezydenci Litwy i Estonii do dziś się wahają, czy w tej sytuacji w ogóle jechać na obchody w Moskwie. Łotewska przywódczyni Vaira Vike-Freiberga doprowadziła Rosję do furii, mówiąc o współodpowiedzialności ZSRR za wojnę. „To absurdalna teza” – pisał rzecznik moskiewskiego MSZ, po czym dodał, że „każdy odpowiedzialny historyk” wie, iż wojna wybuchła w następstwie układów monachijskich z 1938 roku, a nie sojuszu Hitlera i Stalina.

Tak Rosja Putina reaguje na każdy zarzut pod adresem stalinowskiego ZSRR. Mało tego. Niedawno życzenia noworoczne z Kremla dostał siedzący w lotewskim więzieniu za ludobójstwo Wasilij Kononow, NKWD-zista, który w czasie wojny rozstrzelał dziesięć cywilów, w tym kobietę w ciąży. „Przed sądem imienia, ale również prawdy historycznej” – napisał mu Putin. Takiej prawdy jak ta o Jaltcie?

JAKUB KUMOCZ

Moskwa**SZATAN SIĘ ŚMIEJE**

Satanieści straszą w moskiewskim bloku, gdzie mieszkał niegdyś twórca „Mistrza i Małgorzaty” Michaił Bułhakow.

Baśniowa powieść Bułhakowa traktująca o walce dobra ze złem najwyraźniej fascynuje satanistów, choć jej autor, słynny rosyjski pisarz, nie gloryfikował wcale ani zła, ani diabła. Na ścianach korytarzy i klatek schodowych bloku 10 Bolszaja Sadowaja roi się od pentagramów, swastyk i symboli SS. W Rosji często satanizm jest przykrywką dla rasizmu i neofaszyzmu. Niektórzy mieszkańcy bloku się już wychodzą po zmierzchu. – Kiedy tylko wystawię nogę za próg, staję naprzeciw tych symboli satanistów – mówiła przerażona mieszkanka bloku korespondentowi „Independenta”.

Do niedawna przed mieszkaniem numer 50, które należało do synnego pisarza (zmarł w 1940 roku), zbierała się okoliczna młodzież. Na ścianach dominowały graffiti inspirowane powieścią – koty, diabły i roznegliżowane rysunki bohaterki Bułhakowa, Małgorzaty. Teraz w bloku przy Bolszaj Sadowaj pojawia się coraz więcej motywów satanistycznych. Ekstremistyczne grupki satanistów liczące pół tysiąca młodych Rosjan monitoruje od 2003 roku ministerstwo spraw wewnętrznych. (RYB)

natychmiastowa realizacja marzeń

szybki
serwis
kredytowy

Mówisz ile i już masz! W Szybkim Serwisie Kredytowym liczysz się Ty i Twoje potrzeby! A także: atrakcyjna cena, dogodne formy zabezpieczeń do 35 tys. PLN wystarczy weksel in blanco, możliwość wyboru walut - PLN, CHF, USD, EUR. A przede wszystkim liczy się Twoje zadowolenie!

INFOLINIA: 0 801 302 302 www.pkobp.pl



PKO BANK POLSKI

Blisko Ciebie



TADEUSZ MOSZ



Rys. PIOTR GIDLEWSKI

GOSPODARKA JAK CYRK

Można powiedzieć, że Polak jest tani jak polski barszcz. To dobrze i źle – jak to zwykle w ekonomii bywa. Źle dla samego Polaka, bo to znaczy, że mniej zarabia od swojego kolegi na zachodzie Europy. Dobrze, bo jest popyt na jego pracę. Toteż ciągną do Polski tabuny przedsiębiorstw z Unii Europejskiej, ale także z Azji i Ameryki, by tu produkować to, co wcześniej robiły u siebie. W Niemczech tylko same koncerny międzynarodowe ograniczyły zatrudnienie o 400 tysięcy osób, a produkcję przenieśli także do Polski, gdzie koszty pracy są niższe. We Francji z tego powodu zostało zlikwidowane co 20. miejsce pracy. Dlatego irytację władz francuskich wzbudziła wypowiedź unijnej komisarzes Danuty Hübner, według której przeniesienie produkcji sztucznymi metodami zatrzymać się nie da. Trzeba nawet ułatwiać przemieszczanie produkcji w obrębie UE, by obniżyć koszty, skutecznie konkurować i przez to wzmacniać europejskie firmy. Inaczej wszystko powędruje do Chin i Indii.

Po tej wypowiedzi posypały się groźby, że Francja na nowo będzie się starać o harmonizację podatków w Europie, co oznaczałoby dla firm działających w Polsce podwyżkę i mniejszą konkurencyjność wobec innych krajów. Francuska minister do spraw europejskich zapowiedziała walkę o uzależnienie wielkości funduszy strukturalnych od wysokości podatków. To także oznaczałoby dla nas nawet miliardy euro mniej. Powtórzono postulat zredukowania przyszłych wydatków Unii do mniej niż 1 procent PKB. A już wcześniej zapowiedziano protest przeciwko unijnej dyrektywie przewidującej swobodny przepływ usług. W ten sposób nasi szewcy, krawcy, fryzjerzy, dentyści i budowlańcy nie mogliby prowadzić swobodnej działalności na podstawie polskiego prawa w innych krajach unijnych.

Można odnieść wrażenie, że największe kraje Unii chyba nie do końca rozumieją istotę swoich kłopotów. Na pewno nie są one następstwem nadmiaru gospodarczej wolności i skromności w wydawaniu pie-

niędzy publicznych. Zdecydowanie odwrotnie. A ustawiczny szantaż i zakładanie administracyjnych pęt na gospodarkę państw dających lepsze warunki dla biznesu oznaczają zaprzeczenie istoty swobodnego przepływu kapitału i ludzi.

Cyrk nie po to się przemieszcza z miejsca na miejsce, by zaspokajać niezbyt wyfinansowane gusty coraz to nowych zastępów publiczności. Cyrk jest przede wszystkim wędrownym przedsiębiorstwem, które daje przedstawienia tam, gdzie można więcej zarobić. Gospodarka unijna, jeśli chce sprostać konkurencji, musi być jak wędrowny cyrk. Z produkcją do miejsc, gdzie wytwarza się taniej, a zysk może być większy, wędrują nie tylko firmy francuskie czy niemieckie, ale także amerykańskie, japońskie i koreańskie. Cały świat wędruje. Także do Polski. Bo koszty zatrudnienia pracownika u nas są jeszcze cztery, pięć razy mniejsze niż na Zachodzie. Produkcja przynajmniej o 30 procent tańsza. Produkty od nas są jakościowo przynajmniej tak samo dobre, a ceny konkurencyjne. Oplacalność chociażby oponiarskiej Dębicy jest pięciokrotnie większa niż całej amerykańskiej grupy Goodyear.

Jeśli tak, to gdzie Amerykanin, Francuz czy Niemiec, który umie liczyć, woli produkować?

Przeszłość wielokrotnie pokazywała, że ręczne sterowanie gospodarką wiedzie zawsze do jej duszenia. Zamiast obrażać się na kraje dające lepsze warunki firmom, prościej stworzyć jeszcze lepsze u siebie. Nawet strach pomyśleć, co by było, gdyby to Polska domagała się w UE restrykcji wobec Francji albo Niemiec za zbyt liberalny system podatkowy dla przedsiębiorstw i obywateli.

Dzisiejsze kłopoty starych unijnych wyjadaczy z wyprawdaniem produkcji z ich krajów powinny być także lekcją, którą Polska musi odrobić. Dzisiaj jesteśmy tani. Ale będą od nas jeszcze tańsi. Rumunia, Bułgaria, potem Ukraina. Polski gospodarczy cyrk już ruszył i dotarł do Chin, a będzie także szukał miejsc na tańszą pracę i lepsze zyski w krajach przyszłych członków UE. Nikt tego nie powstrzyma.

TADEUSZ A. MOSZ
AUTOR MAGAZYNU EKONOMICZNEGO
„PLUS MINUS” W TVP1

Podyskutuj na ten temat w portalu Wirtualna Polska w serwisie www.wiadomosci.wp.pl

przegląd



Fot. LECH GAWUC/REPORTER

Prawo będzie nadal kosztować

Jeśli to już lat trwa batalia o ucywilizowanie kursów egzaminów na prawo jazdy? I już się wydawało, że wreszcie będzie inaczej. W Ministerstwie Infrastruktury powstał projekt, który przewidywał rezygnację podczas egzaminu z placu manewrowego. Umiejętności parkowania miały być sprawdzane w naturalnych warunkach. W samochodzie byłby obecny instruktor przygotowujący kursanta do egzaminu. I co najgorsze, przebieg egzaminu miał być rejestrowany na taśmie wideo. Tak nie będzie i są już inne, mniej rewolucyjne, ale niewywnieszone jeszcze propozycje. Jestem gotów się założyć, że najnowsze rozwiązania nie przewidyują filmowania egzaminu. Pierwotny projekt podobno nie spodobał się kilku wojewódzkim ośrodkom ruchu drogowego, bo wiąże się z dodatkowymi kosztami. No wiecie... kamera, dodatkowa jazda po mieście, benzyna, szukanie miejsca do parkowania...

Tymczasem cała Polska wie, że kandydatowi na kierowcę egzaminacyjny sukces gwarantuje od 15 tys. do 2 tys. zł. I biznes kwitnie.



Fot. MARTA DYLEWSKA/REPORTER

Ze śmietaną w świat

No proszę! A miało być tak źle. Któż nie pamięta lamentu, jak to UE zaleje polski rynek tanią żywnością i zniszczy naszych dumnych chłopów. Jak na razie jest odwrotnie. To mieszkańcy starej Unii wyciągają ręce po polskie produkty. Dzięki temu to, co miało być zniszczone, kwitnie. Wartość eksportu naszych produktów mleczarskich wzrosła o 55 procent. W Unii największym powodzeniem cieszą się polska śmietana, napoje mleczne, a także masło, którego eksport w ubiegłym roku zwiększył się trzykrotnie. Europejczycy zjadają się także naszymi serami i jogurtami. Źle miało być także z polskim cukrem. Jest odwrotnie. Nasz cukier zasypuje Europę, a po chudych latach wszystkie spółki cukrowe w Polsce miały zysk.

Odważni nadal zarabiają

Do cierpliwych świat należy. Kolejkowicze z domów maklerskich nadal dostają nagrody. Debiutujące ostatnio akcje CIECh-u na otwarciu miały cenę o 23,3 procent wyższą od emisyjnej. Firma chce kupić pakiet kontrolny akcji ZCh Police, które powinny znaleźć się na giełdzie w drugiej połowie roku i będą także łakomym kąskiem dla drobnych inwestorów.

Pomimo dobrych debiutów widać wyraźnie, że koniunktura na giełdzie słabnie. Kilka procent poniżej pierwszego notowania stabilizuje się cena akcji Zelmera, które weszły na giełdę w końcu stycznia z 36,4-procentowym przebicciem. Osłabienie koniunktury widać także po akcjach PKO BP. Cena papierów banku ustabilizowała się na poziomie o blisko 10 procent wyższym niż pierwsze notowanie. Na razie na solidnych debiutujących firmach nikt nie stracił. Jednak wyraźne wyhamowanie zwyczaj cen i indeksów giełdowych przypomina o coraz większym ryzyku kupowania właśnie teraz notowanych już na giełdzie akcji.



Fot. KUBA DĄBROWSKI

Miliardy ze śmietnika

Na polskich śmietnikach leżą skarby warte miliardy złotych. Na razie przetwarzamy co czwarte opakowanie, co trzecią oponę i jedną szóstą plastików. Do kasy 10 tys. firm, które żyją w Polsce z przerobu opakowań, odpadów przemysłowych i zużytych urządzeń, wpływa co roku oficjalnie 4 mld zł i kwota ta bardzo szybko rośnie, bo jest i będzie co przerabiać. Szacuje się, że dzięki zaostrzeniu przepisów dotyczących ochrony środowiska wartość samego rynku opakowań wzrośnie w najbliższych latach 10-krotnie. Na razie najbardziej oplacalna jest zbiórka złomu. Średnio za tonę można dostać 700 zł, co przy ubiegłorocznym skupie 5 mln ton daje rynek wart 3,5 mld zł. Nikt nie policzył szarej śmieciowej strefy. Według Polskiej Izby Recyklingu aż 100 tys. osób widocznych na ulicach miast z charakterystycznymi starymi wózkami dziecięcymi zbiera makulaturę, baterie, puszki. Dzięki wędrownym zbieraczom w ubiegłym roku odzyskałiśmy 46 procent puszek aluminiowych, przy średniej unijnej 43 procent. Jak widać, nawet wolny rynek śmieci działa i ma się dobrze – nie potrzebuje urzędniczych pomysłów, akcji i regulacji.

„Tylko spokojnie!”

Zaledwie 2,50 zł kosztowało mnie w antykwariacie u pana Krzysztofa rzadkie, przedwojenne wydanie poematu Owidiusza „O kosmetyce”. W dziełku tym, napisanym kilka lat przed narodzeniem Chrystusa, rzymski poeta daje między innymi rymowane przepisy na skuteczne środki upiększające: „Jęczmienia ma być dwa funty / Weź tę samą ilość wyki / I wbij dziesięć całych jajek / W wymienione specyfikę”.

Zbieg okoliczności sprawił, iż tego samego dnia, kiedy kupiłem Owidiusza, żona powiedziała mi, że idzie do kosmetyczki, która ma ją „przygotować do wiosny”. Oferta i cennik zabiegów proponowanych przez Instytut Kosmetyki XXI wieku Dermika Spa & Salon z lekką mnie oszołomiły:

zabieg powitalny (z masażem i konsultacją – ocena kondycji skóry, założenie karty i ustalenie długofalowej pielęgnacji) – 200 zł;
zabieg AHA (eksfoliacja, złuszczenie i usunięcie suchej, zrogowaciałej warstwy naskórka za pomocą stężonego kwasu glikolowego) – 100 zł;

zabieg Skin Master Plus (odnowa biologiczna skóry z użyciem innowacyjnych technologii: ultradźwięków, zmiennych prądów Lotti i lasera kosmetycznego. Obejmuje głęboki piling, nawilżanie, usprawnienie krążenia, przyspieszenie metabolizmu i regenerację skóry) – 250–350 zł;

bezbolesne zamykanie naczynek bezigłową metodą jonto-epil – jedno naczynko 50 zł;
usuwanie zbędnego owłosienia metodą jonto-epil – jeden włos 1 zł;

zabieg na ciało „Miód i róża” (cukrowy piling ciała, aromatyczny hydromasaż w wannie Ritz, maska na ciało z miodu w kapsule Vichy, masaż ciała ciepłym różanym olejem – wszechstronnie i efektywnie działające na skórę dary natury przenikną również twoje zmysły zapachem ukwieconych ogrodów i sadów...) – 330 zł.

Wróciłem do Owidiusza. Dwa funty jęczmienia, dwa funty wyki, dziesięć jajek... Wszystko razem niewątpliwie taniej, a efekt? „Kaźda dama, co tę pastę / Na oblicze będzie kładła, / Jaśniej będzie tysiącrotnie / Od własnego lśnić zwierciadła”.

Instytut Kosmetyki XXI wieku proponuje też trzy zabiegi dla mężczyzn: „Męska sprawa”, „Urlop biznesmena” i „Tylko spokojnie!”. Najbardziej zaciekał mnie ten ostatni (hydromasaż kakaowo-cynamonowy, hawajski masaż ciała Lomi Lomi, czekoladowy zabieg regenerujący twarz).

Cena – zaledwie 450 zł.

ABAKUS

„TYDZIEŃ POLSKI” (LONDYN)

Fot. JOHN STILLWELL/EPA-PAP/FORUM



Księżę Karol WRESZCIE ZARĘCZONY

Brytyjski następca tronu, 56-letni książę Karol, poślubi wkrótce swoją o rok starszą kochankę Camillę Parker Bowles. Czekal z decyzją o formalnych

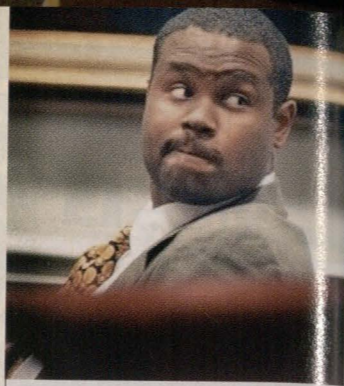
zaręczynach sześć lat od śmierci w wypadku swojej pierwszej żony, księżnej Diany. Państwo młodzi poznali się jeszcze w latach 70., od tego czasu łączył ich burzliwy romans. W latach 90. skandal wywołał zapis rozmowy telefonicznej księcia z kochanką, w której wspomniał ponoć rozmarzony, że chciałby zostać tamponem swojej wybranej. Część konserwatywnych anglikanów sprzeciwia się powtórnemu małżeństwu księcia: kiedy zostanie brytyjskim monarchą, będzie najwyższym zwierzchnikiem Kościoła anglikańskiego, „strażnikiem zasad wiary”. Dwór królowej Elżbiety ustalił już, że jego nowa żona nie będzie nosić tytułu „królowej Camilli”, lecz tylko „księżnej małżonki”. W niedawnym sondażu za księżęcym małżeństwem opowiedziało się 32 procent ankietowanych, przeciw było 29. Większości, 38 procent Anglików, nic ta sprawa nie obchodzi. Cywilna ceremonia ma się odbyć 8 kwietnia na zamku Windsor.



Fot. FRANCIS DEMANGE/GAMMA/BE&W

Gunther von Hagens WIEŚ ŻYWYCH TRUPÓW

Kontrowersyjny niemiecki naukowiec Gunther von Hagens chce w Sieniawie Żarskiej (województwo lubuskie) otworzyć centrum preparowania ludzkich zwłok. Nie chodzi jednak o pomoce naukowe do badań, ale eksponaty wystawiennicze. Urodzony w Poznaniu Hagens kupił teren z budynkami niszczonego Państwowego Ośrodka Maszynowego. Chce zatrudnić 300 osób. Jednak nie wiadomo, czy sieniawianom spodoba się skandalizująca sława Hagensa, który od prawie 30 lat jest właścicielem patentu na plastynację zwłok. Polega ona na zastąpieniu płynów ustrojowych między innymi silikonem. Ciało nie wydziela żadnego zapachu i może być wystawiane na wolnym powietrzu. Tak spreparowane zwłoki Hagensa wozi po całym świecie w ramach przyciągającej tłumy ekspozycji „Body Worlds”. „Dziełom” naukowca daleko jednak do modeli z atlasu anatomii – Hagens tnie ciała na plastry, ustawia je w różnych pozach, nie stroni od pokazywania chorych organów. Niemiec uzależnia otwarcie zakładu od nastawienia mieszkańców Sieniawy. Ma mu pomóc kilka eksponatów, które niedługo do lubuskiej wsi przyjadą z Londynu.

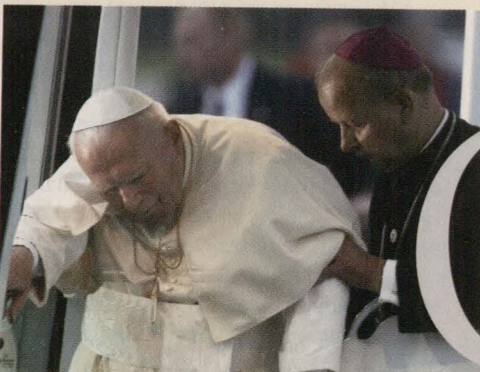


Daryl Atkins EGZEKUCJA ZA PUNKTY

Czy o wykonaniu kary śmierci może zdecydować wynik testów inteligencji? W 1996 roku Daryl Atkins wraz ze współnikiem porwał, zmusił do wyjęcia pieniędzy z bankomatu, a potem zamordował 21-letniego mężczyznę. Krwawy finał zarejestrowały kamery wideo.

Skazany na śmierć Atkins uniknął egzekucji dzięki orzeczeniu sądu najwyższego USA, który w 2002 roku uznał ją za nieodpowiednią wobec więźniów opóźnionych w rozwoju umysłowym – test inteligencji więźnia z 1998 roku dał bardzo skromny wynik 59 punktów. Jednak ostatnie badania wykazały wzrost inteligencji Atkinsa do 76 punktów – o siedem więcej niż liczba punktów osoby niepełnosprawnej umysłowo obowiązująca w Wirginii. – Stało się tak za sprawą rozmów Atkinsa z prawnikami. Nauczył się czytać i liczyć. W więzieniu otrzymał większą stymulację umysłową niż w całym okresie dorostania – oświadczył psycholog zatrudniony przez obrońców skazanego. O losie 27-letniego więźnia zdecyduje ława przysięgłych.

Fot. VINCENTO PINTO/REUTERS/FORUM



Stanisław Dziwisz GŁOS PAPIEŻA

Ojciec Święty ma coraz większe kłopoty z mówieniem. W ostatnią niedzielę podczas modlitwy Anioł Pański wracający powoli do zdrowia Jan Paweł II pojawił się w oknie bazyliki na placu Świętego Piotra. Poza powitaniem i błogosławieństwem nie był w stanie nic powiedzieć. Jednak zebrani na placu Polacy usłyszeli słowa w ojczystym języku. Po raz pierwszy w dziejach tego pontyfikatu Papieża wyręczył osobisty sekretarz arcybiskup Stanisław Dziwisz. „Wieczny cień” Jana Pawła II jest jego najbliższym współpracownikiem jeszcze od czasu, gdy kardynał Karol Wojtyła był biskupem w Krakowie. Towarzyszy Papieżowi zawsze, nie opuścił żadnej jego pielgrzymki. Nawet teraz, zastępując głos Ojca Świętego, pozostał dyskretnie za jego plecami.



Każdemu wedle potrzeb

Każdy z nas jest inny- to nie ulega wątpliwości. Ale nie chodzi tylko o wzrost czy kolor włosów. Najbardziej różnią nas charaktery i upodobania. To zarówno kwestia wychowania, przyzwyczajzeń, jak i biologii. Dlatego zawsze ważna jest możliwość wyboru i decydowania o tym, co nam najbardziej odpowiada - dzięki temu czujemy się lepiej i możemy więcej osiągnąć.

Nowe komfortowe taryfy Ery dają to, co najbardziej lubimy - możliwość swobodnego wybierania. Jeśli telefon komórkowy to dla nas źródło ciągłej fascynacji i wybór tego, co najlepsze, nie bójmy się wyzwania. Warto je wypróbować! Taryfy Era Komfort konstruujemy sami, korzystając z gotowych elementów. Do wyboru mamy darmowe wieczory, darmowe weekendy oraz pakiety darmowych minut. Jeśli dużo i często dzwoniemy w weekend, możemy tworząc własną taryfę wybrać pakiet: darmowe weekendy,

by pogadać ze znajomymi w wolnym czasie oraz dodać na przykład dwa pakiety darmowych minut gdy dużo rozmawiamy także w inne dni. A co jeśli jedziemy na narty? Nie będzie czasu na pogaduszki w ciągu dnia, ale za to szykują się wolne wieczory. Nie ma problemu - wybieramy wtedy pakiet darmowe wieczory. Wystarczy jeden telefon do biura obsługi klienta i sprawa załatwiona.

Nie wszyscy lubią zastanawiać się nad szczegółami korzystania z komórki. Dlatego Era przygotowała taryfy Classic z dużą ilością darmowych minut wliczonych w abonament oraz z atrakcyjnymi stawkami: 70 groszy za minutę do każdej sieci, 20 groszy za SMS i 40 groszy za MMS. Mamy także sekundowe naliczanie czy bezpłatne przechodzenie minut na następny cykl rozliczeniowy.

A jeśli zależy nam na pełnej kontroli wydatków i całkowitej prostocie oferty, możemy wybrać taryfę Era Classic Mix. Obowiązują tu te same stawki, co w taryfach Era Classic, a równocześnie łatwiej zapanować nad pieniędzmi. Gdy skończy się miesięczny limit wydatków, blokowane są rozmowy wychodzące. Aby dalej dzwonić, wystarczy doładować konto kuponem o wybranej wartości.

To proste



a właściwie
to...



Niech to będzie kara boska

Czy istnieje częściowe trzęsienie ziemi? Raczej nie. To byłoby wbrew elementarnemu poczuciu sprawiedliwości kary boskiej. Podobnie z lustracją. Skoro nie można już uniknąć szturmu na teczki, to trzeba zadbać, żeby to trzęsienie było całkowite. Teraz tylko poszkodowani mają dostęp do materiałów w swoich teczkach wytworzonych przez SB po 1983 roku. Dziennikarze i historycy nie. Te teczki znajdują się w specjalnym, tajnym zbiorze i nawet niewielu pracowników IPN ma do nich dostęp. Dlaczego tajni współpracownicy zwerbowani po 1983 roku mają podlegać ustawowej ochronie? Rodzi się podejrzenie, że chodzi o to, żeby ochronić ludzi czynnych dzisiaj w sferze publicznej, a zaczynających swoją aktywność właśnie w stanie wojennym. Także aktywność zawodową w SB. Trzeba te podejrzenia przeciąć. Nie bardzo też rozumiem, dlaczego – skoro już tak lustrujemy – mamy chronić tych tajnych współpracowników PRL-u, którzy podjęli współpracę z nowymi służbami, po 1989 roku. Część z nich na pewno zrobiła to, żeby na zawsze utajnić swoją przeszłość, bo wiedzieli, że ich teczki nie trafią do IPN i leżą w tajnych szafach oficerów ABW. Skoro u podstaw lustracji leży pogląd, że nasze nowe, demokratyczne państwo musi się odciąć od przeszłości, ujawniając ją i piętnując, to nie widzę powodu, żeby nasze nowe, demokratyczne państwo musiało korzystać z usług TW zwerbowanych w PRL-u. Oczywiście kontrargumentem jest święta dla tajnych służb ochrona współpracowników, ale właśnie ją łamiemy lustracją! A ja bym przede wszystkim nie chciał, żeby nasze młode, demokratyczne państwo korzystało ze zdobyczy SB. Chyba stać nas na taką rezygnację z osobowych źródeł informacji? Nawet jeśli miałyby to w konsekwencji oznaczać tworzenie służb specjalnych od zera. Przecież jesteśmy członkiem NATO i państwem UE, a nie państwem otoczonym wrogami usiłującymi poznać nasze strategiczne tajemnice. Lustracja napotyka jeszcze jeden problem – brak pieniędzy. Bez nich IPN wiele lat będzie trzymał w zawieszeniu tysiące Polaków. Myślę, że w tej sprawie mogliby wiele dla nas zrobić bogaci przedsiębiorcy. Gdyby stworzyli dobrowolny fundusz lustracyjny i zasilili go w sumie – być może anonimowymi – wpłatami, to zebrałoby się pewnie kilkadziesiąt milionów złotych. Taki lobbying na rzecz szybkiego wyjścia z szamba na pewno przysporzyłby im sympatii. A działaliby też we własnym interesie, bo politycy zajęci wieloletnią lustracją to politycy bezużyteczni dla sprawy tworzenia dobrego prawa, na przykład gospodarczego.

PIOTR NAJSZTUB

MACIEJOWSKI

12 LUTY 2005.
ROZMOWIAŁ O SYTUACJI W KRAJU.



(NOTATKĘ SPORZĄDZIŁ)

© MARCIN MACIEJOWSKI

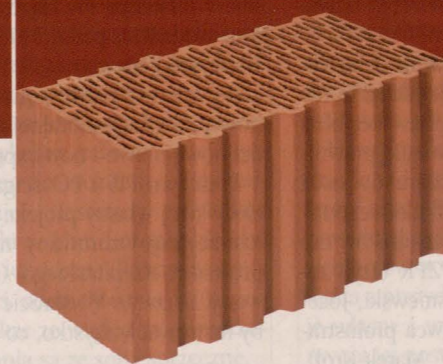
Na seks nie starczy czasu

Marszałek Sejmu zaplanował na 5 maja głosowanie nad samorozwiązaniem parlamentu. Pod pomysłem podpisał się nawet Marek Belka, który ma najwyraźniej dość administrowania krajem. Wiosenne wybory nie są jednak wcale pewne, bo lider partii, która powołała zarówno marszałka, jak i premiera, nazwał wyznaczenie terminu głosowania „patologiczną decyzją”. Z drugiej strony jest w tym jakaś logika, bo kilka dni wcześniej ten sam Józef Oleksy nawoływał posłów z agenturalną przeszłością, by sami się do niej przyznawali. Jeśli SLD nie dopuści do samorozwiązania, widzę tylko jedno sensowne wyjście: zwołać w trybie pilnym Zgromadzenie Narodowe, zamurować wejścia do Sejmu, a w środku uruchomić program „Big Poseł”. Skoro posłowie tak kurczowo trzymają się ław sejmowych, pierwsza edycja może spokojnie potrwać do końca kadencji. Zasady w „Big Pośle” byłyby identyczne z tymi w „Big Brotherze”. Mikrofony włączone na okrągło, zakaz oglądania telewizji i używania telefonów, woda wyłącznie na sali obrad, racje żywnościowe po uchwaleniu każdej zaległej ustawy, a świeża bielizna w zamian za trzy sensowne poprawki lub jedną inicjatywę ustawodawczą. Posłowie mieliby prawo do okresowych wystąpień przed kamerami, ale obowiązywałby zakaz używania słów „Polska”, „ojczyzna”, „obowiązek”, „dobro”, „prawda” i „demokracja”. Pozostaje tylko kwestia sposobu eliminacji uczestników. Raz w tygodniu w głosowaniu audiotele moglibyśmy wybierać parlamentarzystę, który zasłużył na powrót na łono społeczeństwa. Na własne życzenie z Sejmu można by wyjść tylko po zrzeczeniu się na 10 lat biernego prawa wyborczego. My, wyborcy, wyłoniłibyśmy sobie w tym czasie nowe partie z nowymi ludźmi, a wybory przeprowadzimy w dzień finału „Big Posła”, tak by Zgromadzenie Narodowe zdążyło jeszcze po sobie posprzątać. Przy okazji telewizja publiczna zarobi na audiotele kupę pieniędzy, a licencję na program można będzie sprzedawać do innych krajów, w których skompromitowany parlament urządzą wbrew woli wyborców. W Polsce w razie potrzeby można zawsze zorganizować drugą edycję.

© WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

Wienerberger

Miliony cegieł,
tysiące domów i mieszkań



10 lat w Polsce

Już **od 10 lat** w Polsce tworzymy solidne i niezawodne materiały budowlane z myślą o Tobie i Twoich bliskich. Wysokiej jakości naszych produktów zaufało już 100 tysięcy polskich rodzin. Dołącz do nich i Ty. Zbuduj z nami swój wymarzony dom.

Wienerberger Ceramika Budowlana Sp. z o.o.
04-175 Warszawa, ul. Ostrobramska 79
tel. (+48 22) 514 21 00, faks (+48 22) 514 21 03
office@wienerberger.com.pl, www.wienerberger.pl

POROTHERM

TERCA

KORAMIC

Ucieczka

PRAWICY

Nadal nie bardzo wiadomo, co poza lustracją i dekomunizacją chce robić szykująca się do rządów koalicja rządowa PO i PiS

WOJCIECH MAZOWIECKI

U przyszłego być może prezydenta Tomasza Lisa zebrano się w ubiegły czwartek kierownictwo prawicy: Jan Rokita, Jarosław Kaczyński i Roman Giertych. Telewizyjna narada miała odpowiedzieć na pytanie, co z tą Polską będzie po wyborach. Nie odpowiedziała.

Na razie – nie tylko w tej audycji – nie widać spójnego programu prawicy prowadzącego do naprawy Rzeczypospolitej. Jeśli te trzy partie zwyciężą w najbliższych wyborach do Sejmu, czeka nas zapewne powtórzenie efektu Millera. Szef SLD zażarcie zwalczał premiera Buzka w 2001 roku i wzywał go do odejścia. Gdy sam doszedł do władzy, okazało się, że poza szczerą chęcią do rządzenia nie ma gotowych pomysłów.

POPIS BEZ I Z LPR

Rokita i Kaczyński zdecydowanie podkreślają, iż wykluczają po wyborach większą koalicję rządową niż ich dwóch partii. To próba pokazania swojemu elektoratowi samodzielności i niezależności od Romana Giertycha, który zdominował obecny styl debaty politycznej w Polsce. Objawem tego jest radykalizacja Platformy Obywatelskiej oraz Prawa i Sprawiedliwości, które pod wpływem Ligi Polskich Rodzin mocno się przesunęły w ostatnim półroczu z centrum na prawo.

Liderzy PO i PiS już uwierzyli, że dociągną do wyborów na poziomie obecnych sondaży, które dają im łącznie czterdzieści kilka procent. Przy obowiązującej ordynacji zapewniłoby to im bezwzględną większość w Sejmie. Pytanie tylko, czy dociągną.

Ligę, za którą programowo podążają, traktują protekcyjnie i chętniej widzieliby ją z boku, ale w bloku wspierającym rządową koalicję przy przyszłej zmianie konstytucji. Choćby dla wzmocnienia władzy wykonawczej: superpremera, jak chce Rokita, lub prezydenta wyposażonego w moc wydawania dekretów zamiast ustaw, jak proponuje Kaczyński. Giertych chce zmieniać konstytucję, ale niekoniecznie tak samo. Wypomina obu, że listkiem figowym AWS bis nie będzie, bo tylko on w tym towarzystwie naprawdę jest nowym politykiem.

Co jest o tyle prawdą, że rzeczywiście ministrem w III RP dotychczas jeszcze nie był – tak jak Rokita w rządzie Hanny Suchockiej czy Kaczyński w Kancelarii Prezydenta Lecha Wałęsy. Natomiast na prawicy przezornie się dziś nie rozmawia o ciągnącym się za LPR smrodzie PRL-owskim – bo forsowany przez LPR na przyszłego prezydenta Maciej Giertych nigdy się nie wytłumaczył, dlaczego współpracował z generałem Jaruzelskim i bronił sojuszu Polski ze Związkiem Radzieckim.

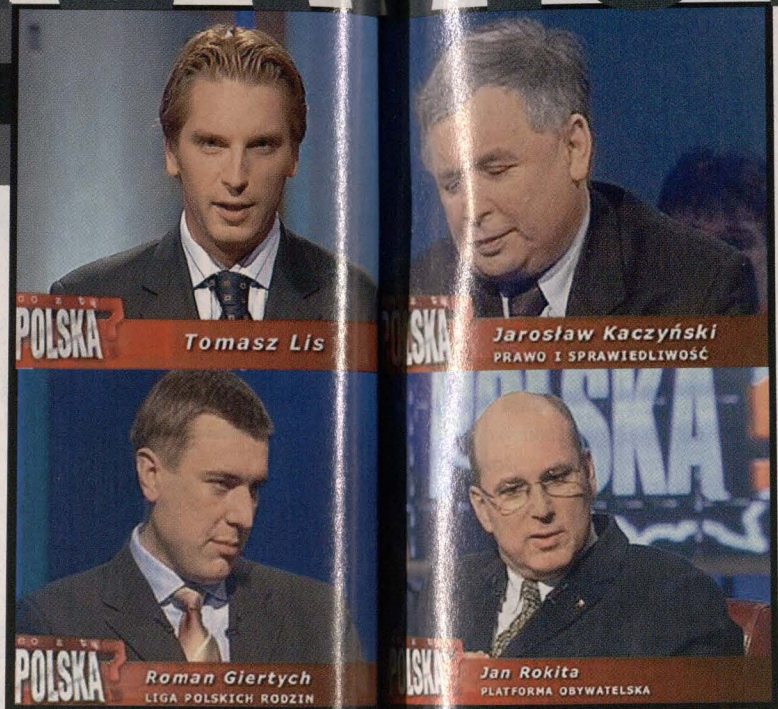
PROGRAM WIELKIEGO STRACHU

PiS nie odpuści pomysłowi delegalizowania SLD. Choć Rokita z Giertychem przekonują słusznie, że najskuteczniej ten problem rozwiążą wyborcy. Choć Giertych nie chce dać postkomunistom możliwości wystąpienia w roli męczenników prawicy. Choć Rokita boi się kompromitacji wśród prawników. Jednak Kaczyński się zaparł i rychła klęska wyborcza postkomunistów mu nie wystarczy, trzeba SLD wyrejestrować ze spisu partii.

Wszyscy trzej będą za to solidarnie dekomunizować. Kogo i jak – jeszcze konkretnie nie wiadomo. Rokita absolutnie poprze – bez obawy skompromitowania się w świecie prawników – zgłoszony już dawno temu do łaski marszałkowskiej pomysł LPR kilkuletniego zakazu sprawowania urzędów przez ubeków czy najwyższych funkcjonariuszy PZPR (czyli takich ludzi jak Aleksander Kwaśniewski, Józef Oleksy, Leszek Miller czy wydawca prołustracyjnego dziś tygodnika „Wprost” Marek Król).

PiS złoży podobny, ale swój własny projekt ustawy. Dla Kaczyńskiego dekomunizacja to nakaz moralny, bo jak mówi: – Nie można tak skonstruować społeczeństwa, żeby reguły moralne były zupełnie wewnętrznie niespójne.

Będziemy też rekonstruowani w sprawie lustracji. Sukces akcji Wildsteina zdaniem prawicy pokazał, że jest na to społeczne zapotrzebowanie. Oczywiście i tu LPR jest o krok do przodu, bo już parę tygodni temu złożyła w Sejmie projekt powszechnej lustracji polegającej na bezkrytycznym odtajnieniu wszystkiego, co jest w archiwach IPN.



Członkowie Ligi zapowiedzieli, że ujawnią swoje teczki.

Kaczyński chce dogonić LPR, narzucając obowiązkową autolustrację członkom swojej partii – w ciągu 30 dni, jeśli ktoś z nich jest na liście Wildsteina, i w ciągu 60 dni pozostałym, jeśli urodzili się przed 1973 rokiem. Trzeba dowieść swej niewinności! W imię – jak mówi kierownictwo partii – uszanowania nastroju nowej rewolucji moralnej w Polsce. Tak się rodzi nowe prawo i nowa sprawiedliwość.

Poza tym PiS i PO ścigają się, kto szybciej złoży swój własny projekt poprawy ustawy lustracyjnej wzorowany na nowym pomyśle profesora Rzeplińskiego (autora poprzedniej wersji ustawy). W skrócie polega on na tym, by lustrować wszystko, co się rusza.

NIECHĘĆ DO UNII

Maciej Łętowski, prawicowy publicysta, chwając w „Gazecie Wyborczej” akcję Wildsteina, stwierdził z zadowoleniem, że nikt już teraz w Polsce nie pozostanie obojętny wobec lustracji: „Pierwszą okazją, by się o tym przekonać, będzie wyborcza jesień. Główna oś podziału przebiegnie między zwolennikami a przeciwnikami nie unijnej konstytucji, ale rodzimej lustracji”.

Strzał w dziesiątkę, jeśli przypomnimy sobie niechęć polskiej prawicy do eurokonstytucji. Rokita unika klarownego stanowiska w tej

sprawie i twierdzi, że w polskim interesie jest jak najpóźniejsze referendum. Jeśli w międzyczasie inni członkowie Unii zgłoszą za konstytucją, Rokita też będzie za. Ale ponieważ jest przeciw – czego nie mówi wprost, a prędko gotów jest przyznać, że jego stanowisko w tej sprawie wydaje się idiotyczne – chce, by ten problem rozwiązał za nas inny kraj Unii, odwołując konstytucję przed nami.

Kaczyński natomiast deklaruje jednoznacznie: „Jesteśmy radykalnie przeciwko tej konstytucji”. Ale trudno to zrozumieć, gdy jednym tchem dodaje: „Jesteśmy radykalnie za obecnością Polski w Unii Europejskiej, bo uważamy, że jest to konieczne dla zapewnienia polskiej możliwości oddziaływania na to, co jest w Europie, i także ze względów gospodarczych”. Te dwa zdania są ze sobą sprzeczne.

To wszystko jest równaniem do Giertycha, który zawsze był przeciwnikiem Polski w Unii. Dziś na pytanie Rokity, czy zamierza wyprowadzić nas z Unii, odpowiada, że jako demokrat szanuje wolę narodu wyrażoną w referendum o przystąpieniu do Unii. Ale trudno mu wierzyć i nie obawiać się, że wykorzysta każdy pretekst, by zwalczać Unię. Zwłaszcza że jedyny program, jaki można znaleźć na stronach internetowych LPR, to dokument z 2003 roku kończący się zdaniem: „Rozwój Polski może nastąpić tylko poza UE”. Prawica zdaje sobie sprawę, że Polacy poparliby eurokonstytucję.

Ma jednak nadzieję, że z czasem to się zmieni, bo przestaniemy doceniać Unię lub się nią znudzimy. Dość cyniczna rachuba.

GOSPODARKA, DURNIU

To hasło z pierwszej kampanii wyborczej Clintona nadawałoby się dziś znakomicie dla przeciwników prawicy. Bo gospodarka jest jej piętą achillesową, gdy chodzi o pomysły na rozwiązywanie problemów w przyszłości (w krytyce przeszłości oczywiście prawica radzi sobie dobrze). Nawet propozycje liberalnej Platformy się rozmydliły. Kiedyś było hasło podatku liniowego i zrównania trzech stawek VAT, CIT i PIT do 15 procent. Zabrakło konkretnych wyliczeń i przycichło.

Stosunek prawicy do problemów gospodarki oddaje jej podejście najpierw do planu Hausnera, a ostatnio do Narodowego Planu Rozwoju (NPR). Pierwszy był planem naprawy finansów państwa, do pewnego momentu popieranym nawet przez Platformę. Ale ostatnio okazało się, że rząd już niczego z opozycją w tej sprawie nie zdziała. Motywy prawicy szczerze wyznał Kaczyński: – W tym kontekście, który jest w tej chwili, my planów tego rządu, który dawno już powinien odejść, popierać nie będziemy.

NPR to strategia rozwoju Polski na lata 2007–2013, dokument wymagany przez Unię Europejską. Jeśli będzie zły, w ciągu tych siedmiu lat nie dostaniemy z Unii ponad 70 miliardów euro (to trochę mniej niż dwukrotny budżet wydatków państwa na ten rok). I co w tej sytuacji robi opozycja szykująca się do władzy? Czekaj jak pokerzysta. Dla niej przedstawiony plan strategiczny to „kawalek papieru, który nie realnie nie oznacza dla polskiej gospodarki w najbliższym czasie”. A ponieważ był prezentowany oficjalnie w obecności prezydenta, to była to „ceremonia dla dworu Aleksandra Kwaśniewskiego i my tam nie chadzamy programowo”. Łatwiej prawicy porównać go do socjalistycznej pięciolatki, niż rzeczowo dyskutować o brakach.

Henryka Bochniarz, kiedyś minister w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego (jednego z filarów obecnej Platformy), od lat szefowa najważniejszej organizacji prywatnych przedsiębiorców w Polsce, uważa inaczej i na spotkaniu z prezydentem chodzi, a także organizuje własne i wytyka błędy w NPR. Ale Rokita uważa jej postawę za niemądrą.

Oba te problemy – NPR i naprawę finansów publicznych – będzie musiał rozwiązać przyszły rząd. Czy to jest mądry unik w ramach przedwyborczej kampanii?

Gospodarka jest też dla prawicy polem do popisów, które zdradzają jej lewicowość. Kaczyńskiego nie oburzają tak strasznie 10-letnie gwarancje zatrudnienia dla zwykłych pracowników zakładów energetycznych, choć kosztem konsumentów w całym kraju, bo skandaliczne są dla niego jedynie gwarancje dla menedżerów. Giertych chce, by niezależnym dotąd bankiem centralnym, strażnikiem

złotego, zaczął sterować rządem. A czemu nie partia tak jak w PRL?

SEK W ŚRODKU

To najgłośniejsze pomysły prawicy. Są i inne, ale niejasne. Jak choćby lansowana przez Kaczyńskiego komisja prawdy i sprawiedliwości, czyli działająca w permanencji supersledcza superkomisja. Nie wiadomo, jak miałyby być osadzone prawnie i czy nie jest to tylko efekt zauroczenia nadzwyczajnymi komisjami śledczymi. – Są rzeczy ważniejsze niż trójpodział władzy – uspokajał Kaczyński w „Polityce”, proponując ten organ.

Inny pomysł to powołanie urzędu antykorupcyjnego przy jednoczesnym postulacie zwalczania biurokracji. Albo dzielenie i łączenie obecnych resortów czy wprowadzenie zasady, że za przygotowanie propozycji budżetu odpowiada premier, a nie minister finansów. Tak jakby dziś nie było takich możliwości – to premier decyduje, kto i jak długo jest ministrem finansów. Jest propozycja ściągnięcia cugli dla wzmocnienia władzy wykonawczej, ale na razie rezultatem działań prawicy – wykorzystującej kompletny rozkład lewicy – jest niebywałe w ostatnim 15-leciu wzmocnienie sejmokracji.

Wszystko to robi wrażenie propozycji przypadkowych, niespójnych, niedopracowanych, jedynie efektownie rzucanych tu i ówdzie. Poza lustracyjno-dekomunizacyjny program straszenia niechcymi rozliczeniami – ale nawet w tym wspólnym korzeniu wartości trzy partie lub choćby dwie planujące rządzenie nie mogą się zdobyć na wspólny projekt.

Zajrzyjcie na strony internetowe i spróbujcie znaleźć program którejś z tych partii na nadchodzące wybory. Może powinni to zrobić szefowie partii, nim kolejny raz będą się użalać na dziennikarzy, że nie czytają ich programów.

Ten chaos powoduje zamieszanie wśród rynkowego pragmatycznego elektoratu – zwłaszcza PO, trochę także PiS (pomijając strach, jaki wywołuje wśród elektoratu lewicy). To nie są ludzie pożądanicy rewolucji, w jaką uwierzyły ich dwie dotychczasowe partie. To ludzie środka, cenni i opiniotwórcy wyborcy. Z trudem budujący swoją pozycję w III RP, którą teraz prawica zamierza wyrzucić do kosza. Nie są agentami ani czerwoną pajęczyną, jak nazywa prawica ludzi, którym się cokolwiek udaje. Wygląda na to, że PO i PiS od nich się nieodwracalnie odwracają. A to się odbije w sondażach: Platforma już nieznacznie traci.

W takim momencie pojawia się inna propozycja w centrum, aby coś zaproponować porzucenym. Choć niedobrze sprzedawana promocyjnie, już wywołuje nerwowość prawicy, bo naraża PO i PiS na realne straty elektoratu. Może się więc wreszcie zacząć konkurencja i wyścig o konkretny program. Bo na razie dla centrowego elektoratu nie ma spójnych propozycji. Poza prawicowym programem strachu i ucieczką jak najdalej od centrum. ■



Jeśli sukces ostatniej podróży Aleksandra Kwaśniewskiego do USA mierzyć zainteresowaniem mediów, to była ona zupełną klęską. Dla „Washington Post” najważniejszym punktem wizyty polskiego prezydenta było odznaczenie trenera waszyngtońskiej drużyny piłkarskiej DC United. O tym, że Kwaśniewski był także w Białym Domu, dziennik wspominał mimochodem w lakonicznej depeszy o utworzeniu funduszu na modernizację wojsk sojuszniczych.

Światowe media niemal gremialnie zignorowały wizytę. I miały rację, bo nie było o czym pisać. Kwaśniewski nie powiedział w Waszyngtonie niczego istotnego dla polityki międzynarodowej, a przez ponad połowę wspólnej konferencji prasowej przysłuchiwał się, jak George Bush odpowiada na pytania o reformę amerykańskiej służby zdrowia i komentuje wypowiedzi swojej sekretarz stanu na temat Iranu.

Zainteresowania prasy dobrze oddają rangę, jaką ma w USA polsko-amerykański sojusz, ale jeszcze lepiej zrobił to sam Bush: – Chcę podziękować za pańskie przywództwo [na Ukrainie], panie premierze. To znaczy, panie prezydencie. Przepraszam. Zdegradowałem go – żartował do dziennikarzy.

TALONY DO DEMOBILU

Sluchając wyświechtanych fraz o „bliskim przyjacielu Aleksandrze”, „godnym podziwu przywództwie” Kwaśniewskiego i Polsce jako „fantastycznym sojuszniku”, można odnieść wrażenie, że amerykańska polityka wobec Polski opiera się na prostej receptce: prawić jak najczęściej komplementów, obiecać trochę pieniędzy i do niczego się nie zobowiązywać.

A miało być zupełnie inaczej. Podczas pierwszej wizyty w Polsce w czerwcu 2001 roku Bush ogłosił bliski sojusz z Polską, a przez ostatnie cztery lata kilkakrotnie mówiono nawet o „strategicznym partnerstwie”. Rok temu obaj prezydenci ogłosili „polsko-amerykański sojusz na XXI wiek”.

Na wielkich słowach się skończyło. Wbrew szumnym zapowiedziom nie staliśmy się ani europejskim rzecznikiem NATO, ani mediatorem między „starą” Europą a USA. Jeszcze w styczniu 2004 roku Włodzimierz Cimoszewicz przekonywał Sejm, że „nowa jakość w stosunkach polsko-amerykańskich jest źródłem wzrostu naszej pozycji, także wobec partnerów europejskich”. Owszem, wchodząc do Iraku, pokazaliśmy Niemcom i Francji swoją niezależność, ale wciąż odrabiamy polityczne koszty tej demonstracji, zaś pozycja międzynarodowa Polski trwale wzrosła głównie w oczach jej własnych obywateli.

– Polska przeceniła stabilność i jedność proamerykańskiego stronnictwa w Europie, a przesadne afiszowanie się z sojuszem zasko-



Sojusz ZŁUDZEN

Stragiczne partnerstwo między USA a Polską od początku było geopolityczną iluzją. Szkoda tylko, że nie obróciliśmy jej w realne korzyści

dziło jej wizerunkowi w Unii – uważa Kai-Olaf Lang, analityk z Niemieckiego Instytutu Polityki Międzynarodowej SWP w Berlinie.

O ile amerykańska retoryka o potęgze Polski od początku wydawała się przesadną uprzejmością, o tyle współpraca gospodarcza zapowiadała się zupełnie realnie. Preludium do niej miały być inwestycje offshetowe związane z zakupem samolotów F-16. Wbrew oczekiwaniom offshet, realizowany z opóźnieniami, nie stał się wizytówką amerykańskich inwestycji w Polsce, a sam „dobry klimat wzajemnych stosunków” nie wystarczył, by zwiększyć napływ kapitału (USA pozostają trzecim po Francji i Holandii inwestorem zagranicznym w Polsce). Błędne okazało się też założenie, że udział w interwencji przełoży się na kontrakty dla polskich firm przy odbudowie Iraku.

Nawet współpraca wojskowa ma ograniczony charakter. Na niczym spełzły plany przeniesienia do Polski amerykańskich baz – kilka tygodni temu okazało się, że Amerykanie zakładają nowe przyczółki, ale w Rumunii i Bułgarii. Fundusze na modernizację polskiej armii można równie dobrze uznać za dotację dla amerykańskiego przemysłu zbrojeniowe-

go, bo można nimi płacić wyłącznie w amerykańskim demobilu lub u amerykańskich producentów broni.

Tegoroczne fundusze, których zwiększenie do stu milionów dolarów Kwaśniewski przedstawia jako sukces swojej wizyty, mogą zostać znacznie zredukowane. „Wobec dużych ciężkich wydatków wewnętrznych Kongres podda zagraniczną pomoc wnikliwej analizie” – ostrzega „Financial Times”. Niezależnie od sumy (sto milionów dolarów to 1,6 procent budżetu obronnego Polski) dotowanie cudzej armii trudno uznać za wyraz strategicznego partnerstwa. Raczej za symboliczną nagrodę, która ma powstrzymać Polskę przed zbyt szybką dezercją z irackiej koalicji. Tak sens tej pomocy odczytał „New York Times”.

MIT PARTNERSTWA

Czas pogodzić się z faktem, że z USA łączy nas dziś taktyczny, doraźny sojusz wojskowy. Wbrew temu, co powtarzają politycy, nie jest on wyrazem szczególnego partnerstwa, ale owocem strategii międzynarodowej, którą waszyngtoński ośrodek analityczny Heritage Foundation nazwał eufemistycznie „zbieraniem

wisienek” (cherry-picking). Wobec braku poparcia ze strony tradycyjnych sojuszników na użytek wojny w Iraku USA zmontowały doraźną koalicję mniejszych krajów. Ich przywódców nagrodziły gestami bliskości, a obywatele skusiły „wielkosojuszniczą” retoryką i obietnicami pomocy finansowej dla wojska.

Jednak do przedsięwzięć, które Amerykanie zaplanowali na drugą kadencję – między innymi proces pokojowy w Izraelu, rozwiązanie kwestii irańskiej – nie wystarczą już „wisienki”. Dlatego w ubiegłym tygodniu amerykańska sekretarz stanu zabiegała w Brukseli o naprawę stosunków z Europą Zachodnią i ożywienie współpracy wojskowej w ramach NATO. – Nie ma starej i nowej Europy. Europa jest tylko jedna – mówiła pani Rice.

Z tego samego powodu słabnie też „wielkosojusznicza” retoryka. W Białym Domu już tylko polski prezydent mówi o strategicznej współpracy, Bush – o stosunkach dwustronnych. – W Europie jest miejsce tylko dla jednego strategicznego partnera USA. Jest nim już Wielka Brytania – mówi „Przekrojowi” Aurora Wenlin, analityk z Centre for European Reform w Londynie.

MÓWIĆ, NIE ZAŁATWIAĆ

Niezależnie od natury polsko-amerykańskiej współpracy i skali polskich rozczarowań amerykańską szczodrością przez ostatnie cztery lata najwięcej mogliśmy zrobić dla siebie sami. Jak? Wykorzystując bliskość z mocarstwem do samodzielnego budowania międzynarodowej pozycji Polski. Polski prezydent był jednym z najczęstszych zagranicznych gości w Białym Domu, ale nie potrafił wcielić się w rolę partnera Busha, jak robili to Blair czy Berlusconi. Przeciwnie, akcentując problemy dwustronne i powtarzając polskie prośby w sprawie wiz, Kwaśniewski stawiał się w pozycji petenta, a nie międzynarodowego gracza, w której to roli obsadzali go Amerykanie.

Blair załatwiał brytyjskie interesy za zamkniętymi drzwiami. Konferencje prasowe u boku Busha wykorzystywał do prezentowania swoich ocen sytuacji międzynarodowej i tłumaczenia polityki zagranicznej Wielkiej Brytanii, innymi słowy – do budowy wyrazistej pozycji własnego kraju w świecie.

Podczas ostatniej wizyty w Białym Domu Kwaśniewski mógł stwierdzić, że Ukraina powinna stać się członkiem NATO i Unii. Mógł też zadeklarować, że Polska nie zamierza uczestniczyć w żadnych akcjach zbrojnych przeciw Iranowi, a zarazem jest gotowa posłać żołnierzy na misję ONZ do Darfuru i ewentualną misję rozjemczą NATO w Palestynie.

Takie deklaracje nie tylko przykułyby uwagę mediów, ale pokazałyby światu, że Polska nie jest bezwolnym sojusznikiem. Inicjatywa kosztowałaby jednak Kwaśniewskiego sporo cierpkich słów ze strony niezadowolonych przywódców Unii, być może także Busha. Nie pierwszy raz obawa prezydenta przed wykluczeniem z międzynarodowych salonów zniweczyła szansę na budowę wizerunku Polski.

AMBICJE I KOMPLEKSY

W ostatnich czterech latach polska strategia wobec USA stała się wypadkową mocarstwowych ambicji zbiorowych i osobistych kompleksów konkretnych polityków. W rezultacie podjęliśmy ogromne ryzyko udziału w kontrowersyjnej wojnie, wykazując zarazem niewiele własnej inicjatywy, by przekuć tę decyzję na inne korzyści niż hipotetyczne gwarancje bezpieczeństwa.

Niestety, czas, kiedy na sojuszu z Ameryką można było budować pozycję Polski, właśnie minął. Po odwilży nad Atlantykiem od amerykańskiej przyjaźni ważniejsza dla Polski jest europejska jedność. – Dziś trzeba grać kartą europejską, a nie amerykańską – mówi Wenlin. Zdają się to rozumieć zarówno polski premier, jak i szef MSZ, bo grają dziś przede wszystkim do unijnej bramki. Tylko prezydent z uporem godnym lepszej sprawy walczy w Białym Domu o wizy.

WAWRZYNIEC SMO CZYŃSKI



Pierwsza Z gwarancją

Tylko teraz - skuteczność Flory pro.activ w walce z nadmiarem cholesterolu gwarantowana zwrotem pieniędzy. Kup i przekonaj się o jej efektywności. Jeżeli po 3 tygodniach regularnego spożywania Flory pro.activ Twój poziom cholesterolu we krwi nie obniży się, zwrócimy Ci koszty zakupu. Szczegóły promocji na opakowaniach, stronie internetowej www.florainstitute.pl oraz pod numerem Infolinii: 0801 109 387*



pro.activ
z naturalnymi sterolami roślinnymi

*całkowity koszt połączenia: 1 impuls wg taryfy operatora

Tajny współpracownik służb specjalnych nie jest wynalazkiem PRL-u i SB. Wszystkie służby na świecie werbują informatorów



W CZORAJ I DZIS AGENTA

TW – te dwie litery w ostatnich tygodniach zrobiły w Polsce gigantyczną karierę. Instytucja tajnego współpracownika nie jest jednak wymarłym reliktem PRL-u. Służby specjalne dalej czerpią swoje informacje, werbując tajnych współpracowników. Jednak wraz ze zmianą ich zadań zmienił się cel, bo już nie chodzi o zbudowanie armii donosicieli sypiących znajomych i raportujących o ich poglądach politycznych.

Dzisiaj służby mają służyć społeczeństwu, a nie z nim walczyć. Instytucja tajnego współpracownika jednak została. Werbunek informatorów to mimo postępu technicznego ciągle najskuteczniejsza metoda zdobywania informacji przez tajne służby. Nie tylko one, także policja werbuje swoich tajnych współpracowników, dzięki którym może na przykład rozpracowywać przekręty, gangsterów i mafię.

GÓRĄ HUMINT

Wiedza służb specjalnych pochodzi ze źródeł osobowych i nieosobowych. Te drugie to wykorzystywane wszelkiego rodzaju techniki, a więc na przykład podsłuchy, podglądy, obserwacja.

Takie metody zdobywania informacji mają jedną słabość. Jeśli ktoś wie, że jest obiektem obserwacji, może albo celowo wprowadzić w błąd wywiadowców, albo starać się urwać nadzorowi i uniknąć podsłuchów.

Technika może być doskonałym wsparciem i uzupełnieniem dla humintu. Termin ten powstał ze zbitki słów *human* oraz *intelligence* – czyli określenia wywiadu używającego osobowych źródeł informacji. Przekonali się o tym Amerykanie. CIA uwierzyła w swoje nieograniczone możliwości techniczne, zaniedbując pracę nad osobowymi źródłami informacji. Srogo za to została skarcona przez terrorystów z Al-Kaidy. Ciągłe jeden dobry informator może być cenniejszy niż sto świetnie ulokowanych podsłuchów i satelity komunikacyjne. Doskonale to ilustruje historia Aldricha Amesa, wysokiego urzędnika CIA. W 1994 roku amerykański

ski kontrwywiad wykrył, że Ames od wielu lat był najpierw sowieckim, a potem rosyjskim szpiegiem. Przez lata wyspał ponad sto amerykańskich operacji wywiadowczych. Takiego plonu Rosjanom nie zapewniłaby nawet najbardziej wyszukana technika.

USZY SB

Jest kilka rodzajów osobowych źródeł informacji. Służby na całym świecie mają hierarchię swoich informatorów. Taką hierarchię miała SB, potem UOP, a obecnie Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Agencja Wywiadu.

Współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa mógł zostać prawie każdy. Szczególnie wychwytywani byli ludzie aktywni, wybijający się w swoich środowiskach, tak zwane gwiazdy socjometryczne. Potem trwało ich rozpracowywanie, tworzone portret kandydata, następnie szukano z nim kontaktu i dobierano metodę werbunku. Te działania precyzowały wewnętrzne instrukcje, na przykład instrukcja 006 Służby Bezpieczeństwa o pracy służby operacyjnej z 1970 roku obowiązująca do grudnia 1989 roku.

Wyróżniała ona kilka kategorii osobowych źródeł informacji: kontakt osobisty, kontakt służbowy, tajny współpracownik i konsultant. Kontakt osobisty, najmniej sformalizowany,

był często oparty na relacjach towarzyskich. Kontakt służbowy dotyczył osób piastujących wysokie stanowiska w państwie, które z racji swoich funkcji musiały przekazywać informacje na żądanie SB. Tajny współpracownik to, potocznie mówiąc, agent SB. Konsultantów z kolei można porównać do biegłych.

SB gromadziła dokumentację związaną z pracą swoich agentów. Były to osławione teczę. Kandydat na agenta i agent dodatkowo byli zabezpieczani w kartotece „biura C” MSW. Miało to na celu między innymi uniknięcie werbunku tej samej osoby przez różnych funkcjonariuszy. Ale nie tylko, prowadziło to często do patologii zabezpieczania swoich znajomych tylko po to, by oficer prowadzący wiedział o ich kłopotach – na przykład z wymiarem sprawiedliwości. Takie mechanizmy kilka razy ujawniła prasa, opiszając, jak już w III RP policja rejestrowała zaprzyjaźnionych biznesmenów jako informatorów. Jeśli potem znaleźli się oni na celowniku wymiaru sprawiedliwości, jego oficer prowadzący musiał być o tym informowany.

TECZKI, TECZKI, TECZKI

– Zmieniły się cele, metody są te same. Tu nie nowego się nie da wymyślić – mówią obecni funkcjonariusze służb specjalnych. I dzisiaj informatorów tajnych służb można podzielić na tych,

którzy są zobowiązani do udzielenia informacji, i na tych, którzy takiego obowiązku nie mają.

Ci pierwsi z mocy prawa i z racji zajmowanych stanowisk, na przykład w instytucjach państwowych, muszą udzielać informacji funkcjonariuszom służb specjalnych. To jest właśnie tak zwany kontakt służbowy.

Z kolei kontakt operacyjny można dzisiaj określić mianem agenta. Tu oczywiście też da się wyróżnić kilka rodzajów. Należy bowiem odróżnić współpracę świadomą od nieświadomej. Informator wcale nie musi wiedzieć, że przekazuje informacje funkcjonariuszom służb specjalnych. Obecne służby nadal korzystają z konsultantów.

Wśród informatorów albo osób pracujących dla tajnych służb, ale niebędących w szeregu funkcjonariuszy, należy wyróżnić byłych oficerów specsłużb, którzy wykonują dla ABW lub AW jakieś zadania. Taki model działania często stosują zachodnie służby. W Polsce wykorzystuje się go ciągle w znikomym stopniu. Nie wykształcił się system regulujący wykorzystywanie osób odchodzących ze służby.

System jest potrzebny, by uniknąć potencjalnie niebezpiecznych sytuacji – na przykład gdyby oficer wywiadu wiele lat pracujący na odcinku wschodnim po odejściu z całym bagażem wiedzy wyjechał, powiedzmy, na Białoruś i tam podjął pracę w jakiejś firmie.

Współpraca z obecnymi służbami też jest dokumentowana w postaci tecezek. I na takiej współpracy również można zarobić pieniądze.

Artykuł 36 ustawy o ABW i AW mówi, że za udzielenie pomocy służbom można od nich otrzymać wynagrodzenie z funduszu operacyjnego. Oczywiście opodatkowane. Służby specjalne mają swój dział finansowy, w uproszczeniu – własny urząd skarbowy. Tam właśnie składają PIT-y funkcjonariusze.

KOGO WOLNO WERBOWAĆ

SB była częścią aparatu przemocy wymierzonego między innymi w demokratyczną opozycję. Powstały na gruzach SB UOP miał zupełnie inne cele: walkę z przestępczością, wywiad i kontrwywiad. I w tym celu służby poszukiwały informatorów.

Zmieniły się też niektóre metody werbunku. W działaniach SB można było wyróżnić kilka podstawowych zasad: werbowanie na materiały obciążające – agenci podejmowali współpracę w zamian za niepociąganie do odpowiedzialności za przestępstwa, na szantaż – groźba ujawnienia kompromitujących faktów, na chciwość – podejmowanie współpracy w zamian za pieniądze. To tylko przykłady środków perswazji. Jak się nieoficjalnie dowiedzieliśmy, obecnie wśród pobudek, jakimi kierują się informatorzy UOP-u i ABW, jest głównie poczucie słuszności, zasada lojalności i patriotyzm. Nie pieniądze, bo można by ich znacznie więcej zarobić choćby w prywatnych wywiadowniach gospodarczych.

SB miała swoje wewnętrzne instrukcje dotyczące tego, w jakich środowiskach nie wolno szukać tajnych współpracowników. Oczywiście instrukcje były tylko na papierze. Obowiązywały też wytyczne mówiące na przykład, że oficerowie operacyjni powinni zwerbować i prowadzić co najmniej 10 TW.

W demokratycznych służbach również obowiązywały zasady, kogo wolno, a kogo nie wolno werbować. Dotyczyły one księży, adwoka-

tów, notariuszy i dziennikarzy. Ale od każdej reguły były wyjątki. Zawsze była furтка.

W połowie lat 90. funkcjonariusze UOP musieli sporządzać oświadczenia o swoich kontaktach z dziennikarzami. Ktoś doniósł o tym Rzecznikowi Praw Obywatelskich, który to zakwestionował. Ostatecznie takie zarządzenie odwołał szef UOP Andrzej Kapkowski. Także obecne służby przed werbunkiem starają się dyskretnie zbudować portret informatora. Zorientować się, kim jest, czy pije, bierze narkotyki, w jakich kręgach się obraca, słowem, dowiedzieć się wszystkiego, co ma wpływ na motyw i treść przekazywanych informacji.

W PRL-u służby specjalne prowadziły także prace wywiadowcze i kontrwywiadowcze. Miały również walczyć z przestępczością, choć często same dopuszczały się przestępstw. Dlatego nie każdy tajny współpracownik miał znaczenie polityczne. Zdarzały się też przypadki, że TW zwerbowany w PRL-u kontynuował współpracę z UOP-em w III RP. Ujawnienie historii współpracy poprzez umożliwienie wglądu do tecezek może rodzić pewne zagrożenia. Stąd przekazywano IPN-owi historię współpracy tylko do maja 1990 roku. – W swojej pracy nie spotkałem się z dokumentami późniejszymi niż wytworzone do maja-lipca 1990 roku – potwierdza Antoni Dudek z IPN-u.

Ponadto takie teczęki ciągle aktywnych TW mogły na mocy decyzji szefów służb specjalnych znaleźć się w IPN-ie, ale w zbiorze zastrzeżonym. Bez zgody szefów służb nie mogą tam zajrzeć nawet historycy IPN-u. Podstawą działania służb musi być pewność i gwarancja, że nie ujawnią one swoich informatorów. No, chyba że odkryje to jakaś komisja śledcza, która wytropiła informatorów UOP-u w PKN Orlen. Ale to już zupełnie inna historia.

GRZEGORZ INDULSKI



PRZE KROJ

zapraszają na konkurs:



BIAŁE SZALEŃSTWO

Prześlij swoje najzabawniejsze i najbardziej szalone zdjęcie z pobytu w górach na adres: narty@tvn.pl

Oglądaj najlepsze zdjęcia na antenie TVN Meteo oraz na na stronie www.przekroj.pl

Zagłosuj na swojego faworyta i **wygrywaj nagrody!**

Autor zwycięskiego zdjęcia otrzyma **mega zestaw narciarski** i tygodniowy pobyt dla dwóch osób w **Maso Corto**

Z pierwszej w Polsce publicznej debaty nad projektem ustawy zadowolony był minister Mowa Marek Balicki. Dotyczyła narkotyków. Narkomani nie wzięli w niej udziału

W Ministerstwie Zdrowia stawiło się przeszło sto osób. Płci obojga, w wieku od lat 20 (działacze młodzieżówek politycznych) do niemal 100 (profesorowie, lekarze i terapeuci, którzy na pracy z narkomanami zęby zjedli). Młodzi – to głównie „nowi przyszczeni”, w garniturkach, z paznokciami ogryzionymi do skóry, a jednocześnie wyszczeni, pewni siebie. Pchają się do przodu z przytupem, nie przeszkadza im brak doświadczenia czy wiedzy fachowej. Pragnęli zaistnieć przed kamerami – i chyba im się udało, chociaż jeden młody gniewny czytał z kartki przygotowane wystąpienie w takim tempie, że niemal nie dało się go zrozumieć. Starsi patrzyli na młodź z pewnym pobłażaniem: oni już nieraz takich widzieli.

Żaden z uczestników spotkania nie zadeklarował, że projekt ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii dotyczy jego osobiście. Czyli że jest lub był narkomanem. W nabitej po brzegi sali konferencyjnej wszyscy byliśmy „czyści”. Ale prawie połowa przemawiających wołała: – Zalegalizujcie marihuanę!

PUBLICZNE WYSŁUCHANIE

W siedzibie ministerstwa w zesłą środę po raz pierwszy w Polsce wiodła zwołała public hearings, czyli publiczne wysłuchanie opinii społecznych na ważny temat (tu – projektu kontrowersyjnej ustawy). Minister Marek Balicki zaprosił 30 organizacji społecznych – między innymi Monar, Helsińską Fundację Praw Człowieka, stowarzyszenie Powrót z U. Kilka dziesiąt osób przyszło z własnej inicjatywy.

Public hearings to procedura powszechnie używana w Stanach Zjednoczonych i w krajach Europy Zachodniej. Rządy pozwalają się wypowiedzieć stowarzyszeniom i organizacjom, a także osobom prywatnym – w publicznym wysłuchaniu może wziąć udział każdy dorosły obywatel, jeśli zgłosi się w podanym terminie i poda swoje dane.

MŁOTEK OD OWSIAKA

Public hearings nie jest dyskusją publiczną. Wręcz przeciwnie – to technika „gadał dziad do obrazu, a obraz doń ani razu”. Każda z osób, która zgłosiła chęć wystąpienia, ma prawo mówić przez trzy minuty. Trzeba trzymać się meritum i nie należy polemizować z przedmówcami. Z góry wiadomo, że całe wysłuchanie zakończy się po dwóch godzinach. Kto nie zdąży, może zostawić swoją opinię na piśmie. Moderator Marek Jefremienko (siwy kucyk, granatowa marynara ze złotymi guzikami) zbyt długie wypowiedzi przerywać będzie głośnym TRZASK! Drewniany młotek, jak

z „prawniczych” filmów amerykańskich i aukcji Sotheby’s, Ministerstwo Zdrowia ma od Jurka Owsiaka. Kontrowersje budziło zaledwie kilka punktów ustawy:

- * czy należy przestać karać za posiadanie na własny użytek niewielkiej ilości narkotyków? (art. 62, ust. 3)?
- * czy leczenie narkomanów nadal powinno być dobrowolne, czy może należy ich do tego zmuszać (art. 27)?
- * czy należy zabronić reklamy produktów i usług, jeśli ich znak lub nazwa kojarzą się z substancją psychotropową (art. 22, ust. 1 i 2)?

I to one podzieliły salę. Wesołość wzbudził na przykład pomysł ścigania reklam: – Czy zakazemy reklamowania coca-coli? Pierwszy członek nazwy nawiązuje do kokainy, a drugi do orzeszków o właściwościach odurzających.

Maria Malewska, lekarka: – Jestem za tym, by listki marihuany zniknęły z witryn sklepów. To akurat z pewnością da się zrobić.

JEDNA TABLETKA, DWA LIŚCIE

Większość gości ministerstwa pokpiwała ze sformułowania „nieznaczna ilość” substancji odurzających: bo co to właściwie jest? Jedna tabletki, działka, dwa liście? Świeże czy ususzone? I jakiej długości? Nieznaczna ilość to może być nie tylko marihuana, lecz także amfetamina, ekstazy, brown sugar lub heroina. Czy one również są dozwolone i ich posiadanie nie będzie ścigane? Ale salę podzieliła najbardziej kwestia „karać czy nie karać” za posiadanie przy sobie niewielkiej ilości narkotyku „na własny użytek”. – Nie chcielibyśmy, aby wsadzano nas do więzień za skręta ani żeby sankcje dotknęły nasze dzieci. Nowa ustawa jest dobra, bo liberalna! – tak mówili wszyscy, którzy rozważali problem czysto teoretycznie. Bo zdanie rodziców narkomanów i terapeutów pracujących z uzależnionymi było zupełnie inne.

– Sprzeciwiamy się swobodzie posiadania nawet niewielkiej ilości narkotyków – mówił Janusz Zimiak ze stowarzyszenia Powrót z U. – Nikt nad tym nie zapanuje. Uzależnione dzieciaki już teraz wykorzystywane są do dystrybucji i sprzedaży działek, bo wiadomo, że w razie wpadki będą traktowane łagodniej.

Ustawa powinna stawiać barierę pomiędzy narkomanem ofiarą a dilerem przestępcą, co do tego wszyscy byli zgodni. Pytanie, jak to zrobić? Ludzie z Monaru twierdzą wprost, że to niemożliwe: narkoman i diler wyglądają tak samo i działają ręką w rękę.

– Posiadanie narkotyków to jedyne przestępstwo, w którym nie ma pokrzywdzonego – mó-

wił profesor Wiktor Osiatyński. – Doniesienie o przestępstwie składa policjant, a im częściej to robi, tym wyższą policja będzie miała wykrywalność.

Do 2002 roku w Polsce obowiązywał przepis mówiący, że posiadanie nieznacznej ilości narkotyku jest zabronione, ale niekaralne. Pod naciskiem rodziców narkomanów i policji wprowadzono karanie za posiadanie działki. Więzienia zapelnili się narkomanami. O ile w 1997 roku siedziało zaledwie 156 osób skazanych za posiadanie narkotyków, w ubiegłym roku było ich sześć tysięcy. – Łagodna ustawa zablokuje najskuteczniejszą drogę docierania do handlarzy – twierdził Wojciech Zabłocki z Forum Młodych „Prawo i Sprawiedliwość”. – Bo teraz jest tak, że policja chwytając działkę z działką i mówi: pójdziesz za to na rok do pułda albo wydasz tego, kto ci ją sprzedał...

– Jeśli teraz te dzieci dowiedzą się, że mogą legalnie mieć przy sobie działkę na osobisty

użytek, oszaleją ze szczęścia! – ocenia Elżbieta Pawłosek z Polskiego Towarzystwa Przeciwdziałania Narkomanii.

OSTRA ZIELEŃ DA TRAWY



Z młotkiem – prowadzący dyskusję Marek Jefremienko, obok minister Marek Balicki

użytek, oszaleją ze szczęścia! – ocenia Elżbieta Pawłosek z Polskiego Towarzystwa Przeciwdziałania Narkomanii.

KOCHAMY ZIELE

Mamy w Polsce młode, silne i hałaśliwe lobby miłośników marihuany. Dowiedzieliśmy się na jej temat mnóstwa dobrych rzeczy. Że zale-

dwa trzy procent miłośników konopi sięga po narkotyki twarde (lekarze i terapeuci zapewniali, że jest zupełnie inaczej). Że „ziele” ma wiele cennych właściwości leczniczych i poprawia humor. Nawet chorym na raka! Proponowano więc, żeby dorosłych ludzi, którzy od czasu do czasu lubią zapalić trawkę, traktować tak samo jak tych, którzy palą papierosy i okazjonalnie piją alkohol. – Marihuana jest używana masowo przez studentów, a to oni będą wkrótce elitą tego kraju – dowodził Michał Tragarz, student. – Nie czynimy z nich przestępców. Trzeba wprowadzić możliwość hodowania konopi dla wszystkich.

Nagłośniejsze było Stowarzyszenie Młodzi Zieloni 2004 „Ostra Zieleń”: – Chcemy rozdzielania narkotyków na twarde i miękkie, legalizacji marihuany i edukowania na temat zagrożeń narkotykami twardymi, które są niebezpieczne. Więzienie za skręta to absurd! Prostańcie nas traktować jak idiotów.

Tego samego zdania była młodzieżówka Unii Pracy i stowarzyszenie Koliber. – Cannabis [marihuana – red.] trzeba oddzielić od innych narkotyków, tak jak pijących oddziela się od alkoholików. Skończmy z obłudą. Cannabis jest lepsze niż papierosy, bo działa przeciwwzapalnie, przeciwwymiotnie, uspokajająco, poprawia nastrój.

Instruktaż na temat zalet marihuany przewalało głośnie TRZASK!

Justyna Marciniak, młoda osoba „reprezentująca siebie”, zatroszczyła się o artykuł 54, ustęp 2: – Mówi się w nim o „karze za przystosowanie naczynia lub narzędzia” do spożywania narkotyków. Czy to znaczy, że moje dziecko będzie karane za używanie filki?

Mowa-trawka podzieliła salę: lekarze, terapeuci i rodzice uzależnionych zaczęli patrzeć na waleczną młodzież z wyraźnym rozbawieniem. Po sali poszedł szum: „Ale plotą...”, podniosły się głosy: – Niech dziecko nie pali! Niech pani mu nie daje!

LUBISZ TRAWĘ – NAPISZ O TYM W CV

Głosy „lobby rodziców i wychowawców” brzmiały równie mocno jak Ostrej Zieleni – choć bez porównania spokojniej. – Marihuana jest wstępem do poważnych uzależ-

nień – twierdziła Elżbieta Pawłosek, terapeuta 13-latków. – Przestaje kręcić mniej więcej po dwóch latach i wtedy sięga się po coś mocniejszego. Za pieniądze z okradania własnych rodziców i za radia kradzione z samochodów.

Również Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej zgłosił sprzeciw: – Ministerstwo Zdrowia powinno propagować zdrowy styl życia. Dzięki liberalnej ustawie będzie rósł handel w szkołach, bo każdy uczeń będzie mógł mieć działkę na własny użytek.

Zaraz też zaczęto fantazjować, jak to będzie: może na szkolnych korytarzach staną automaty z działkami, bo skoro wolno mieć, to dlaczego nie kupić jej bezpiecznie, w szkole?

Andrzej Czarniecki z biura Rzecznika Praw Dziecka był za ostrym prawem i za zakazami,

„bo to jedna z najstarszych form wychowywania”. Szacuje się, że na świecie narkotyki przynoszą mafii 400 miliardów czystego zysku rocznie. Nie ma się co ludzi – nikt tego biznesu nie rzuci.

Dlatego – dowodzą – jeśli najmniejsza nawet dawka będzie nielegalna, jest szansa, że „drobni” użytkownicy wskażą drogę do dilerów, handlarzy, producentów.

Danuta Wiewióra, Monar: – Posiadanie narkotyków powinno być nielegalne. Trzeba jednak doprecyzować, kogo dotyczy ta ustawa. Jeśli dorosłe osoby są gotowe ponieść konsekwencje swoich wyborów (nie prowadzić auta po marihuanie, nie przychodzić do pracy w stanie wskazującym na spożycie, pisać w CV, że jej używają, etc.), to czemu im nie pozwolić?

Krzysztof Wilmowski z Fundacji Helsińskiej przypomniał: – Projekt ustawy nie zakłada legalizacji narkotyków, tylko wyjątkowe zwolnienie z kary kogoś, kto ma przy sobie nieznaczną ilość narkotyku. Naszym zdaniem to dobre rozwiązanie, szukanie mniejszego zła.

Mieczysław Łubiński, ojciec narkomana obecnie na leczeniu: – Proponuję wykreślić ustęp trzeci lub karać osobę uzależnioną nakazem leczenia. Mój syn bierze od sześciu lat. A zaczęło się niewinnie, właśnie od trawki...

TO COŚ DLA NAS

Przedstawiciele ministerstwa byli spotkaniem zachwyceni. Pierwsze polskie publiczne wysłuchanie można uznać za owocne i interesujące. Nikt nikogo jajkami nie obrzucił (naprzeciwko mnie siedział prezes warszawskich wszechpolsaków, któremu powtórzyłam, że jeden z gości czeka na rzucanie jajami w ich wykonaniu – uśmiechnął się, że przyszedł nieprzygotowany). Marek Balicki serdecznie podziękował zebranym. I zapowiedział spotkanie następane.

Rozeszliśmy się lekko zdziwieni, że Polacy są w stanie wysłuchać siebie nawzajem, nie biorąc się za łby, nie kłócąc i nie dywagując kwieciste do rana. Public hearings to coś dla nas. Pod warunkiem że jakiś młotek czuwa i spada z trzaskiem, potrafimy różnić się od siebie pięknie.

Dwie godziny wysłuchania to tylko część procesu legislacyjnego – ministerstwo rozważy głos narodu i za kilka dni mu odpowie. Poprawiony projekt ustawy powędruje do Sejmu, gdzie nadal można będzie nad nim dyskutować.

Sejm może – ale nie musi – wziąć opinie społeczne pod uwagę.

ALDONA KRAJEWSKA

Podyskutuj na ten temat w portalu Wirtualna Polska w serwisie www.wiadomosci.wp.pl

Kraina Stadionu Dziesięciolecia i Lecha Wałęsy nie jest już wysnionym rajem Wietnamczyków. Masowo wyjeżdżają z Polski

Z 8 na 9 lutego Wietnamczycy świętowali swój Nowy Rok. Dokładnie który – nie wiadomo. – Na pewno cztery tysiące którzy. Konkretnie nie wiem, bo nasza historia jest skomplikowana. Dla nas ważne, że to rok koguta – tłumaczy Nguyen Van Thai, prezes stowarzyszenia Solidarność i Przyjaźń. Świętujący Wietnamczycy nie mieli wesołych min. – To będzie ciężki rok. Dużo pracy, cały czas pod górkę – mówi pan Hao, właściciel warszawskiej restauracji Lilly. Podczas noworocznej fety na siódmym piętrze Millennium Plaza wiele miejsc było pustych, a odgłos fajerków puszczano z magnetofonu (tak jak w Wietnamie, gdzie rząd zabrania odpalania ogni sztucznych). – Kiepski handel. Polacy biedni, to i Wietnamczycy biedni. Mało się oplaca przyjeżdżać, wszystko drogie, a zarobek słaby – tłumaczy pan Hao.

49-letni Wong od dziesięciu lat mieszka w Warszawie. Z handlu w dniu Nowego Roku wróżył: zostać czy wyjechać. Zarobił tylko 294 złote. Czas więc żegnać się z Polską. W Wietnamie mógłby odwrócić fatum brzoskwiniowym drzewkiem szczęścia, kolacją z węża. Albo w jednym z wielu burdeli zamówiłby sobie za ciężkie pieniądze noc z nastolatką, najlepiej dziewczyną, i szczęście też by wróciło. W Polsce zdany jest na siebie. – Jak handel będzie dalej taki słaby, to trzeba będzie powiedzieć bye, bye pięknemu Ba Lan, czyli Polsce – mówi smutny Wong.

W Polsce zostaną ci, którzy założyli tutaj firmy, restauracje. Mają bogato urządzone domy i zalegalizowany pobyt. W Woli Kosowskiej zbudowali ogromne magazyny na towar sprowadzany z Wietnamu. Obracają milionami. Nie są już uzależnieni od Stadionu. Pozostali Wietnamczycy będą zniknąć w miarę jego kurczenia się. – Ten wielki jarmark pustoszeje od końca 2003 roku. Już wtedy więcej było oglądających, mniej kupujących. Teraz w ogóle mniej ludzi odwiedza Stadion. A to barometr polskiego społeczeństwa. Tam widać, jak się nam powodzi – mówi ksiądz Edward Osiecki, werbista z parafii na warszawskim Natolinie, który opiekuje się społecznością wietnamskich katolików. Jego zdaniem jeszcze za nimi zatęsknimy. – Kto jeśli nie Wietnamczycy zastąpi te sto tysięcy Polaków, którzy co roku wyjeżdżają z kraju, ale w drugą stronę? – pyta.

UWAKA W KIERACIE

W połowie lat 90. w Polsce było od 50 do 60 tysięcy Wietnamczyków. Większość przyjechała z byłego NRD. Po upadku muru berlińskiego we wschodnich Niemczech bez pracy zostało ponad 40 tysięcy Wietnamczyków, których własna ojczyzna nie chciała przyjąć. Po kilku latach negocjacji ojczyzna wreszcie się zgodziła. Ale wtedy NRD-owscy Wietnamczycy zaczęli uciekać przed deportacją do Polski. Niemcy nie robili im specjalnych trudnień. Większość z nich zamieszkała w Warszawie. Część wybrała Śląsk, Szczecin, Gdańsk. Kilku mieszka w Krakowie.

Ilu jest ich teraz? W całym kraju nie znalazłem ani jednego urzędu ani instytucji, która byłaby w stanie to określić. Jedni



Vo Van Long, dziennikarz gazety „Que-Viet”, podczas zbiórki na ofiary tsunami na Stadionie X-lecia



Nguyen Van Thai, prezes Stowarzyszenia Wietnamczyków w Polsce „Solidarność i Przyjaźń”



Justyna Le z synem Erykiem



Członek wietnamskiego klubu seniora, pan Tinh

AGENT NA AGENCIE

Działacze Ruchu na rzecz Demokracji w Wietnamie zarzucają pracownikom Ambasady Wietnamskiej w Warszawie, że pod przykrywką działalności dyplomatycznej stworzyli rozbudowaną siatkę agenturalną. – Przede wszystkim inwigilują własne środowisko. Ale na tym nie poprzestają – mówi Robert Krzysztoń, jeden z członków ruchu. Wietnam jest na liście państw łamiących prawa człowieka. – Tam ciągle ludzie giną, bo powiedzieli za dużo albo skrytykowali system – dodaje. Jego organizacja włączyła się w obronę szóstki wietnamskich uchodźców, którym polski rząd odmówił prawa pobytu i zamierza ich wydalic do ojczyzny. – Krytykowałam system. Jak mnie deportują, to z miejsca pójdę do więzienia – mówi Lan Ngo Thi. Do Polski przedostała się nielegalnie. Uciekla przed represjami za rozsyłanie maili z informacjami o łamaniu praw człowieka w Wietnamie. – Dwójce tych ludzi grożą kary śmierci, ale polski rząd woli Wietnamczykom sprzedawać czołgi, niż bronić ich praw – denerwuje się Krzysztoń.

mówią 20 tysięcy, inni – 40 tysięcy. Prawie 40-milionowe państwo nie jest w stanie określić liczby mniejszości, która już na pierwszy rzut oka różni się od rdzennych mieszkańców. – To dlatego, że nie istnieje nic takiego, co można by nazwać polityką imigracyjną Polski. Urzędnicy stosują własną politykę, która opiera się na profilaktycznym odmawianiu pobytu. Szczególnie dotyczy to Wietnamczyków. Tworzy się więc szara strefa – mówi doktor Teresa Halik, wietnamista z Uniwersytetu Warszawskiego. Mniej więcej w 2000 roku Wietnamczykom zakrecono kurek z wizami. Najbardziej skorzystała na tym międzynarodowa szajka przemytników żywego towaru. – Cena za przetrzut podskoczyła z około czterech do 10 tysięcy dolarów – mówi pułkownik Jarosław Żukowicz, rzecznik Straży Granicznej.

Dla przeciętnego Wietnamczyka to więcej niż fortuna. Tych, których uda się przetrzucić



Stadion X-lecia.
Z lewej: W barze. Z prawej: U fryzjera

Kiedy Wietnamczyk w Polsce umiera, na jego miejsce wskakuje kolejny nielegalny emigrant. Policja nie potrafi ich odróżnić. Są nieśmiertelni

przez polsko-ukraińską granicę, czekają później lata niemal niewolniczej pracy, żeby spłacić dług. Najgorzej wychodzą na tym „uwaki”. To ci, którzy na warszawskim Stadionie całymi dniami kursują pomiędzy magazynami a stoiskami i wózkami, rozwożąc towar. Znają tylko jedno słowo – „uwaga” – więc Polacy ochrzczili ich „uwakami”. Pracują za jedzenie i paczkę papierosów dziennie. W sobotę i niedzielę dostają po puszcze piwa. Nie mają pojęcia o kraju, w którym żyją, bo szef nie pozwala im wychodzić poza Stadion. Kiedyś musieli tak pracować około roku. Teraz coraz dłużej. – Nawet Wietnamczyk nie wytrzyma takiego kieratu. Dlatego wietnamski strumyk wysycha – mówi policjant, który inwigiluje ich środowisko.

SZTUCZKA Z UMIERANIEM

Coraz trudniej też zalegalizować pobyt. Fikcyjne śluby to już niemal przeszłość. Kiedyś za trzy-pięć tysięcy złotych można było ożenić się z bezrobotną Polką, która potrzebowała gotówki i o nic nie pytała. – Sama znam kilka takich dziewczyn. Niektóre nawet nie umiały wymówić nazwiska męża – mówi Kaśka z Gliwic. Ale to już przeszłość. Policja coraz częściej wszczyna śledztwa w sprawie stwierdzenia autentyczności małżeństwa. Działają na zlecenie wojewodów. – Urzędnicy robią naloty na mieszkania, czy razem żyją. Przeginają już w drugą stronę. Ostatnio zakwestionowali małżeństwo Polki z Katowic, która z Wietnamczy-

kiem miała dwójkę dzieci. Chcieli jej wmówić, że z mężem nic jej nie łączy – mówi Robert Krzysztóń, który społecznie pomaga Wietnamczykom w Polsce.

Im szuba jest bardziej dokręcana, tym większą pomysłowość wykazują Wietnamczycy. – Oni w jakiś cudowny sposób nie umierają – poddaje trop pułkownik Jarosław Żukowicz ze Straży Granicznej. W danych Głównego Urzędu Statystycznego za niektóre lata nie ma informacji na temat zgonów wśród tej nacji. – Objęte są tajemnicą statystyczną – usłyszałem w GUS-ie. Tajemnica statystyczna dotyczy informacji, które pozwalają na zidentyfikowanie konkretnych osób. W przypadku zgonów dane utajnia się, jeśli jest ich mniej niż trzy w roku. W 2003 roku na 715 zmarłych cudzoziemców trzech było Wietnamczykami. Rok wcześniej czterech, a w 2001 znów trzech. – W tej społeczności paszport jest przechodni. Kiedy Trung schodzi z tego świata, odbywa się nieoficjalny pogrzeb i kolejny nielegalnie przebywający w Polsce emigrant wskakuje na jego miejsce. I tak Trung zostaje niemal nieśmiertelny – tłumaczy pułkownik Żukowicz.

Sztuczka się udaje, bo wietnamskie dokumenty łatwo podrobić, a na dodatek polscy urzędnicy mają kłopoty z odróżnieniem Wietnamczyków. – Na początku nasi kontrolerzy nigdy nie mieli pewności, kogo tak naprawdę sprawdzają. Teraz jest trochę lepiej – mówi Maciej Eckardt, wicedyrektor Wojewódzkiego Urzędu Pracy w Warszawie.

ZOŚKA ZAMIAST HANDLU

– W Polsce jest zły klimat na biznes. Granice zamknięte, ludzie biedni, kontrole jedna za drugą – narzeka jeden z wietnamskich biznesmenów. W połowie lat 90. na jednym stoisku miał obroty rzędu nawet 10 tysięcy dolarów miesięcznie. Ściągał do Polski rodaków, bo nie był w stanie sam wszystkiego zrobić. Teraz zarabia trzy tysiące. Ale złotych.

– Będzie jeszcze gorzej. Ale ja przetrwam, biedni muszą wrócić – mówi. Biedni to ci, których każdego dnia można spotkać na Stadionie lub bazarach. Ich szefowie sami pracować już nie muszą. Wielu ma polskie paszporty. Polska jest ich drugim domem. A dla ich dzieci to już ojczyzna. Od swoich polskich rówieśników róż-

nią się jedynie kolorem skóry i pilnością w nauce. – Wybijają się. Nawet z polskiego potrafią być lepsze od polskich dzieci – mówi Anna Osieńczyk, nauczycielka polskiego z warszawskiej Szkoły Podstawowej numer 75. Za to słabo radzą sobie z mówieniem po wietnamsku.

Zła koniunktura najbardziej dotknęła żyjących ze Stadionu. Kilka lat temu Linh zaczynał swój dzień o drugiej w nocy. Od trzeciej miał godzinę na rozłożenie towaru. O czwartej Jarmark Europa zaczynał żyć swoim rytmem. Od piątej zaczynał się już ostry handel. Teraz handel zaczyna się i zaraz kończy, i znów się zaczyna, i znów kończy. Podczas mrozów Linh nawet nie otwierał swojego stoiska. Za zimno, mało klientów. Kiedyś to było nie do pomyślenia.

Handel kończy się tak jak Stadion. Niby pełno tam ludzi, ale z dnia na dzień coraz mniej otwartych bud. Na początek opustoszały te bardziej na obrzeżach. Później spadały ceny. Miejsce Linha, niemal przy głównym wejściu do sektora wietnamskiego, kilka lat temu kosztowało ponad 10 tysięcy dolarów. Teraz wystarczyłoby zapłacić sześć, może nawet pięć tysięcy dolarów. Po paru godzinach sprzedawania w alejkach jest więcej Wietnamczyków grających w zośkę niż kupujących. Ale Linh umie odganiać ptaki smutku. Wierzy w Jezusa Chrystusa i w to, że Bóg nad nim czuwa. Ma zalegalizowany pobyt i w wieku 28 lat własną firmę. W domu komputer podłączony do Internetu i nigdy nie chodzi głodny. Myśli o kupieniu sa-

mochodu. W rodzinnej wsi byłby bogaczem. Udało mu się też ściągnąć do Polski brata z żoną i dzieckiem. Teraz liczy, że sam znajdzie żonę. – Polki to dobre żony, może i mnie się uda znaleźć jedną – mówi. Wtedy nie musiałby co roku przedłużać pobytu i mógłby spokojnie rozwijać biznes. Ale sam mówi, że chyba mu się nie uda.

RYZYKO SPACERU

Kiedy Polacy protestują przeciwko sposobowi, w jaki traktują nas na granicach Amerykanie, nie dostrzegają, jak sami postępują z Wietnamczykami. Najlepiej opisał to jeden z wietnamskich poetów pracujących na Stadionie:

„Nie mogę niczego ci opowiedzieć o Polakach / żyję wśród miliona ludzi nie rozmawiając / lecz o ludziach, których spotykam codziennie / policjantach, urzędnikach skarbowych, ochroniarzach nie chciałbym opowiadać”.

– Policjantów boją się chyba najbardziej. Nie ma się co dziwić. Wystarczy się przejść z samego rana na blokowisko osiedla Za Żelazną Bramą. Tam policja albo straż miejska najczęściej polują na zwierzyńcę. Nie masz papierów, to płacisz – mówi Robert Krzysztóń. – Jak masz szczęście, płacisz 50–100 złotych i idziesz dalej. Jak masz pecha, tracisz komórkę, obrączkę i wszystko, co przy sobie miałeś. Kto bez legalnych papierów pójdzie się poskarżyć? Zresztą komu?

Ksiądz Edward Osiecki, który na Stadionie ma swoją małą misję, dla wietnamskich katolików

CZY JEMY PSY?

Na początku 2003 roku policja poszukująca w Nowym Dworze Mazowieckim nielegalnej gorzelnicy znalazła również nielegalną rzeźnię. Prowadzący ją Wietnamczyk z bezdomnych psów i kotów robił półtusze, które sprzedawał rodakom. Sprawę nagłośniły media, sugerując, że psie i kocie mięso trafiało do garnków w wietnamskich barach. Zwierzęta przed zabicim były bite, żeby mięso miało lepszy smak. – To, że Wietnamczycy jedzą mięso psów, to żadna tajemnica – mówi misjonarz, ksiądz Edward Osiecki. Jego zdaniem na pewno nie jedzą go Polacy, nawet nieświadomie. – Kilogram psiego mięsa kosztuje dwa razy więcej niż kurczak. Zresztą smak jest tak specyficzny, że długo trzeba je przyprawiać. Nie opłaca się – dodał Osiecki, który na misjach jadł psie mięso. Przysmakiem wietnamskiej kuchni są też gołębie. – Tych z dachu to się nie bierze, bo trudno złapać. Te moje to z gieldy w Falenicy są – mówi Polak, który na Stadionie Dziesięciolecia sprzedaje Wietnamczykom gołębie. Wypatroszona sztuka z lebkkiem kosztuje pięć złotych.

GDZIE TA MAFIA?

Policja już 10 lat temu chciała dobrać się do czegoś, co nazwano wietnamską mafią. Podczas sejmowej debaty w lipcu 1994 roku Andrzej Milczanowski, ówczesny minister spraw wewnętrznych, stwierdził: „Odnotowaliśmy powstanie gangów jednolitych narodowościowo, tworzonych przez obywateli wietnamskich, ściśle powiązanych z istniejącymi już na terenie Europy wietnamskimi organizacjami przestępczymi”. Odnotować a udowodnić i złapać to dwie różne sprawy. Polska policja cały czas jest na etapie odnotowywania. – I pewnie szybko się to nie zmieni. Byłam kiedyś świadkiem rozmowy w sprawie odzyskania sporego długu. Rozmowa była bardzo miła, uśmiechali się do siebie, śmiali. Tydzień później dłużnik popełnił samobójstwo. To bardzo częsty sposób załatwiania u nich tych spraw. Żadnej przemocy, tylko perswazja – mówi Polka, która od dwóch lat jest żoną Wietnamczyka.

Policjant, który przestępczością obcokrajowców zajmuje się od dobrych 10 lat, o Wietnamczykach może opowiadać długo. O tym, jak uwielbiają burdele i hazard. Jak w czasie mistrzostw świata w piłce nożnej w 2002 roku w Korei ich zakłady hazardowe opiewały na 500 tysięcy dolarów i więcej. Od kilku miesięcy policjanci gorączkowo poszukują „wtyki” u Wietnamczyków. Przez kanały międzynarodowe dostali cynk, że Wietnamczycy wchodzą w Polskę w handel heroiną. Nasz kraj służy im jako baza przerzutowa na Zachód, ale coraz więcej towaru rozprowadzają i u nas. – Zresztą sporo zużywają sami – dodał. Policja niewiele wie. Także podsłuchy, które teraz robią tak oszałamiającą karierę, w tym przypadku są bezużyteczne. – Nie mamy nawet własnego tłumacza, korzystamy z usług ludzi z zewnątrz. To osoby związane ze społecznością, nie można im ufać – zdradza.

Wietnamski Nowy Rok (Święto Tet) w Millenium Plaza w Warszawie



Škoda Octavia Tour już od 25 585 zł*

PRZEMYŚLANE ROZWIĄZANIA



DUŻA I...



Dlaczego Škodzie Octavia Tour zaufało dotąd niemal 60 000 polskich kierowców? Bo żaden inny samochód nie oferuje tak wiele za tak niewiele: imponujące wymiary oraz trwałe, sprawdzone, niezwykle oszczędne, a jednocześnie dynamiczne silniki TDI. Rozważ wszystkie argumenty, przyjdź do salonu i odkryj Škodę Octavia Tour na nowo!

*Podana kwota stanowi 50% ceny Škody Octavia Tour 1.4/55 kW. Pozostałe 50% płatne w ratach w kredycie Volkswagen Bank Polska oprocentowanym już od 0%. Dostępna także promocyjna oferta Volkswagen Leasing Polska.

www.skoda-auto.pl

ŠkodaKredyt

VOLKSWAGEN BANK POLSKA S.A.

organizuje nie tylko msze, ale przede wszystkim pomoc w sytuacjach nagłych. Jego podopieczni dostają coś na wzór legitymacji ze zdjęciem, danymi, a przede wszystkim numerem telefonu i prośbą, żeby dzwonić do niego w razie kłopotów. „Wietnamskie” msze są co miesiąc. – To dlatego, że musimy na nie jeździć taksówkami. Mało kto ryzykuje chodzenie po mieście na piechotę – wyznał jeden z podopiecznych księdza Osieckiego.

Wietnamczyków można spotkać na bazarze, ale nie w kinie czy w knajpie. – Ci, którzy mają nie do końca zalegalizowany pobyt, nie ryzykują i po pracy siedzą w domach. Do tego dochodzi jeszcze bariera językowa – mówi doktor Teresa Halik.

Na ulicach też nie jest zbyt bezpiecznie. – Czasem w autobusie słyszę, że jestem żółta

małpa. Albo ktoś powie coś o żółtkach. Ale ja jestem buddystą i kocham Warszawę, więc nie reaguję – mówi Tuan, poeta, handlarz, ojciec dwóch polskich córek i mistrz wietnamskiej sztuki walki. Z tymi, którzy go obrażają, poradziłby sobie bez problemu. Ale woli układać wiersze. Na jego rodaków takie opowieści jednak mocno działają. Nie tego się spodziewali po ludziach, którzy obalili komunizm.

ZEMSTA HO SZI MINA

– Polacy jako ogół raczej lubią Wietnamczyków. Może dlatego, że mamy wiele cech wspólnych. Jesteśmy podobnymi bałaganiarzami, stawiamy na rodzinę, jesteśmy sprytni, no i bardzo lubimy pieniądze – wylicza doktor Teresa Halik. Polakom zasmakowały sajgonki i zupki błyskawiczne potocznie zwane „zemstą

PRZEMYŚLANE ROZWIĄZANIA



...OSZCZĘDNA

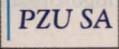


4.1 litra/100 km*



Właśnie tyle spala na trasie Škoda Octavia Tour z silnikiem 1.9 TDI! Oszczędności związanych z silnikiem TDI jest zresztą dużo więcej: trwałość i bezawaryjność technologii TDI, wyjątkowa elastyczność i niezwykła żywotność silników oraz niższa cena oleju napędowego. O uznaniu kierowców najlepiej świadczy fakt, że Škoda Octavia Tour jest od 2000 roku najczęściej kupowanym samochodem osobowym z silnikiem diesla w Polsce.

*Zużycie oleju napędowego wg EU 99/100 poza miastem, dla 1.9 TDI / 81 kW (110 KM)



Ho Szi Mina” (to od tego, że palą w ustach). A przede wszystkim Polakom podobały się ceny ubrań, które Wietnamczycy całymi kontenerami sprowadzali z ojczyzny. Czasem Polkom podobali się Wietnamczycy – oprócz setek lewych ślubów zdarzały się i te z miłości. Justyna z Gliwicy swojego męża poznała przez znajomych. Trung dosyć dobrze mówił po polsku, choć notorycznie mylił rodzaje. – Podobał mi się. Zresztą zachowywał się tak samo jak każdy Polak – wspomina. Trung był w Polsce nielegalnie. Próbował zalegalizować pobyt, ale go wydalono. – Wsiadłam w samolot i poleciałam za nim do Wietnamu. Tam wzięliśmy ślub – opowiada Justyna. Kłopoty zaczęły się po powrocie. – Zmienił się. Zaczął mi rozkazywać. Kazał zostawić dziecko matce i iść do pracy. W końcu wyrzuciłam go z domu.

Teraz odradza polskim dziewczynom mieszane śluby. – Ale cały czas marzę, żeby pojechać do Wietnamu, to uroczyste miejsce i tacy fajni ludzie – mówi Justyna Le z Gliwic.

Zdaniem antropologów Polacy na kontaktach z Azjatami mogą tylko zyskać. – Są pracowici, mają niespotykane w Polsce poszanowanie dla ładu i struktury społecznej. Cenią pracę. W tym społeczeństwie nie ma żebraków – wylicza doktor Maciej Ząbek z Uniwersytetu Warszawskiego. Wtórują mu socjologowie. Społeczeństwo jednolite etnicznie samo skazuje się na izolację. A przecież nawzajem można się dużo nauczyć. Nie można tracić tej szansy – mówi profesor Ewa Nowicka, współautorka książki „Wietnamczycy w Polsce”. Jej zdaniem od tej nacji można nauczyć się szczególnie dużo. – Od kuchni począwszy, na kulturze osobistej i stosunku do rodziny skończywszy – wylicza.

Tyle że już niedługo możemy nie mieć od kogo się uczyć. Ba Lan w oczach Wietnamczyków od kilku lat nie jest krajem gościnnym. Według obliczeń doktor Halik jest ich mniej niż 20 tysięcy i cały czas ubywa. Już dawno pod względem liczebności przeskoczyli ich Ukraińcy, których w okresie letnim bywa nawet 250 tysięcy, czy Ormianie, którzy rosną w siłę z roku na rok. A zdaniem policji ze wszystkich nacji najmniej problemów jest właśnie z Wietnamczykami. Na 946 obcokrajowców osadzonych w polskich aresztach i więzieniach tylko 48 to Wietnamczycy. Tak naprawdę skazanych jest sześciu, reszta to tymczasowo aresztowani, najczęściej za nielegalny pobyt albo nielegalne przekroczenie granicy. – Jak oni wyjadą, to kto da pracę tym Polakom, którzy pracowali w ich firmach? A nie jest takich ludzi mało. Co stanie się z tymi emerytkami dorabiającymi do emerytury opiekowaniem się wietnamskimi dziećmi? – pyta doktor Halik. – Przecież niemal każdy legalnie przebywający w Polsce Wietnamczyk miał firmę, płacił podatki. Mieli kontakty handlowe, dzięki którym sprzedawali najtańsze ubrania w Polsce. Kto ich zastąpi?

JULIUSZ ĆWIELUCH

Widmo ukraińskiej rewolucji nie krąży jeszcze po Rosji, ale młodzi zapaleńcy utworzyli już rosyjską Porę.
Na razie mają kilkuset członków, stronę w Internecie i bezpieczeństwo na karku

PORA NA PUTINA

JAKUB KUMOCZ,
MOSKWA

Ludzie z moskiewskiej Pory są nieufni. Zgadają się na spotkanie dopiero po długich namowach. – Służby depczą nam po piętach, nie możemy ot tak wpuścić człowieka, o którym nic nie wiemy – odpowiada na e-maila „Przekroju” 20-letni Stanisław Jakowlew. To rzecznik rosyjskiej Pory, kopii ukraińskiej młodzieżówki, która zdobyła sławę w czasie pomarańczowej rewolucji. Jakowlew i jego koledzy chcą, by ich krajem rządził ktoś taki jak Wiktor Juszczenko, a nie Władimir Putin.

W końcu udaje nam się nawiązać kontakt z grupą. Spotykam się z nimi w Moskwie, w kafejce w centrum. Porowcy chwają się zainteresowaniem, jakie wzbudzają. – Mamy 600 osób w całej Rosji i 200 w Moskwie, codziennie odbieramy po kilkadziesiąt maili, ludzie u nas cały czas są pod wrażeniem tego, co się stało na Ukrainie. Naszym celem jest rosyjska pomarańczowa rewolucja.

Strona internetowa rosyjskiej Pory powstała w grudniu i od początku stała się sensacją. Przypominała do złudzenia stronę prawdziwej, ukraińskiej Pory, więc kijowskie media zareagowały zachwytem. „Pora dotarła do Rosji”, „Putin ma swoją Porę”, „Nasi już tam są” – grzmią ukraińskie gazety. I jedna za drugą przypominały słowa Julii Tymoszenko, gdy z mównicy na Majdanie groziła Putinowi „przeniesieniem rewolucji” pod Kreml.

Rosyjska prasa postanowiła nie podejmować tematu. A niektórzy stukali się w czoło: – Putin jest za silny, jest nie do obalenia, do tego w najbliższym czasie w Rosji nie ma żadnych wyborów. Rosyjscy porowcy twierdzą, że wprost przeciwnie – teraz notowania prezydenta będą już tylko spadać. – Wystarczy spojrzeć, do czego doprowadziło zabranie ulg emerytom – demonstracje były w całym kraju, a Putinowi od razu poleciało poparcie.

WYCHODZENIE Z MARAZMU

Z czasem ludzie z Pory wyraźnie się rozluźniają. Rozdają wizytówki z logo organizacji,

a nawet numery swoich komórek. – Nie chcemy poddawać się tej beznadziei, która jest wokół – tłumaczy nieformalny lider organizacji, 22-letni Wiktor Morozow. Gdy przed pięcioma laty do władzy doszedł Putin, Morozow zaczął studia w prestiżowym MGIMO – Moskiewskim Instytucie Spraw Międzynarodowych. Był wtedy komunistą, wierzył, że „czerwoni” to jedyna siła zdolna przeciwstawić się Kremlowi. – Na wydziale

długo mnie ostrzegano, że nie wolno zajmować się polityką bez zgody kierownictwa, wzywał mnie dyrektor do spraw bezpieczeństwa, pułkownik FSB. Wreszcie nie dostałem paru zaliczeń, no i mnie wywalili – mówi.

Potem wystąpił z partii i związał się z lewicowym blokiem Ojczyzna – gorzej wybrać nie mógł, niby-opozycyjny sojusz od początku do końca sponsorowało otoczenie Putina. Odszedł. – Zrozumiałem, że wszystkie partie

w Rosji są sterowane z Kremla, tu jest tylko fikcyjna opozycja, Putin dla wszystkich jest carem i władcą, a to on sterroryzował kraj i zabija wszelką swobodę – mówi.

Andriej Sidielnikow, 29 lat, ma zupełnie inny życiorys. Od połowy lat 90. działał w różnych partiach liberalnych, był w Dumie asystentem demokratycznych deputowanych, wierzył w wolny rynek, reformy i Zachód. Zraził się do liberałów, gdy ci jeden po drugim albo uwikłali się w złodziejskie afery, albo w ostatnich latach zaczęli prześcigać się w służalczości wobec Kremla i legitymizować putinizm. Wierzył jeszcze w małą partię Liberalna Rosja, ale okazała się ona całkowitą klapą. Była wewnętrznie podzielona, miała poparcie 1–2 procent, do tego przysłała się do niej mafia. W sierpniu 2002 roku od kul zamachowca zginął jeden z jej liderów Wiktor Gołowow, a wiosną następnego roku zamachowiec zamordował jej najbardziej znanego polityka Siergieja Juszenkowa. – Zrozumiałem, że to wszystko nie ma sensu – albo prowokatorzy z Kremla, albo efemerydy polityczne. Kończy się tak samo – jedną wielką klęską. Tu Kreml rządzi wszystkim – mówi.

Sidielnikow i Morozow to typowi młodzi Rosjanie z Moskwy, którzy chcieli się bawić w politykę. Tysiące takich jak oni najpierw zasyłały młodzieżówki liberałów i demokratów, u wielu po dojściu do władzy Putina odżyła moda na Komsomoł. Dziś większość ma dość polityki. Rosją od paru lat rządzi marazm – partia władzy Jedna Rosja ma dwie trzecie miejsc w parlamencie, cały rząd, od lat nawet lokalnym gubernatorem nikt nie

został bez zgody Kremla. Młodzi mogą co najwyżej „pracować dla ojczyzny” w prokremlowskich Idących Razem, putinowskiej młodzieżówce, której ulica nadała nazwę Putinjugend. Zorganizowana odgórnie, na swoje wiece zwozi autokarami dziesiątki tysięcy ludzi, aktywistom wypisuje zwolnienia z zajęć szkolnych i – według mediów – przyjmuje granty od Gazpromu. Rewolucja na Ukrainie pokazała wielu Rosjanom, że można żyć zupełnie inaczej.

FLASH-MOBY ZAMIAST MASÓWEK

– Nikt z nas nie był w Kijowie – wtrąca się Jakowlew, poza polityką dziennikarz freelancer. Jest najbardziej wygadany z całego przywództwa Pory, próbuje być najpoważniejszy, jako jedyny przedstawia się oficjalnie z imienia i otczestwa. – Wielu z nas ma na Ukrainie przyjaciół i w czasie rewolucji byliśmy z nimi w kontakcie. Państwowa telewizja na nich pluła, więc mieliśmy takie hasło: „Nie wierz telewizorowi, zadzwoń do kumpla”.

Wyciąga kilkanaście zdjęć z dwóch pierwszych akcji. Nie robią żadnego wrażenia. Chłopaki w kilkanaście osób objeżdżali nocą punkty poborowe i przyklejali pomarańczowe wstążki – protest przeciwko braniu studentów do wojska, potem obchodzili siedziby rządzącej partii Jedna Rosja, pozostawiając u drzwi kukły Putina i dołączając do nich swoją deklarację programową. O wiele lepiej wyszli, pojawiając się ze swoją symboliką na protestach emerytów i w czasie grudniowej demonstracji poparcia dla ukraińskiej rewolucji.

Ale ukraińska Pora też zaczynała skromnie: jeszcze na parę miesięcy przed wyborami wyglądała i działała podobnie. – Stawiamy na happeningi i flash-moby. Nie robimy walnych zebrań co tydzień, bo nie chcemy od razu pójść siedzieć za zakłócanie



Wiktor, Andriej, Igor i Stanisław chcą być forpczą rosyjskiej rewolucji. Na razie założyli stronę internetową i zebrali kilkuset zwolenników

Poniżej: „Rosjanie z narodem Ukrainy” – Pora na demonstracji poparcia dla Wiktora Juszczenki, centrum Moskwy, grudzień 2004

Rosyjscy porowcy przekonują, że rewolucja jest tuż-tuż, a Putin traci poparcie.

Na horyzoncie brakuje jednego i najważniejszego – rosyjskiego Juszczenki



„Oddajemy wam waszą własność” – kukła Władimira Putina ląduje pod drzwiami Jednej Rosji

Fot. PORA

„czarnej” frakcji Pory Mychajło Swystowycz. Wład Kaškiw, wieczny rewolucjonista, który dowodził bardziej radykalną „żółtą” Porą, tworzy właśnie Centrum Wspierania Słabych Demokracji – chce szkolić niezależne młodzieżówki na obszarze byłego ZSRR. – Mam wrażenie, że między nami i ludźmi z rosyjskiej Pory są różnice ideowe. Wnikliwie

przeglądałem ich stronę i nie zachwycała mnie – mówi. Nie chce jednak wchodzić w szczegóły.

BIUROWA KONSPIRACJA

– Jestem o tych ludziach najgorszego zdania – Michaił Szejder, dawny dysydent, obecnie kadrowy pracownik Sojuszu Sił Prawicy (SPS) – jednej z tych partii liberalnych, które poszły na współpracę z Kremlem. Spotkanie z nim jest zupełnie inne niż z porowcami, najpierw milicjant u wejścia do siedziby partii przegląda mój paszport, później zostaję zaproszony do budynku, w którym panuje idealna cisza. Fotele i płaskie ekrany komputerów tworzą porządną, biurową atmosferę. – To my jesteśmy prawdziwym reprezentantem liberalnej opozycji i rosyjska Pora powinna powstać pod naszą egidą – mówi. Do tej, która już powstała, odnosi się z niechęcią. – To grupa niepoważnych młodych ludzi, mam wrażenie, że wśród nich jest kremloowski prowokator – twierdzi.

Szejder opowiada o swojej roli na Ukrainie. Zabrał tam pod koniec grudnia 30-osobową grupę spośród ludzi, którzy odpowiedzieli na ogłoszenie w Internecie. – To jest prawdziwa działalność! Ci ludzie nabierali doświadczeń, wrócili pod wrażeniem tego, co zobaczyli – mówi.

– Pozostał pan z nimi w kontakcie? – No tak, wymieniam maile z paroma osobami. Gdy nagle zrozumiał, co powiedział, pospieszenie dodaje: – Ja nie jestem od tworzenia młodzieżówek, niech młodzi robią to sami.

POKŁOSIE REWOLUCJI

Przy takiej postawie oficjalnej opozycji ruchy nieformalne i oddolne rosną w siłę. Porowcy zaczęli we właściwym czasie i właściwym miejscu. Ich strona tętni życiem, na forum pojawia się prawdziwa dyskusja, kontrastuje to z paroma innymi rewolucyjnymi organizacjami, które są nie-

mrawe – lewacką Czerwoną Porą czy Pomarańczową Moskwą.

Najsilniejsi z nich byliby narodowi bolszewicy, którzy od lat kontestują rosyjską rzeczywistość. Przegrywają jednak już na starcie – reżimu nie będzie obalać ugrupowanie, które ma w herbie trójramienną swastykę, zawiera w nazwie odwołanie do totalitarnego reżimu i którego lider – pisarz Eduard Limonow – dał się w latach 90. sfilmować w Bośni, jak strzela z ckm-u do oblężonego Sarajewa. Rosjanie uważają ich za ekstremistów, Zachód się nimi brzydzi, Kreml dał im *carte blanche*.

Głośno było natomiast o studencie z Petersburga Michaił Obozowie, który 5 stycznia na czacie zgadł się z kilkunastoma osobami i założył ruch Idący bez Putina. Trafił w dziesiątkę – zaczęli się do niego przyłączać aktywiści Idących Razem, którzy w liberalnym Petersburgu nabrali już niechęci do gospodarza Kremla. – To zdrajcy. Najprawdopodobniej zaprzęдали się za pieniądze zachodnich organizacji. My tego tak nie zostawimy – odgrażała się lokalna liderka pułnowskiej organizacji Maria Pietko. No i zrobiła Obozowowi reklamę.

WYBIJEMY WAM Z GŁOWY

Rosyjskiej Porze Idący Razem również zrobili prezent. – Zapowiedzieli, że nam wybiją z głowy rewolucję. Proponują debatę: ich szef i jakiś politolog przeciwko któremuś z nas. Chętnie na nią pójdziemy, choć jestem przekonany, że chcą nas skompromitować, wyśmiać, udowodnić, że nie mamy z nimi szans – twierdzi Morozow.

Porowcy święcie wierzą, że kiedyś w Rosji też będzie możliwa pomarańczowa rewolucja. Utwierdzają ich w tym przekonaniu sondaże – dziś prezydenta po raz pierwszy aprobuje mniej niż połowa Rosjan. – Naród zaczyna się budzić i prędzej czy później wyjdzie na ulice – zapewnia ich rzecznik. A najbardziej porowcy przywołują słowa Wiktora Juszczenki, które powiedział pod koniec stycznia, na parę dni przed zaprzysiężeniem na prezydenta: – Pomarańczowa rewolucja udowodniła, że można bronić swoich praw. Ona może się powtórzyć w każdym kraju, wszędzie tam, gdzie prawa te nie są respektowane.

Tyle że do rewolucji nie wystarczy niezadowolony. Potrzebny jest jeszcze ktoś jak Juszczenko, ktoś, kto będzie alternatywą dla Kremla i dla kogo naród będzie chciał marznąć na ulicach. A to już nie zależy od chłopaków z Pory.

JAKUB KUMOCZ, MOSKWA

DZIAŁA DOBROCZYNNIE



PEŁNE LECZENIE NA PRZEZIĘBIENIE!

W AKCJI POMAGA

fundacja przyjaciółka

Gość i ból związane z przeziębieniem lub grypą, bóle głowy, nerwobóle. ZF Polpharma SA SCO/035/11-2004

Przed użyciem zapoznaj się z ulotką, która zawiera wskazania, przeciwwskazania, dane dotyczące działań niepożądanych, dawkowanie oraz informacje dotyczące stosowania produktu leczniczego, bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

Władzę w Nepalu
przejęła inkarnacja
boga Wisznu.
Po 15 latach kulawej
demokracji król
zerwał połączenia
ze światem
i wprowadził
monarchię absolutną



Król Gyanendra dwa tygodnie przed przewrotem. W tym samym czasie nepalscy komuniści (poniżej) urządzili w Katmandu demonstracje w proteście przeciwko rosnącym cenom benzyny

w 1990 roku zdecydował się zrzec na władzę absolutną i uczynić z Nepalu demokratyczny kraj. Wstąpienie na tron znanego z autokratycznych zapędów Gyanendry wywołało w Katmandu zamieszki. Nowy król natychmiast rozpuścił parlament, a potem dowolnie dymisjonował i powołał kolejnych marionetkowych premierów, by w końcu, przed 10 dniami, zakończyć farsę zwaną nepalską demokracją.

WISZNU MÓWI DOŚĆ!



Na pierwszy rzut oka Katmandu wygląda tak jak zwykle. Samoloty wypływają z zagranicznych turyści, pola golfowe koło lotniska nie narzekają na brak klientów, podobnie jak bazar Thamel, gdzie można kupić buddyjską cepelię i T-shirty z pokemonami. Uwagę zwracają tylko wzmocnione patrole wojskowe na ulicach nepalskiej stolicy i zasieki z drutu kolczastego wokół parlamentu. Zamknięte naглуcho siedziby partii politycznych i blokada informacyjna kraju to znak, że w himalajskim królestwie dokonał się właśnie zamach stanu.

RYŻ W ETERZE

Na czele przewrotu stoi potomek boga Wisznu. We wtorek, 2 lutego, w bezpośredniej transmisji telewizyjnej inkarnacja czterorękiego boga o niebieskiej skórze ogłosiła wprowadzenie stanu wyjątkowego. Inkarnacja Wisznu nazywa się Gyanendra i jest królem Nepalu. Ponad 80 procent z 23 milionów mieszkańców tego hinduistycznego kraju wierzy, że ród królewski wywodzi się od wedyjskich bogów. Król zapowiedział dymisję rządu, zawiesił prawo do własności prywatnej, swobody wypowiedzi i demonstrowania. Zablokowano też telefony, sieci komórkowe i łącza internetowe. Żołnierze aresztowali cały rząd i przywódców czołowych partii politycznych. Mediom przydzielono oficerów, którzy pilnują przestrzegania cenzury.

Dzień po przewrocie Radio Sagarmatha, jedna z głównych stacji radiowych w Nepalu, swój wieczorny polityczny talk-show poświęciła dyskusji na temat wad i zalet różnych rodzajów ryżu. W ciągu dwóch dni król Gyanendra przywrócił w Nepalu monarchię absolutną, która panowała tam niepodzielnie jeszcze 15 lat temu. To widomy znak, że sadzonki demokracji nie najlepiej przyjmują się w Himalajach.

MASAKRA DYNASTII

Gdy w 2001 roku Gyanendra wstępował na tron, na ulicach Katmandu nikt nie wiwatował na cześć nowej inkarnacji Wisznu. Jego orszak przemknął chylkiem przez miasto otoczony szczelnym kordonem wojska. Gyanendra nie miał wielkich szans na sukcesję. Jako rzutki biznesmen, właściciel hotelu w Katmandu, fabryki papierosów i rozległych plantacji herbaty realizował się w finansowaniu parków narodowych i ochronie przyrody królestwa. Jednak w czerwcu 2001 roku bóg Wisznu musiał się zrzec na tron. Bratanek obecnego króla, pijany i zaćpany następca tronu książę Dipendra, rozstrzelał niemal całą swoją rodzinę. Zabił ojca, króla Birendrę, matkę, brata, siostrę, dwóch wujów, dwóch kuzynów, a w końcu sam popełnił samobójstwo. Gyanendra ocalał, bo nie było go w pałacu w chwili masakry, i to on objął tron Nepalu. Tragedia wywołała szok w królestwie. Zabity król był uwielbiany za to, że

mandu i kilku większych miast. Większość kraju kontroluje armia pariasów z niższych kast, którzy zgodnie z naukami towarzysza Mao zbuntowali się przeciwko arystokracji i obszarom. W wojnie domowej zginęło już 10 tysięcy ludzi. Mimo brutalności i pomocy Indii, Wielkiej Brytanii oraz USA oddziałom rządowym nie udało się pokonać rebeliantów, którzy dziś stacjonują na rogatkach Katmandu. Kolejnym gabinetem nie udało się doprowadzić do pokoju, bo buntownicy chcą rozmawiać tylko z królem, słusznie zakładając, że to on – a nie malowany premierzy – rozdaje karty w kraju.

Wojna domowa odstrasza turystów. W 2001 roku królestwo odwiedziło prawie 300 tysięcy gości. Rok później nieco ponad 200 tysięcy. To oni są głównym źródłem dewidy Nepalu – jednego z 12 najbiedniejszych krajów świata, gdzie połowa obywateli żyje poniżej progu ubóstwa, a pomoc międzynarodowa pokrywa jedną trzecią budżetu. Król zapowiada, że szybko upora się z rebelią. Na razie wojsko obstawia Uniwersytet Tribhuwa, gdzie 18 lutego 1990 r. zaczęły się demonstracje, które na kilkanaście lat pozbawiły władzy absolutnej królów Nepalu. Gyanendra wie, że 25. rocznica tamtych wydarzeń może być znakomitą okazją do nowej próby siły między potomkiem boga Wisznu a jego poddanyymi.

JAKUB MIELNIK

Uratuj 1% swojego podatku

W tym roku możesz sam zdecydować na co przeznaczysz 1% swojego podatku. Możesz go oddać urzędowi skarbowemu lub przekazać na rzecz organizacji pożytku publicznego. Jedną z nich jest Fundacja Przyjaciółka.

Pomagamy dzieciom od 2001 roku. Obecnie otaczamy stałą opieką blisko 5 000 maluchów ze 100 domów dziecka. Wspieramy dzieci uzdolnione plastycznie, fundujemy stypendia dla studiujących wychowanków domów dziecka. Dożywiamy około 100 uczniów uczęszczających do świetlic środowiskowych. Organizujemy szkolenia dla pracowników


placówek opiekuńczych oraz psychologów dziecięcych. Nie byłoby to jednak możliwe gdyby nie zaangażowanie 400 wolontariuszy oraz pomoc finansowa naszych darczyńców. Chcemy pomagać kolejnym dzieciom. Twój 1% podatku może nam w tym pomóc.

wytnij i zachowaj

Pomóż dzieciom. To nic nie kosztuje
Jak przekazać 1% podatku na organizację pożytku publicznego?

- Odbierz swój PIT od pracodawcy lub z ZUS-u
- Oblicz wysokość należnego podatku. Od tej kwoty odlicz 1%.
- Wpisz tę kwotę w odpowiedniej rubryce w swoim zeznaniu rocznym.
- Między 01.01.2005, a datą złożenia zeznania podatkowego wpłać wyliczoną kwotę na konto organizacji pożytku publicznego. Zachowaj dowód wpłaty.
- Jeżeli nadpłaciłeś podatek, otrzymasz zwrot powiększony o kwotę 1% podatku, z kolei gdy musisz dopłacić, pomniejszasz należną fiskusowi kwotę o 1% podatku.

Konto Fundacji: Deutsche Bank Polska
88 1880 0009 0000 0011 0139 1041
Więcej informacji: www.fundacja.przyjaciolka.pl

 fundacja przyjaciółka
Pomóż nam pomagać

PIOTR BUKOLIŃSKI

Wieczny, na wpół dobroliwy uśmiezek człowieka, któremu się wszystko udaje. Konie, pieniądze i nazwisko, które we Francji otwiera drzwi na salony władzy.

Gdyby przed 30 laty twórcy lewackiej „Libération” pomyśleli, że ich dziennikiem będzie władać ktoś taki, popukaliby się w czoło. Dziś są wdzięczni, że 47-letni Edouard de Rothschild zechciał wyłożyć 20 milionów euro i uratować ukochane dziecko francuskiej lewicy przed upokarzającym bankructwem.

Na początku lutego Rothschild przejął 37 procent akcji gazety. – Teraz „Libération” przechodzi z obozu przewodniczącego Mao do rąk Rotary Club – skomentował jeden z dawnych dziennikarzy gazety, której założyciel, filozof Jean Paul Sartre, pisał w 1973 roku, że tworzy ją, by „oddać głos ludowi”.

BANKIER ZAMIAST MAO

Z górą 30 lat później do dawnego bastionu maoistowskiej lewicy zakradł się jej klasowy wróg. Gdy trzeba było przekonać „aktyw dziennikarski”, by poparł sprzedaż w referendum, ktoś puścił plotkę, że syn bankiera Guya de Rothschilda „w rodzinie zawsze uważany był za lewicowca”. Nie było jednak potrzeby specjalnej perswazyj – sprawę załatwiło widmo upadku gazety.

– Miło mi pana znowu widzieć – powiedział dziedzic Rothschildów, gdy w listopadzie spotkał się z Serge'em Julym – naczelnym „Libé” i dawnym towarzyszem Sartre'a. Starszy od niego o 15 lat redaktor mógł nie pamiętać, gdzie się spotkali po raz pierwszy. Było to na początku lat 80. Lewicowa koalicja François Mitterranda znacjonalizowała właśnie Rothschildom paryski bank. 24-letni Edouard towarzyszył ojcu w studiu telewizyjnym, gdzie spierali się właśnie z Julym, dawnym maoistą, nawróconym na mitterrandyzm zwolennikiem nacjonalizacji. A teraz, po latach, aż kipiało od pochlebstw pod adresem „symbolu francuskiego dziennikarstwa” z jednej i „hojnego patrycjusza” z drugiej strony.

July i Rothschild są jak ogień i woda. Gdy pierwszy w 1973 roku wspólnie z Sartre'em zakładał „Libération”, powołał do życia nie gazetę, ale bojówkę. Wraz z kolegami święcie wierzyli, że mieszczańska Francja George'a Pompidou znajduje się pod rządami faszystowskiej dyktatury, uważali się za ruch oporu, nową Résistance. Gazeta chwaliła niemiecką Frakcję Czerwonej Armii i włoskie Czerwone Brygady,



Libération

Fot. SIPA/EAST NEWS

Rothschild, ZBAWCA LEWAKÓW

Ma morze pieniędzy i drogie hobby. Teraz zapragnął zostać magnatem medialnym. Los sprawił, że baron **EDOUARD DE ROTHSCHILD** zaczyna budowę swojego koncernu od zakupu „Libération”, dawnego bastionu francuskiej ultralewicy

pasja to konie. Startuje w zawodach jeździeckich, z kręgów hipicznych wywodzi się wielu jego znajomych. Arystokratyczne hobby pochłania aż 600 tysięcy euro rocznie.

Stać go na to, bo choć wiosną 2003 roku zrezygnował z pracy w bankowości, wciąż ma 11 procent udziałów w Bank Rothschild & Cie. W ostatniej dekadzie bank Rothschildów zarobił 1,8 miliarda euro. Udziały barona w banku Edouarda warte są około 200 milionów euro.

Edouard został więc prezesem prestiżowej France-Gallop, organizatorki najbardziej renomowanych wyścigów konnych, i z pozoru całkowicie poświęcił się swojej pasji.

PRZYJAŹŃ POLITYCZNA

Człowiek zdeterminowany i pokonujący każdą przeszkodę – mówi o baronie Charles de Moussac, pokonany kontrkandydat na szefa France-Gallop. O jego kontaktach i wpływach wiadomo niewiele. Są rozległe, bo Rothschildowie tradycyjnie obracają się w świecie francuskiej polityki. Na jednym ze zdjęć widać go z Jacques'em Chirakiem, najbardziej nieprzejednani lewicowcy wypomnieli mu przyjaźń z prawicowym kandydatem do prezydentury Nicolasem Sarkozym, a związek zawodowy działający w „Libé” agitował przeciwko sprzedawaniu mu akcji, twierdząc, że bogaty bankier „finansował kampanie wyborcze prawicy”. Edouard stanowczo temu zaprzecza, choć przyznaje, że przyjaźni się z „Sarko”. Dla równowagi z otoczenia Rothschilda wyszedł przeciek, że do jego przyjaciół należały też były socjalistyczny minister spraw zagranicznych Hubert Védrine. A Rothschild wśród swoich idoli zaczął na pierwszym miejscu wymieniać Billa Clintona.

W wywiadach unika zresztą tematów innych niż przyszłość „Libération”, o której też mówi mętnie. – Moje przyjaźnie nie mają żadnego związku z moim biznesem – zaznacza.

Na razie nie jest do końca jasne, na czym mają polegać prasowe biznesy Rothschilda. – To, co robie, to efekt szczegółowej analizy, to projekt inwestycyjny – mówi nowy akcjonariusz „Libé”. – Nie sądzę, żebym miał się ograniczyć wyłącznie do „Libération”. W kręgach dziennikarskich coraz częściej mówi się, że gazeta ma być początkiem nowego koncernu medialnego – zakup nastąpił akurat w tym momencie, gdy prasa francuska przeżywa najpoważniejszy kryzys i gdy właścicielem poczytnego dziennika można się stać stosunkowo niewielkim kosztem.

„LIBÉ” W TARAPATACH

Gazeta Serge'a July'ego z roku na rok przynosi straty – w 2004 osiągnęły one 2,2 miliona euro. To i tak nic w porównaniu z najbardziej opiniotwórczym „Le Monde”, który rok wcześniej stracił 25 milionów. „Libé” i „Monde”, podob-

nie jak inne wielkie dzienniki, padły ofiarą kryzysu na rynku. Utrzymujące się z reklam nowe bezpłatne dzienniki „20 minutes” i „Metro” mają po 600–700 tysięcy nakładu, tradycyjne – 150–400 tysięcy. Bez inwestorów nie mają szans, ale inwestorzy domagają się zmian.

Prawicowy senator i producent samolotów Serge Dassault (piąta fortuna Francji, około 6,5 miliarda euro) przejął koncern wydający „Le Figaro” i od razu dał się we znaki dziennikarzom. Wstawił się wypowiedzią o „korzystnych” i „szkodliwych” wiadomościach i uważa się, że wykorzystuje gazetę do promocji własnych interesów. Udziały w koncernie „Le Monde” zwiększył Arnaud Lagardere – syn i spadkobierca wielkiego francuskiego przemysłowca Jean-Luca Lagardere'a – i poprzednik Rothschilda na czele France-Gallop.

Philippe Gavi, w roku 1973 jeden z założycieli „Libération”, współpracownik Sartre'a, dziś komentator tygodnika „Nouvel Observateur”, rozkłada rękę. – Niemal wszystkie dzienniki, a wśród nich „Libé”, są w sytuacji krytycznej. Wybór jest prosty – albo inwestor, albo upadek. Rozumiem Serge'a, że wybrał to pierwsze – mówi „Przekrojowi”. Odrzuca wszelką krytykę tego posunięcia. Walka klas „to anachronizm”, Rothschildowie są neutralni w polityce, a zapewnienie July'emu kierowania redakcją do 2012 roku to gwarancja jej niezależności. Poza tym Rothschild jest na razie właścicielem pakietu mniejszościowego, akcji głosujących ma jeszcze mniej. – Gdybym nadal był w „Libé”, głosowałbym za Rothschildem – konkluduje. – To kwestia życia lub śmierci gazety. Związki nowego właściciela z demonizowanym przez lewicę Sarkozym Gavi ocenia krótko: – To wszystko przesada. Rothschild naprawdę przyjaźni się tylko z końmi.

PRASA TO KASA

Serge July broni z kolei Rothschilda na łamach swojej gazety. „Nasz dziennik nie wchodzi do wielkiego koncernu, w którym byśmy się bezpowrotnie rozpuścili, zawieramy sojusz z mniejszościowym akcjonariuszem” – pisze. Ale Rothschild równie przekonująco mówi w wywiadzie, że postrzega „Libération” jako „podnóżek grupy medialnej”, którą zamierza stworzyć. – Rozpaczam nowy etap życia zawodowego po 25 latach bycia bankierem. Przede mną otwiera się nowa stronica i bez wątpienia jest ona długa – zapewnia. Czy „Libération” istotnie się „nie rozpuści”?

Dla Rothschilda przygoda i interes, dla July'ego być albo nie być. Zresztą jego lewicowość sprzed ponad 30 lat mocno już przybladła. W 1973 Sartre, July, Gavi i inni byli bez grosza i w swoim manifestie programowym zamieścili zdanie: „Nasze ubóstwo to wyznacznik niezależności”. W 1996 roku Serge July zmienił to credo. – Niezależność – powiedział w wywiadzie telewizyjnym – sprowadza się do prostej rzeczy: do tego, że trzeba zarabiać pieniądze. ■

potrzeba było najbardziej odrażających zamachów, by wreszcie się od nich odciął. Zorganizowana była na wzór komuny – brak naczelnych, równe pensje, podpisywanie tekstów rewalucyjnymi pseudonimami.

KŃSKA PASJA

Edouard de Rothschild był wtedy nastolatkiem. Urodzony w 1957 roku skończył prestiżowe katolickie gimnazjum Stanislas, studiował prawo na Sorbonie, wreszcie zrobił MBA w Nowym Jorku – wykształcenie typowe dla członka rodu, który od początków XIX wieku uchodzi za jedną z największych potęg finansowych Europy. Jak wszyscy Rothschildowie, potomkowie XVIII-wiecznego bankiera z Frankfurtu, miał w życiu jeden cel – pomnażać rodzinną fortunę.

W rodowych biografiach wzmianki o nim to zaledwie parę słów. Jest mniej znany niż jego ojciec Guy de Rothschild, król europejskiego biznesu. Pozostaje też w cieniu przyrodniego brata Davida, który odbudowywał potęgę rodu po pierwszych latach rządów Mitterranda – zaczął w 1984 roku z milionem dolarów i trzema pracownikami, by w ciągu dwóch lat odnowić bank. Edouarda jedna z biografii określa tylko dwoma słowami: bankier, jeździec. Poza tym żona, trójka dzieci, brak skandali, rezydencja pod Paryżem, winnica Château Lafite, własność rodu od 1868 roku. Jego największa

W oku salonu

Najlepszy reżyser sezonu
JAN KLATA wypowiada wojnę
ludziom, dla których teatr
to relaks przed kolacją

LUKASZ DREWNIAK: Opublikowałaś niedawno w „Notatniku Teatralnym” najkrótszy manifest świata, haiku reżysera Jana Klata, rocznik 1973. Powiedziałeś, że „artysta potrzebuje pokarmu i przeciwnika. Pokarm mam, cieśnię się, że jest wojna”. Jaka wojna?

JAN KLATA: Wojna toczy się o to, czy pokazywać w teatrze polską rzeczywistość. I w jaki sposób możemy dziś o niej opowiadać – za pomocą tekstów klasycznych lub współczesnych.

Kto jest przeciwnikiem w tej wojnie?

– Ludzie, którzy chodzą do teatru po to, żeby się zrelaksować przed kolacją.

Nie wolno im?

– Nie zabraniam nikomu ani chodzić do relaksującego teatru, ani nawet go prowadzić. Mówię tylko, że podobna instytucja kompletnie mnie nie interesuje. Nie zapraszam takich widzów na swoje spektakle, niech nie chodzą, a jak już przyszli, to niech uciekają. Mamy dla nich zawsze parę kontrowersyjnych scen w pierwszych 30 minutach spektaklu. Mogą wtedy bezboleśnie zmienić lokal i wypaść się gdzie indziej.

Jak ich nazwać? Mieszczanie? Konsumenty?

– To ludzie, którzy nie chcą się zmieniać. Nie chcą rozmawiać. I to jest kłopot dla artysty. Beton z betonem sobie nie pogada. Więc mówimy

im do widzenia, Pamelu, żegnaj. I szukamy tych, dla których nie jest jeszcze za późno. W życiu każdego człowieka są okresy burzy i naporu, które sprzyjają zadawaniu pytań. Masz, powiedzmy, 18 lat albo pod czterdziestkę, albo siedemdziesiątkę i nie zadowolasz się jeszcze byle czym. Dopiero potem następuje okres stabilizacji, kiedy człowiek zaczyna rozumieć, co to znaczy spłacać raty: telewizor, meble, mały fiat. Są tacy, których ta ostatnia faza napada jeszcze przed maturą.

A może jednak przyszedł porozmawiać, a ty ich prowokujesz, zniechęcasz.

– Teatr nie jest po to, żeby się ze sobą pieścić, ale żeby niejednokrotnie w sposób gwałtowny i burzliwy porozmawiać o rzeczywistości, która jest dookoła teatru i zasługuje na opis.

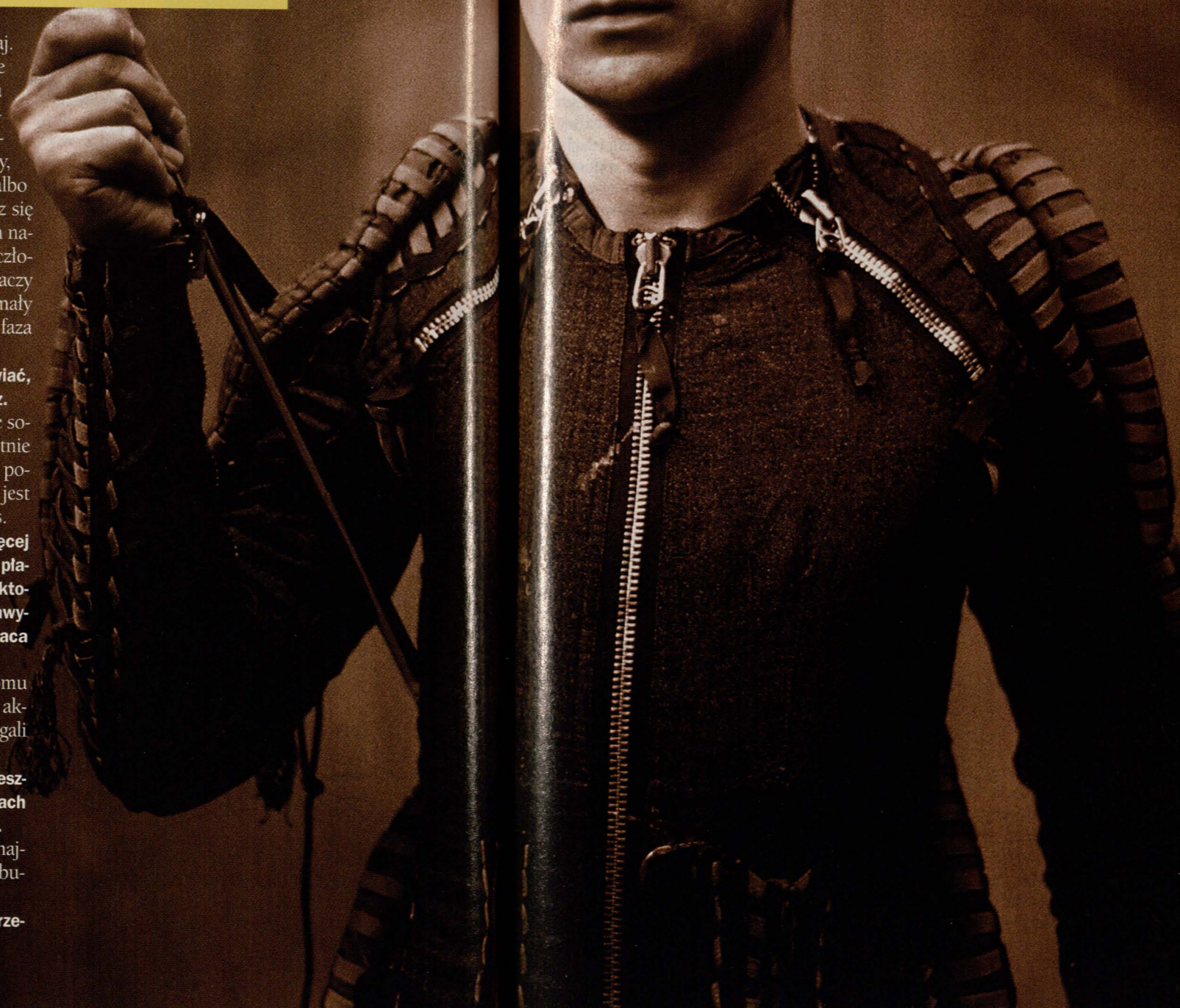
Tradycja niemiecka jest mniej więcej taka: przychodzi burżuj do teatru i płaci za bilet po to, żeby dostać od aktora w mordę. Przez trzy godziny nawymyślają mu ze sceny, a on wraca do domu szczęśliwy. Oczyszczył się.

– Ale ja szanuję widzów i nikomu nie daję w mordę! Nie namawiam aktorów, żeby obrażali widza, bryzgali na niego krwią, sikali.

Obrażasz ich intelektualnie! A to jeszcze gorsze. W swoich spektaklach udowadniasz komuś, że jest idiotą.

– Nieee, my takich widzów co najwyżej dźgamy. Staramy się ich obudzić. Jak zasypiają, to strzelamy.

I co oni mają zrobić ze sobą po przebudzeniu?



– Niech coś zrobią ze światem. Niech odniosą spektakl do prawdziwego życia.

Mają nie chodzić do supermarketu, modlić się częściej, głosować w wyborach?

– Wszystkiego po trochu. Ty chcesz, żebym miał jakiś generalny program walki ze wszystkimi. Nie jestem po SGH. Nie mam biznesplanu czy strategii marketingowej. Ja mam co najwyżej plan, jak o widza walczyć. Bo bez czulego widza teatr jest martwy. Możesz zrobić film, namalować obraz, nagrać piosenkę w 2005 roku, a potem zakopać to w ogródku lub pod filarem Trasy Łazienkowskiej i jak to za sto lat ktoś przypadkiem wyjmie, dalej będzie to dzieło sztuki. A jeśli ja zrobię spektakl, który nikogo nie obchodzi, to przegrałem. Nawet jeśli okazało się po latach, że byłem prekursorem, że spełniałem standardy przyszłości. Teatr jest tu i teraz. Albo nigdy. Obojętność na widowni jest dla artysty najgorsza.

Baleś się kiedyś swojej widowni?

– Nie. Bo co? Jak przyjdzie Krystian Lupa, to mam robić w portki, czy mu się spodoba?

A jak pewnego wieczoru wyjdą wszyscy widzowie?

– Ja na pewno zostanę! To super, jak ludzie wychodzą. Bo wtedy publiczność się oczyszcza, powietrze na sali się oczyszcza.

Czy wśród młodych widzów są tacy, z którymi nie chcesz rozmawiać? Bo są zbyt odlegli ideologicznie od ciebie?

– Młodzi zawsze poszukują. Dzięki Bogu pracuję w miejscach, które nie są ideologicznie naznaczone. Nie mieliśmy po „Lochach Watykanu” w pięknym mieście Wrocławiu żadnych kłopotów z bojówkami Młodzieży Wszechpolskiej ani ze słuchaczami Radia Maryja, którzy demolowaliby teatr.

Jest reguła – pokaż, czego słuchasz, a powiem, kim jesteś. Ty, układając ścieżkę dźwiękową przedstawienia, puszczasz oko do koneserów nowych brzmień.

– Dla mnie muzyka jest hiperważna. Dziś jest to dominująca wypowiedź w kulturze. Szukam brudnej muzyki, takiej, która łatwo nie wchodzi do głowy. Od Sonic Youth do Kida 606, od Mike'a Pattona po Asian Dub Foundation. Fascynują mnie trudne zestroje, brzmienia zmasakrowane jak u Einstuerzende Neubaten czy u Aphex Twin. Muzyka to kod, który pozwala identyfikować się grupie ludzi. W „Lochach...” bohater bierze okładkę płyty i czyta: „Idiot”. Po reakcjach widzów poznaję, kto przyszedł do teatru. Śmieją się, bo wiedzą, że to nie bluzg na bohatera, ale tytuł debiutanckiej płyty Iggy'ego Popa, którą przed chwilą było słyhać.

Do czego służy ci to gadanie do widza poprzez muzykę? Do komentowania scen?

– Kiedy pracuję nad spektaklem, to najpierw jest muzyka, a dopiero potem sceny do tej muzyki. Nie wyobrażam sobie pracy z kompozytorem, który dopiero przynosi mi na próbę generalną gotowe kawalki. Sama konstrukcja moich przedstawień jest muzyczna. Chwyty inscenizacyjne, które

stosuję, na przykład „sample”, biorą się z próbkowania, wycinania fragmentów jednego materiału i korzystania z nich przy budowie nowego. A „skreczowanie” to nadawanie chropowatości temu, co dzieje się na scenie. Brudzenie. Bardziej świadomy widz będzie wiedział, co wzięłam z czego, mniej świadomy będzie łapał tylko emocje.

Nie boisz się, że tak dobrana muzyka wkłada twoje spektakle w awangardową niszę?

– Nie muszę sprzedawać miliona egzemplarzy płyty, by zwróciły się nakłady na promocję. Jestem niszowy i nie będę tego ukrywał. Potrzebuję ledwie 200 osób co wieczór. Tytu niszowców, freaków, zawsze się znajdzie w każdym mieście. Trzeba tylko zaktywizować widownię, która nie chodziła dotąd do teatru, bo myślała, że to megaobciach, a także tych, którzy wkurzyli się na stary, deklamatorski teatr. Ja jeszcze parę lat temu w ogóle nie chodziłem do teatru. Wolałem koncerty rockowe.

Jak chcesz dotrzeć do freaków? Liczysz, że sami cię znajdą?

– Dobra jest szeptana propaganda. Po „Hamlecie” w Stoczni Gdańskiej rozniósł się, że to zakręcony spektakl. Zaczął być na przykład popularny wśród turbogolfistów. Przychodzili na niego ludzie, którzy wyglądali tak odjazdowo, że ja przy nich jestem prawie członkiem Polskiej Rady Biznesu. Żeby dotrzeć do takich ludzi, najważniejszy jest tekst, który chcesz wystawić w tym, a nie innym miejscu. Przecież inaczej otwiera się rzeczywistość „Rewizorem” w Wałbrzychu, inaczej „Lochami...” w Wrocławiu, a inaczej „Hamletem” w Stoczni. W Warszawie „Hamlet” czy „Rewizor” by nie zaskrzył. Bo skąd miałby przyjechać rewizor do Warszawy? A w Wałbrzychu wiadomo, że ze stolicy.

Z Brukseli.

– Eee!

Powiedziałeś niedawno podczas spotkania z widzami, że wierzysz w Boga. Pamiętam konsternację na sali – nasza generacja deklaracje religijne traktuje jako pogwałcenie intymności...

– Powiedziałem to we Wrocławiu, powiedziałem to w Berlinie. Powiem jeszcze pewnie parę razy, jak mnie o to zapytają. Nie ukrywam się. Ale i nie obnoszę z wiarą. Wystarczająco wielu ludzi robi z tego główną motywację swojej śliskawej działalności.

Wiara pomaga?

– To znak, który jest gdzieś wypalony i nie powinniśmy się go pozbywać. Znak postępowania w życiu. Wprawia człowieka w aktywność duchową i intelektualną. Paradoksalnie wiara nie usuwa wątpliwości, ale poddaje cię próbie. To twórczy stan, w którym nie ma miejsca na zdanie: już wszystko wiem.

To, co deklarujesz, świadczysz, że chyba nie po drodze ci z polskim katolicyzmem.

– Pytanie: co to jest polski katolicyzm? W niedzielę w dwumilionowym mieście Warszawa można wybrać sobie taki albo inny kościół. Z jednej ambony dowiesz się, kto jest Ży-

dem w parlamencie i Watykanie, a z innej ambony usłyszysz coś, co zmieni twoje życie. Trzeba tylko zadać sobie trud szukania. Chrześcijaństwo to przeżycie zbiorowe, coś, co walczysz z egoizmem, a przecież egoizm jest przypisany do bycia tak zwanym artystą.

Czy robiąc teatr, stajesz się lepszy czy gorszy?

– Inny. Pracuję nad sobą, staram się robić lepsze spektakle i wzbogacać siebie duchowo.

A pamiętasz, co napisał Miłosz o Kamieńskiej: „Była zbyt dobrym człowiekiem, żeby być dobrą poetką”. Jak to działa w teatrze?

– Reżyser musi być okrutny, bezwzględny, bezczelny, musi ryzykować, manipulować. Niektórzy reżyserzy, których znam, są dobrymi ludźmi, potencjalnie dobrymi artystami, ale są zbyt delikatni.

Warto nie być delikatnym?

– To jest kwestia indywidualna. Wiele razy byłem świadomie okrutny i niesprawiedliwy. Moi najbliżsi współpracownicy najwięcej zbierają. Bo im z kimś bliżej współpracuję, tym większe ma zadanie do wykonania. Więcej wymagam, jeśli uważam kogoś za zdolniejszego. Stąd nerwy, ciche dni, głośne dni i taniec pingwina na szkle.

Ale jeśli pracujemy z ludźmi, którzy nie wiedzą, jakie mechanizmy działają w świecie teatru? Zatrudniłeś do „Córki Fizdejki” bezdomnych i bezrobotnych wałbrzyszan. Oni przyszli do ciebie nie z miłości do teatru, ale dlatego, że chcą zarobić. Zrobią wszystko, co każesz.

– Nieprawda. Oni przyszli do mnie z ciekawości, nie byli w teatrze od podstawówki. Mogli się wycofać z projektu po tygodniu prób. Dostawali za swoje statystowanie pieniądze, ale nie były one tak wielkie, żeby mogli za nie sprzedać swoją godność. Dla mnie bardzo istotne okazało się spotkanie z ich biografiami, twarzami, poświęceniem, entuzjazmem.

Możesz wmontować ich w sytuacje, w których aktor zawodowy odmówiłby udziału. Nie obrażam siebie, żeby Holoubek czy Zapasiewicz walili się nylonowymi torbami po potylicach!

– Dlaczego aktor ma się nie walić torbą po głowie? To obraża jego godność? No, nie żartujemy. Jak się w farsie kopią po dupach i krzyczą: „Ten but był zatruty!”, to jest OK? Bez żartów. W farsie robią każdy idiotyzm, ale w Witkacym już nie?

Bezrobotni są kluczowym elementem „Córki Fizdejki”. Bardzo się pilnowałem, żeby nie zniszczyć ich psychiki, nie zranić, żeby nie wy-

szli ze spotkania z teatrem okaleczeni. I udało mi się to. Mam na to dowody. Oni poczuli się docenieni jako ludzie, to jest kwestia nie tylko godności osobistej, ale daru codziennego przychodzenia do pracy, rozmowy z innymi i satysfakcji po dobrej robocie. Po premierze dali mi wiersz. Zaczynał się tak: „My jesteśmy ludzie chorzy, sami sobie doktorzy”. To samo mogą o sobie powiedzieć ich.

Ale biorąc ich do teatru, wzięłeś za nich odpowiedzialność. I nie uwolnisz się od pytań: co z nimi? Musisz teraz walczyć, żeby spektakl był więcej grany, żeby mogli zarobić...

– Moim zadaniem jest chronić ich przed publicznością, która będzie ich wyśmiewała. Mieliliśmy jeden taki wypadek i ja zareagowałem bardzo ostro. Od tej pory nie ma mowy, żebyśmy grali ich spektakl rano dla szkół zawodowych. Gówniarze zachowywali się w sposób chamski, nie przerwałem przedstawienia, ale nie wyszliśmy do okłasków. Jeśli ktoś jest takim nieprawdopodobnym idiotą, że ryczy ze śmiechu na widok człowieka w obozowym pasiaku, to mnie to głęboko obraża jako człowieka, obraża aktora w pasiaku i ludzi, którzy kilkadziesiąt kilometrów od Wałbrzycha byli w tych

JAN KLATA

– reżyser i dramaturg. Współpracuje z Teatrem Dramatycznym w Wałbrzychu, Teatrem Współczesnym we Wrocławiu i Teatrem Wyrbrzeże w Gdańsku. Dwukrotnie nominowany do Paszportów „Polityki”. W swoich spektaklach drwi z upiórów nostalgii za PRL-em („Rewizor”), martwi się o katolicyzm zamknięty w twierdzy w Licheniu („Lochy Watykanu”), złości go bezwzględność mediów i sprzedażność nowoczesnej sztuki („Uśmiech grejpruta”), pyta, ile zostało w nas z mitu Stoczni („H.”), oraz furiacko rozprawia się z euroentuzjazmem i marzeniem, że kiedykolwiek będzie w naszym kraju normalnie („Córka Fizdejki”). Poza sceną – kulturalny człowiek o milej powierzchowności. (ŁD)

pasiekach mordowani.

A nie czujesz, że to ty jesteś sprawcą tego śmiechu? To ty wmontowałeś pasiaka w środek groteskowej historii.

– Na takiej samej zasadzie nie można namalować ukrzyżowania, bo ktoś się będzie śmiał i mówił: co to za goły pan z rozłożonymi rękami?

Ale jeśli umieścisz pasiaka więźnia z Auschwitz między jednym gagiem a drugim, musisz się liczyć z tym, że ktoś nie złapie zmiany konwencji.

– Ja wprowadzam tę scenę w taki sposób, że w każdym normalnie odczuwającym człowieku musi to wywołać przerażenie.

Więc co, twoja aktywność obywatelska to robienie spektakli o polskiej rzeczywistości?

– Moja aktywność obywatelska to spektakle i wrzucanie karteczki na wyborach oraz możliwie misyjna praca wśród aktorów i znajomych, żeby nie byli obojętni.

A teraz „off the record”: na kogo głosujesz?

– Na hasło „off the record” to się wylęcza kaseciaka!

Przecież sobie ufamy...

– Nie ma zmiłuj... (przerwa, podczas której Kłata wymienia nazwy partii i wylicza, w których wyborach i referendum brał udział, a w których weźmie)

Gdy w finale „Córki Fizdejki” przebierasz aktorów w pasiaki i mówisz, że Unia to nowy Auschwitz, opowiadasz się po stronie jednej opcji.

– Absolutnie nie zrównuję Auschwitz z Unią! W finale spektaklu wszyscy bratają się ze wychystkami. Jak u Witkacego, jest to bal pojednania. Może tylko trochę ironiczny. Bo jak jadę do Berlina, to czuję, że pod swoim strojem mam pasiaka.

Przeszkadza ci, że już nie pamiętamy o wojnie? Jest coś takiego jak kategoria chrześcijańskiego wybaczenia...

– Jest kategoria wybaczenia, ale nie zapomnienia. Podczas pracy nad spektaklem pojechaliliśmy z aktorami do obozu Gross Rosen, kilkadziesiąt kilometrów od Wałbrzycha. Poszliśmy tam i pierwsze, obywatelskie wrażenie w tym obozie było takie, że to się wydarzyło wczoraj. Gross Rosen wygląda jak nowoczesnie zorganizowane europejskie miasteczko. Zurbanizowane na takim poziomie, na jakim Wałbrzych do dzisiaj nie jest. Równiutki chodnik, żadnych kałuż. Pysznice w Gross Rosen wyglądają lepiej niż pysznice w domu aktora przy wałbrzyskim Teatrze Szaniawskiego.

Ostatnie dwa sezony twego życia to błyskawiczna droga z nicości do reżyserskiej czołówki. Masz czas zabukowany na siedem lat do przodu!

– Nie, na trzy lata. Ale na razie zrobiłem cztery i pół spektaklu.

Dlaczego ci się udało? Bo jesteś fajny? Zdolny?

– Kiedy opuszczałem mury uczelni teatralnej, byłem słabutki, absolutnie niegotowy, żeby reżyserować. Debiutowałem dopiero

Wystarczy mi to, że jak obejrzyj mój spektakl, to może pójdziesz na wybory i zagłosujesz inaczej

Jednak wcześniej po teatralnym niebie lata ci plastikowy bocian, a za chwilę masz gladiatorские walki bezrobotnych na nylonowe torby. Sądzi się sceny zarażają się groteską.

– Nie zarażają, byleś na tym spektaklu i wiesz, że nikt niezbyt długo nie będzie się śmiał w tym momencie. Jeśli kogoś śmieszy, że aktor nie ma dwóch zębów z przodu, a mimo to mówi „Ode do radości”, to jest po prostu debilem i nie powinien trafić do teatru!

Dlaczego na mnie krzyczysz?

– Nie krzyczę, rozmawiam. Rozmowa to jest argument, spór, starcie.

Nie tolerujesz odmiennego zdania?

– „Tolerare” znaczy „nosić coś obok siebie”. Coś, co niezupełnie ci odpowiada. I znosisz to, doświadczenia nie naruszają najgłębiej wytatuowanych w tobie wartości.

Tak wygląda twoje uprawianie polityki w teatrze? Teatr to trybuna do głoszenia twoich poglądów?

– Mówię o tym, co jest totalnie wkurwiające. Powiesz, że to jest wkurwiające, i starczy? – Starczy, bo jak obejrzyj mój spektakl, może pójdziesz na wybory i zagłosujesz inaczej.

A nie masz wrażenia, że w teatrze przekonujesz tylko przekonanych?

– Nie. 80 procent aktorów z Wałbrzycha nie wzięło udziału w ostatnim referendum. A ci ludzie, którzy chodzą do teatru, wybierają splendid isolation. Wiedzą, że politycy są śmieszni, głupio wyglądają w dwurzędowych garniturach w pepite, a polityka to jedno wielkie gówno. Mają rację, tyle że to jest wielkie gówno także i dlatego, że oni dali zaanektować kawał rzeczywistości panom w dwurzędowych marynarach.

Mówisz jak rasowy propaństwowiec. To nie lubisz anarchistów?

– Bardzo lubię.

Ale przecież oni odrzucają demokrację jako system polityczny!

– Nie tylko odrzucają, ale i rozrzucają. Na przykład ulotki. I przynajmniej mają jakieś poglądy. Usiłują coś z tym bądziwem zrobić. I to mi się podoba, bo jestem przeciwko gnusności, mówieniu: aaa, jestem leniwy, bo i tak świat jest zły, nikt mnie nie lubi, oni sami się będą rządili.

po sześciu latach walki i męczeństwa. I bardzo dobrze, że mam za sobą sześć lat bezrobocia, że dostałem tak po dupie, bo człowiek, który nie dostał po dupie, nie jest w stanie zrozumieć tych, którzy dostali po dupie. Bohaterowie wielkich dramatów to ludzie, którzy dostali po dupie.

Czujesz się częścią nowego pokolenia reżyserów, którzy myślą o świecie i teatrze inaczej niż Warlikowski i Jarzyna?

– Szacunek dla chłopaków! Bo oni mnóstwo dobrego zrobili dla polskiego teatru: zaprosili nową widownię, zaczęli z nią rozmawiać o współczesnym świecie. Dziś są mainstreamem, punktem odniesienia. Robią czasem fenomenalne spektakle, jak „Oczyszczeni”, z którymi jednak ja się absolutnie od strony ideowej nie zgadzam.

Dlatego nie reżyserujesz w Warszawie?

– Miałem propozycje ze stolicy, ale nie były interesujące. Nie ma w Warszawie dyrektorów, którzy chcieliby cokolwiek zmienić w istniejącym układzie. Tymczasem najciekawszy teatr powstaje gdzie indziej: w Gdańsku, w Poznaniu, we Wrocławiu, w Legnicy, w Wałbrzychu.

Będiesz kiedyś dyrektorem?

– A po co? Pracuję w dobrych teatrach prowadzonych przez świetnych dyrektorów. Ale w Warszawie dyrektor to funkcja dożywotnia. Na całym świecie ludzie prowadzący sceny są rozliczani ze swojej pracy. Muszą pomyśleć, do jakiej publiczności kierują spektakle, co chcą swoim repertuarem powiedzieć. A nasi nie wychodzą poza idee zatrudniania kolejnej gwiazdy z monodramem, wabienie kasą wielkich reżyserów z nadzieją, że to pomoże wyjechać na światowe festiwale i osłonić brak jakiegokolwiek strategicznej wizji.

To co ma robić gromada twoich rówieśników reżyserów? Ignorować salony czy je palić?

– Palić! A potem rozsypać popioły nad Gangesem. Ta cała artystyczna, za przeproszeniem, śmietanka! Nienawidzę tak zwanego środowiska. Zresztą z wzajemnością. Kiedy widzę te wszystkie bankietowe mordy, scyzoryk mi się w kieszeni otwiera. Naprawdę ma się ochotę pokazać nagie krzyżackie miecze.

W latach 80. było takie słowo „obdżektor” – ktoś, kto odmawia, sprzeciwia się. Na przykład służbie wojskowej, systemowi politycznemu. Czujesz się teatralnym obdżektorem?

– Obdżektorzy wkładali sobie w odbyty kawałki ligniny wypełnione rzezuchą, czekali kilkanaście godzin, aż zaczną kielkować, i wyciągali, kiedy kazano im zdjąć majtki na komisji wojskowej. W ten subtelny sposób sugerowali, że są homoseksualistami, i nie byli przyjmowani do woja. Albo umieszczali sobie w tyłku sztuczne oko i kiedy lekarz zaglądał w odbyty, to oko sobie stamtąd mrugało. Tak, to było świetne obdżektorstwo.

I tu ci przerwę, bo to oko pasuje mi do puenty.

ROZMAWIAŁ ŁUKASZ DREWNIAK



Jest szansa, że wśród kierowców Formuły 1 znajdzie się Polak **ROBERT KUBICA**

Opętanie przyszło nagle. W krakowskim salonie Mercedesa tata wsadził Roberta do miniaturowego samochodziku napędzanego silniczkiem spalinowym. Chłopca ogarnęło wtedy coś jeszcze nienazwanego, a objawiającego się gwałtownym protestem, gdy ojciec podjął wysiłek wyciągnięcia z autka opierającego się czterolatka.

Tata, Artur Kubica, właściciel drukarni, nie zapomniał tej chwili. Sześćioletni Robert dostał w prezencie miniaturowy terenowy nissana (z silnikiem o mocy 3,5 KM, z dwoma biegami: do przodu i wstecznym). Odtąd jego ulubioną zabawą stał się slalom przed blokiem między plastikowymi butelkami z piaskiem.

20-letni dziś Robert Kubica uważany jest za jednego z najbardziej utalentowanych kierowców wyścigowych młodego pokolenia. 20 listopada w Makau zajął drugie miejsce w nieoficjalnych mistrzostwach świata Formuły 3. Ustanowił rekord toru w finałowym wyścigu. Sukces zaowocował niemal natychmiast. Kubica ma teraz kilka propozycji kontraktów. Decyzję musi podjąć już teraz, w lutym.

BUDUJĄCA SZYBKOŚĆ

W tym sezonie Międzynarodowa Federacja Samochodowa (FIA) wprowadza zmiany, które mają ułatwić drogę do Formuły 1. Do tej pory ostatnim stopniem przed F1 była Formuła 3. Różnica między mocą i osiąganymi bolidów F3 i F1 jest taka jak między hulajnogą a motocyklem. Teraz F3 zastąpi silniejsza Formuła GP2. Auta tej ostatniej nie są jeszcze gotowe, więc 26 najzdolniejszych młodych kierowców, których zaproszono na oficjalne testy pod koniec zeszłego roku na francuski tor Paul Ricard, ścigało się samochodami World Series by Nissan, konstrukcyjnie zbliżonymi do GP2. Kubica zaproszony przez hiszpański zespół Epsilon Euskadi okazał się najlepszy. – Budując, że byłem szybszy od bardziej doświadczonych rywali – cieszył się po zakończeniu testów.

Robert, który w wieku siedmiu lat przesiadł się z miniaturowego nissana do gokarta z 10-konnym silnikiem, jest młodzieńcem poważnym i w pełni oddanym swej pasji. Pytany o hobby odpowiada, że jego jedyną rozrywką są samochody wyścigowe, a wakacje najchętniej spędza za kółkiem.

Na prawo udziału w oficjalnych zawodach musiał czekać do ukończenia 10 lat, ale już wcześniej ojciec woził go na tory do Kielc i Częstochowy. „Było ciężko – wspominał Robert w wywiadzie dla internetowego portalu fl.ultra.pl – bo dooko-



KÓŁKAMI
opętany

ANDRZEJ MARTYKIN

ła toru było pełno piasku. Jak wiał wiatr, to zawsze na tor nawiewało”. Anna Kubica razem z mężem wytrwale kibicowała synowi. Czasami nie wytrzymała napięcia i po zawodach pytała Roberta, czy nie mógłby jeździć trochę wolniej.

Gdy wreszcie otrzymał licencję, został – już w pierwszym roku startów – mistrzem Polski w swojej kategorii wiekowej. Tak samo było w następnych pięciu sezonach. Nauczyciele w podstawówce nic nie wiedzieli o sukcesach Roberta. Gdy wyjeżdżał na zawody, mama pisała usprawiedliwienia, ale nie wspominała o prawdziwej przyczynie nieobecności syna w szkole. Podstawówkę ukończył ze średnią 4,2.

W 1998 roku Robert z ojcem i z mechanikiem wyjechał do Włoch – europejskiej mekki kartingowców. Zdobył tytuł mistrza Włoch i wicemistrza Europy oraz prestiżowy Puchar Monaco.

Został zauważony. I zdecydował się zostać zawodowym kierowcą. – Oznaczało to rezygnację ze szkoły. Zakończyłem naukę po pierwszej klasie li-



FOR. PIOTR POLAK/PAP

ceum – tłumaczy Robert. Decyzję podjął sam, ale rodzice nie byli jej przeciwni. Anna Kubica mówiła wtedy, że powstrzymywanie takiego talentu byłoby grzechem. Przeprowadził się do Włoch i wkrótce został kierowcą fabrycznym firmy CRG (produkującej silniki i podwozia kartów). Firma dobrze zainwestowała. Najważniejsze sukcesy Roberta w 1999 roku to ponowny tytuł mistrza Włoch, mistrzostwo Niemiec, Puchar Margutti w Parmie, po raz drugi Puchar Monaco, zwycięstwo w hali Bercy w Paryżu. W 2000 roku przesiadł się na Formułę A (w kartingu odpowiednik Formuły 1) i rozpoczął starty w mistrzostwach Europy i świata w zespole Birel Motorsport.

UROCZE OCZEKIWANIA

16-letni Robert Kubica uznał, że jeśli ma poważnie myśleć o startach w Formule 1, trzeba się pożegnać z kartingiem i przesiąść do samochodu. Sezon 2001 zaczął w Formule Renault 2000 w zespole RC Motorsport, ale brak doświadczenia i słabe przygotowanie techniczne zespołu spowodowały, że z trudem doje-

dzał w pierwszej dziesiątce. Kolejny rok okazał się znacznie lepszy. Być może dlatego, że w styczniu Robert wreszcie uzyskał polskie prawo jazdy. Egzamin zdał za pierwszym podejściem. We włoskiej serii Formuły Renault został wicemistrzem, wygrał prawie połowę wyścigów, odnosząc zwycięstwa na znanych torach Formuły 1 – swoim ulubionym belgijskim Spa-Frankorchamps i włoskiej Imola.

Sukcesy Roberta doceniła firma Renault Polska. Gdy na trzy dni wpadł do kraju, by wziąć udział w rajdzie na kieleckim torze w Miedzianej Górze, dostał w prezencie srebrne renault clio sport 2.0. Miał jednak inną wizję rozwoju niż ta proponowana przez Renault Driver Development Programme (szkoła dla młodych, rokujących nadzieje kierowców). Zdecydował, że pójdzie na skróty – najwięcej korzyści przyniosłyby mu starty w mistrzostwach Europy Formuły 3. To bezpośrednio zaplecze F1.

Został kierowcą zespołu Prema Powerteam. Choć wygrał cztery wyścigi, to współpraca nie układała się dobrze i w sezonie 2004 spośród kilku propozycji wybrał niemiecki zespół Muecke. Trzy razy stawał na podium, ale nie na najwyższym, a w końcowej klasyfikacji zajął siódme miejsce. – Właściciel zespołu Peter Muecke bardziej troszczył się o syna Stefana startującego w niemieckich wyścigach samochodów turystycznych niż o swoich kierowców wyścigowych – wyjaśnia Kubica.

W listopadzie 2004 roku w Makau wystartował w brytyjskim zespole Manor Mercedes. Tam – jak wiemy – znów pokazał, na co go stać.

NIE TYLKO TALENT

Czy Robert Kubica będzie pierwszym Polakiem w Formule 1? Predysponują go do tego umiejętności, psychika, ale to wszystko mało. Potrzebne są pieniądze. Kierowca, który nie wnosi do zespołu „posagu”, zawsze jest gorzej traktowany. Robert zmieniał barwy, bo chciał znaleźć taki team, który zapewni mu warunki, na jakie zasługuje swoim talentem i ambicją.

– Mogę być szybszy od kilku konkurentów, lecz jeśli za kogoś z nich sponsor zechce wyłożyć spore pieniądze, to zespół weźmie jego, a nie mnie. Takie są realia – ocenia swoje szanse. Właśnie się zastanawia, z kim podpisać kontrakt na ten sezon. Formuła GP2, ostatni etap przed F1, to mają być samochody z silnikami o mocy 600 KM, o ile powstaną (czas mija, a nie ma jeszcze aut do testowania). Kubica najprawdopodobniej wystartuje w World Series by Renault, formule powstałej z połączenia World Series by Nissan i Renault V6. Ścigać się w niej będą będą samochody Dallara Renault V6 o mocy około 420 KM. To już krok do GP2, a dwa kroki do Formuły 1.

Jak na kierowcę z aspiracjami do F1 Kubica ma cienki portfel, a potrzebuje przynajmniej miliona euro na sezon. Jeśli w ciągu dwóch lat nie spełnią się jego marzenia o F1, to najprawdopodobniej nie spełnią się nigdy. Co wtedy? Na razie się nad tym nie zastanawia. Dzięki życiowemu hobby poznał język włoski, angielski i francuski. Do niedawna mieszkał pod Wenecją, ale ostatnio większość czasu spędza w Polsce. Na co dzień jeździ dwuosobowym smart roadsterem, prezentem od Mercedesa. Z dopuszczalną prędkością. ■

niskie
marże
od
0,495%

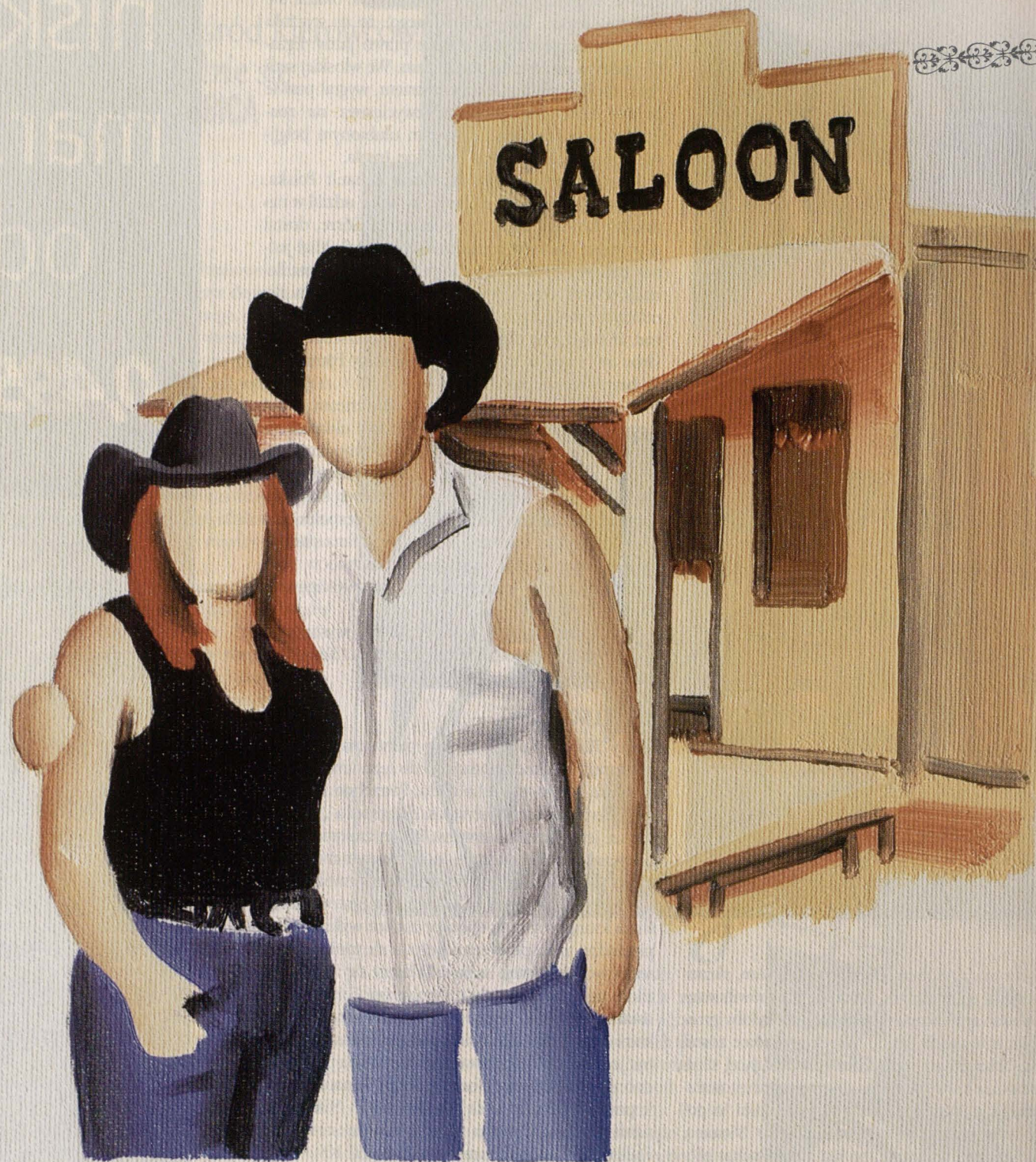
od 0,495%
do 0,999% dla PLN
oraz
od 0,620%
do 1,235% dla EUR

O nasz kredyt
hipoteczny pytaj
partnerów Nykredit:

Citibank
Handlowy,
Bank BISE,
Dominet
Bank,
eurobank.

Nykredit
Bank Hipoteczny S.A.

Zadzwoń: 0-801 806 000
www.nykredit.pl



Do salonu przybyli państwo
T. i J. Wipowie po kilka % rabatu

TEKST MICHAŁ MATYS
ILUSTRACJE MARCIN MACIEJOWSKI

FULL VIP-AS

Mamy nową modę – w Polsce
mnożą się Bardzo Ważne Osoby

Sposób jest prosty. Wystarczy pojechać do najnowszego centrum handlowego. Znaleźć sklep z napisem w witrynie: „20 procent – VIP-owa zniżka”, oraz kupić sukienkę, spodnie lub sweter. Po wypełnieniu ankiety z imieniem i nazwiskiem każdy może zostać VIP-em. – To sztuczki promocyjne. Zniżka to często pozorny przywilej. Ma zachęcić do zakupów – mówi profesor Jacek Hołówka, filozof i etyk. – Jeśli ktoś ma zamiar z tego powodu nazywać mnie VIP-em, to proszę bardzo. Równie dobrze mogą być dla niego generałem.

Przywileje bywają jednak prawdziwe: zakup auta ze zniżką, upust przy zakupie komórki, osobne przejście do samolotu na lotnisku, specjalne konto w banku lub ubezpieczenie na dogodnych warunkach. Czy wszystkim VIP-om wypada z nich korzystać? Gdzie przebiega granica między chwytem marketingowym, powszechnym obyczajem a zdobywaniem przychylności, lobbowaniem i łapówką?

STO TYSIĘCY VIP-ÓW NA BANK

Największe polskie banki PKO BP i Pekao SA licytują się, który ma więcej VIP-ów wśród klientów. Każdy szacuje ich liczbę na sto tysięcy.

VIP-em można zostać na dwa sposoby. Trzeba zarabiać miesięcznie co najmniej sześć (PKO BP) lub pięć (Pekao SA) tysięcy złotych albo być „opiniotwórczym klientem”.

W pierwszym przypadku zawód nie gra roli – VIP-em może być nawet robotnik, który dobrze zarabia za pomocą łopaty. W drugim – decyduje dyrektor oddziału banku. Ma wolną rękę. Zna klientów w swoim mieście i wie, kto ma prestiż. Nie ma ograniczeń. Kandydatem na VIP-a mogą być: lekarze, artyści, sportowcy, naukowcy. Ale równie dobrze miejscowa sprzątaczką, która cieszy się szczególnym szacunkiem, bo na przykład przepowiada sny. Prestiż, szacunek i opiniotwórczość są niewymiernie.

Nic jednak za darmo. VIP-owskie konto kosztuje średnio o połowę więcej od zwykłego (12 złotych miesięcznie w PKO BP; 17 złotych w Pekao SA). Marek Ryczkowski pełniący obowiązki rzecznicza PKO BP twierdzi, że VIP może negocjować

wszystko – łącznie z oprocentowaniem. Za dodatkową opłatą może wyrobić sobie złote karty Visa, Mastercard lub Diners Club.

VIP-y załatwiają transakcje w osobnych pomieszczeniach lub okienkach. Znajomy VIP narzeka jednak, że kolejka bywa dłuższa niż dla zwykłych klientów.

– VIP-om organizujemy koncerty. Dwa lata temu w trasę po całej Polsce ruszyła Kora, rok temu Maryla Rodowicz, a ostatnio Ryszard Rynkowski – chwali się Ryczkowski. – Co drugi VIP na widowni to polityk znany z pierwszych stron gazet.

PKO BP wydaje dla nich specjalny kwartalnik „Platinum” – opisuje w nim styl życia VIP-ów i zamieszcza listę firm, w których mają zniżki. Na przykład mogą taniej zamieszkać w hotelu Pegaz w Krynicy i iść tam za darmo do sauny, kupić z rabatem bawarską porcelanę lub ostrzyć się u znanego fryzjera.

Pekao SA proponuje dodatkowe ubezpieczenia: medyczne, podróżne lub od nieszczęśliwych wypadków. Zapewnia nawet, że sprowadzi hydraulika, jeśli w mieszkaniu VIP-a nagle pęknie rura.

PRESTIŻOWY KSIĄDZ I LEŚNIK

– Są to grupy ludzi opiniotwórczych, którzy zaszczycają nas, kupując nasze auta – mówi o VIP-ach Przemysław Byśzewski, rzecznik prasowy General Motors Polska, firmy produkującej ople. Każda firma samochodowa ma swoją listę VIP-ów, którym przyznaje zniżki. W GMP są to: księża, leśnicy, dziennikarze, mundurowi, sportowcy. – Wszystkich zawodów nie pamiętam, zbyt wiele ich – rzecznik jest lekko zakłopotany.

Według niego gdy ktoś kupuje auto, zwykle radzi się kolegi z pracy lub sąsiada. To przynosi efekt – w grupach zawodowych, które dostają zniżki, ople sprzedają się lepiej. Nic dziwnego, bo średnio kosztują cztery procent mniej – jeśli cena przekracza 50 tysięcy złotych, VIP-owi zostaje w kieszeni kilka tysięcy.

– Każdy nasz klient to VIP – powtarza jak zaklęcie Ewa Łabno-Fałęcka, dyrektor w DaimlerChrysler Automotive Polska. Czy VIP ma zniżki na mercedesy? Pani dyrektor uważa,

że pytanie jest prymitywne, bo cenę ustala się zawsze indywidualnie. Są tam jednak VIP-y ważne i ważniejsze. Najważniejsi to dyplomaci. W firmie istnieje specjalny dział, który sprzedaje im mercedesy „na warunkach preferencyjnych”. Dyplomatom musi się opłacać. Najlepszy dowód, że mercedesy z Polski sprowadzali pracownicy naszych ambasad z odległych krajów.

Fiat udziela także zniżek – od kilku do kilkunastu procent – swoim pracownikom, kooperantom, taksówkarzom, rolnikom, niepełnosprawnym, dyplomatom i dziennikarzom.

Jacek Balkan, dziennikarz prowadzący program motoryzacyjny w Radiu TOK FM, żartuje, że na liście zawodów, którym przysługuje rabat, brakuje tylko gospodyni domowej i slusarza. – Kilka procent nie boli producentów. To część marketingu. Sprytnie pomyślana, aby każdy poczuł się VIP-em – mówi.

JAK ZJEDNAĆ PRAWDZIWE VIP-Y

Jacek Santorski, psycholog, VIP i biznesmen, który prowadzi Instytut Psychologii Biznesu, twierdzi, że produkty reklamowane jako „dla VIP-ów” są w rzeczywistości przeznaczone dla „grup aspirujących”. Do skutecznej ich promocji firmy potrzebują „prawdziwych VIP-ów”. Dlatego próbują zjednać ich zniżkami czy upominkami.

Santorski uważa, że to uczciwy układ. – To gra marketingowa. Wszyscy są wygrani – mówi. Opowiada, jak wykladał w pewnej firmie telekomunikacyjnej. Oprócz wynagrodzenia zaproponowano mu zniżkę na telefon komórkowy nowej generacji. Kupił go po atrakcyjnej cenie. Ale poczuł się zobowiązany i zamówił dodatkowo pięć innych telefonów dla Instytutu.

– Tak postępują firmy na całym świecie. Nie chodzi o żadne przekupstwo. Nie jesteśmy wyspą na oceanie. Działamy w społeczeństwie i staramy się budować dobre relacje z niektórymi grupami – mówi Lidia Deja, rzecznik Warty. – To są najczęściej naukowcy, artyści, dziennikarze, biznesmeni, przedstawiciele fundacji. Ale także nasi partnerzy w interesach – wylicza.

W Warcie, aby zostać VIP-em, trzeba wykupić ubezpieczenie powyżej określonej sumy albo przekonać dyrektora oddziału, że jest się prestiżowym klientem. VIP-y dostają 25 procent zniżki.

Firmy motoryzacyjne zabiegają o przychylność dziennikarzy zajmujących się tą dziedziną. Mogą oni liczyć na największe zniżki. – To ukłon w stronę branży. Chcemy ich uhonoroować, docenić – uważa rzecznik Fiata.

– Rzadko kupujemy auta – mówi Jacek Balkan z Radia TOK FM. – Dostajemy je do testowania. Jeśli auto chce kupić żona albo kolega, to po prostu dzwoni się do salonu i targuje.

Balkan przyznaje jednak, że zniżki dla dziennikarzy z branży to śliski temat: – Jesteśmy jedną wielką rodziną. Z ludźmi z firm motoryzacyjnych chodzimy na wspólne imprezy. Razem pijemy – mówi. – Istnieje ryzyko, że zniżka to

coś za coś. Zdarzają się programy na pograniczu kryptoreklamy – dodaje.

Balkan uważa, że sam jest niezależny: o pewnym chevroletcie powiedział, że jest „do bani”, o jednym z nissanów, że jest „popieprzony”. Obu firmom było przykro, ale nadal dają mu auta do testowania. Twierdzi jednak, że niektóre firmy próbują wpływać na to, co mówi. Pewnego razu słuchacz żalił się na Citroëna, który nie chciał przyjąć reklamacji. – Szkoda, że firma ma pana gdzieś – skomentował dziennikarz. Przedstawiciel Citroëna zapowiedział, że nie da mu auta do testowania, bo się zepsuło. Balkan przez następny miesiąc mówił na antenie, że to chyba kiepskie auto, skoro firma obawia się dać je do testu.

CZEGO NIE WYPADA, CZYLI OSZUKANA ANITA

Anita Błochowiak z SLD, znana z komisji śledczej badającej aferę Lwa Rywina, opowiada, że wiele firm wrzuca swoje oferty do skrzynki poselskich – chcą uczyć posłów języków,

ta Błochowiak. Sobie nie ma nic do zarzucenia. – Miałam stary aparat, ciągle się rozłączał, chciałam go wymienić. Słyszałam, że firmy dają stałym klientom nowe telefony do testowania – mówi Błochowiak.

Zapewnia, że nie korzysta z przywilejów VIP-a. – Ludzie dobrze mnie traktują, bo jestem miła. Inaczej odnoszą się do gburów – mówi.

Pod koniec lat 90. telefony dla posłów na korzystnych warunkach oferowała spółka Polkomtel, do której należy sieć komórkowa Plus GSM. Dziś jej rzecznik prasowy zapewnia, że nie otrzymują ich politycy ani urzędnicy. Ale przyznaje, że dostają je do testowania dziennikarze i „partnerzy projektów sponsoringowych” – na przykład ratownicy. Na „dodatkowe upusty od promocji” mogą też liczyć osoby i firmy, które są dla Plusa „kluczowymi klientami”.

Wszystkie sieci komórkowe mówią o zniżkach niechętnie. W Erze przekonują mnie, że mają je wszyscy klienci jak leci, a VIP-y same lgną do Ery. Jacek Kalinowski, rzecznik prasowy spółki Centertel, właściciela sieci Idea, na

VIP to ma być ktoś, kto zaszczyca firmę, kupując jej produkty



Prestiżowi klienci.

sprzedawać im domy i komputery. Błochowiak kończyła marketing i domyśla się, że firmom zależy na reklamie.

Ale jesienią 2004 roku posłanka poczuła się oszukana. Zgłosił się do niej nieznany człowiek. Zaproponował telefon do testowania wart około tysiąca złotych. – Miał posiadać dostęp do Internetu i inne bajery – twierdzi Błochowiak. W zamian zgodziła się go reklamować. Gdy rozpakowała pudełko, okazało się, że to plastikowa zabawka za 30 złotych, a rozmówca to reporter gazety „Fakt”. Opisał, jak połaściła się na telefon. – To było oszustwo. Ten redaktor wystraszył się i uciekł – oburza się Ani-

dzwięk słów „zniżka” i „upust” szywnieje. Po tem przez trzy dni twierdzi, że nie dochodzą do niego ani e-maile, ani wiadomości głosowe.

...I PROMOCJA DLA SKARBÓWKI

W Oplu zniżek nie dostają politycy. – A gdyby poprosił o nią Józef Oleksy albo Jan Rokita? – pytam. – To byłoby rozstrzygane poza Polską. Nie wikłamy się w politykę – zapewnia rzecznik Byszewski.

Za to na liście VIP-ów u Fiata jeszcze półtora roku temu byli pracownicy urzędów skarbowych. Bogusław Cieślak, rzecznik Fiata, ich nie pamięta. Twierdzi, że lista wciąż się zmienia.

Dzwonię do pierwszego z brzegu salonu Fiata. – To była krótka promocja dla skarbowki – przypomina sobie sprzedawca. – Ale teraz zwykle promocje są większe – dodaje.

– Wycofaliśmy się ze względów marketingowych – ucina Cieślak. – Jeśli prywatna firma chce komuś coś podarować, to jej sprawa.

A co na to Ministerstwo Finansów? Fiat Auto Poland to jeden z największych eksporterów w Polsce. Od początku lat 90. korzystał ze zwolnień podatkowych. Czy urzędnikom skarbowym wypada kupować od niego auta ze zniżką? Z takim pytaniem zwróciłem się do Stanisława Steca, wiceministra finansów i generalnego inspektora kontroli skarbowej. Ale przez tydzień nie znalazł czasu na odpowiedź.

Profesor Jacek Hołówka twierdzi, że firmy mają prawo traktować na specjalnych warunkach, kogo chcą. Jego zdaniem nie jest to łapówka, lecz promocja – lansowanie wizerunku danej firmy. – Granica jest jedna: przywileje nie mogą być dawane kosztem pieniędzy publicznych. Dwuznaczne jest na przykład, gdy korzystają z nich dzielący je urzędnicy – mówi.

SAMOLOT, CZYLI PUNKTY DLA POSŁÓW

Ko często lata, otrzymuje od linii lotniczej coś w rodzaju karty stałego klienta. Posłowie latają często. Sejm to dla LOT-u jeden z najlepszych klientów. – Kupuje wiele setek biletów. Dlatego negocjujemy ceny – mówi Leszek Chorzewski, rzecznik prasowy LOT-u.

LOT uczestniczy w jednym z największych i najbardziej rozbudowanych na świecie programów zachęt dla pasażerów. Opłacała go i jako pierwsza wprowadziła niemiecka Luftansa. LOT zawarł z nią porozumienie o współpracy strategicznej.

Za każdy kolejny lot i „przeleciane mile” na kartę nabijane są punkty. Gdy pasażer uzbiera odpowiednią ich liczbę, może je wymienić na dodatkowe prezenty lub darmowe bilety. W ten sposób linie na całym świecie chcą przywiązać do siebie klientów. – Z naszego punktu widzenia taki stały pasażer jest kimś w rodzaju VIP-a – mówi Leszek Chorzewski. – Przed podróżą może skorzystać z osobnego saloniku, komputera, telewizji czy darmowych drinków.

Karty są imienne. Dlatego punkty uzbierane w czasie służbowych lotów zwykle można wykorzystać na prywatną podróż. W dużych firmach traktuje się to jako zwyczajową premię dla latających menedżerów.

W Niemczech największą dyskusję w prasie wzbudziła wymiana punktów na bilety przez posłów Bundestagu. W Polsce jeszcze jej nie było.

– Czuje się pan VIP-em? – pytam Tomasza Nałęcza, wice-marszałka Sejmu i przewodniczącego najsłynniejszej komisji śledczej.

– Nie.

– Jeśli nie pan, to kto jest VIP-em?

– Może rzeczywiście czasem nim jestem. Jak podpisuję ważne dokumenty albo przechodzę przez odprawę na lotnisku bez kolejki – zastanawia się Nałęcz.

– Nie korzysta pan z przywilejów VIP-ów? Nie kupił pan samochodu albo telefonu ze zniżką?

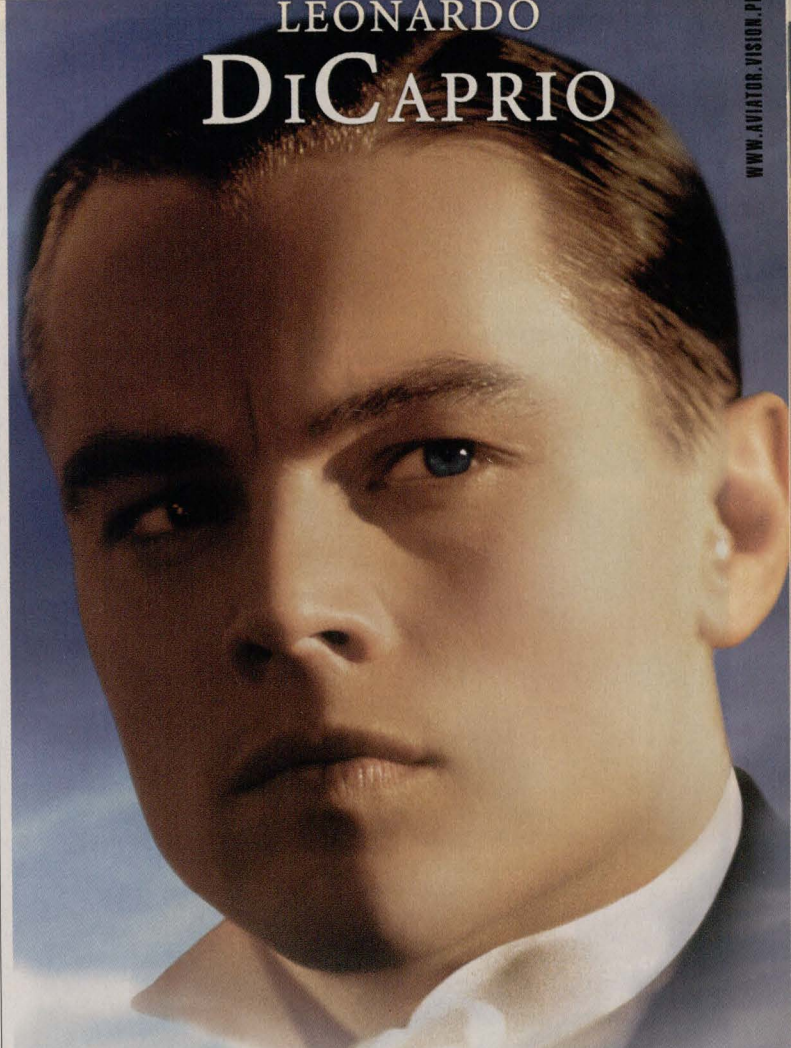
– Uważam, że jako poseł nie powinienem mieć wobec nikogo poczucia wdzięczności za to, że dostałem coś ze zniżką. Cenię sobie niezależność. Ale gdy wrócę jako historyk na uniwersytet, to kto wie.

– A pana kolezdy w Sejmie?

– Każdy robi to, co uważa za przyzwoite.

MICHAŁ MATYS

LEONARDO DiCAPRIO



FILM MARTINA SCORSESE
AVIATOR
W KINACH OD 18 LUTEGO



11
NOMINACJI DO OSCARA®
W TYM ZA:
NAJLEPSZY FILM
NAJLEPSZA ROLA MĘSKA
(Leonardo DiCaprio)
NAJLEPSZA REŻYSERIA
(Martin Scorsese)

3
ZŁOTE GLOBY®
NAJLEPSZY FILM
NAJLEPSZY AKTOR
(Leonardo DiCaprio)
NAJLEPSZA MUZYKA
(Howard Shore)

KAZIMIERSKA NATURALNA WODA MINERALNA

RMF fm INTERIA.PL ale kino! TVP 1 POLJOT EURO MAX FACTOR

BIOGRAFIE HOWARDA BUSHERA WYBRANE PRZEZ: Sopot Książki Czysty Zakład Teatralny wprost TVP 1 POLJOT EURO MAX FACTOR

MUZYKA Z FILMU NA CD WYDANA PRZEZ: GALA FOCUS GLAMOUR utopkiatka.pl AVIATOR SONY BMG

Ci, co skaczą i pływają

Spandex (jedną z jego odmian jest **LYCRA**, również dzieło DuPonta) ma możliwość 500-krotnego rozciągania się, dlatego robi się z niego kostiumy kąpielowe czy elastyczne stroje dla sprinterów. Najwyższym stopniem wtajemniczenia jest superszybki



strój pływacki z tkaniny **FASTSKIN** firmy Speedo, mający fakturę wzorowaną na skórze rekina. Tutaj Lycrę zmieszano z **ANTRONEM** (patent firmy Invista), nylonem wzbogaconym odpornym teflonem. Notabene, materiału tego używa się również do produkcji dywanów. W kombinezonie Fastskin pływał słynny Ian Thorpe. Czy nie przypominał nieco pana Iniemamocnego w młodości?

Przeciwdeszczowiec

Przeciwdeszczowy **GORETEX** to teflonowa membrana „oddychająca”, stworzona przez firmę Gore. Jej tajemnicą są mikrootwory (około 1,4 mld na 1 cm²), które zupełnie wystarczają na wyrzucenie na zewnątrz pary wodnej, czyli potu, ale są zbyt małe, aby przepuszczać krople deszczu. Goretex wytrzymuje ciśnienie 80-metrowego słupa wody!



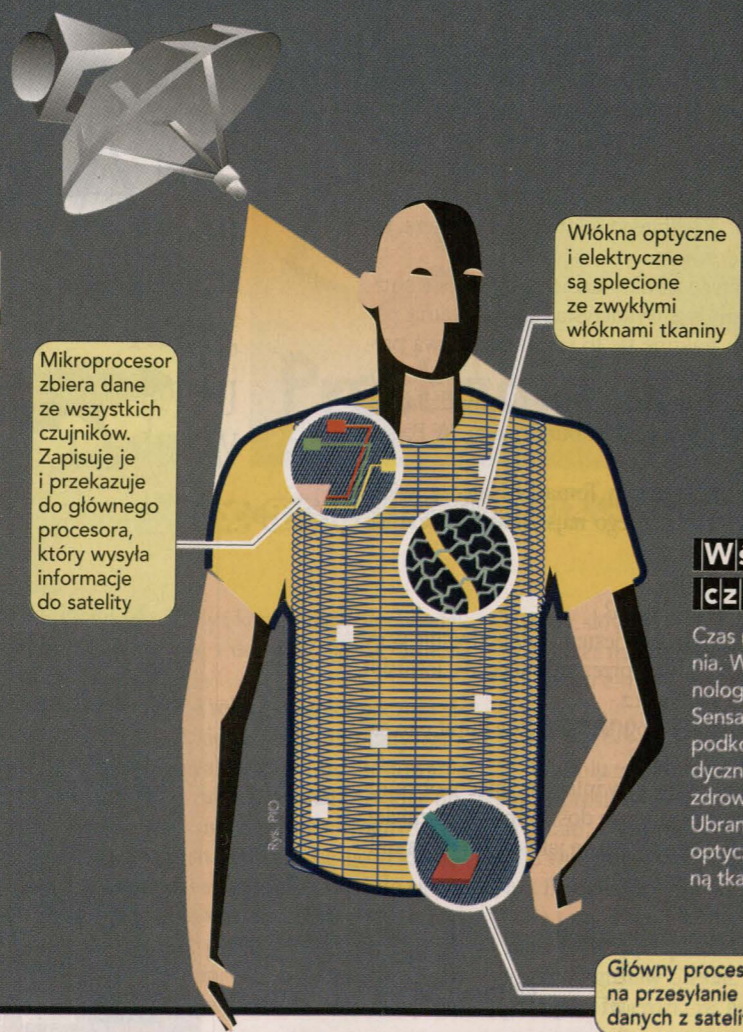
Goretex – zdjęcie mikroskopowe

Skóra w sieci

W laboratoriach firmy NanoSonic wyprodukowano metalową gumę nazywaną też inteligentną skórą – materiał przewodzący impulsy elektryczne, a do tego znoszący zginanie, rozciąganie i temperatury sięgające 200°C. Dzięki takiemu rozwiązaniu można tworzyć minisieci komputerowe wewnątrz ubrań. Po co? Chociażby do regulacji właściwości ubrania, które stawałoby się przewiewne w słoneczny dzień, a w czasie deszczu zamieniałoby się w wodoodporne okrycie. Wynalazek znajdzie się na rynku w połowie tego roku.

Inteligentne ubrania

Według tygodnika „Time” jednym ze stu wynalazków XX wieku, które miały największy wpływ na ludzkie życie, była tkanina produkowana z... plastikowych butelek. Jej poliestrowe włókna tworzą miniaturowe kieszonki, w których gromadzi się ogrzewane naszym ciałem powietrze. Ta supertkanina to **POLARTEC**, wynalazek firmy Malden Mills. Podobnie działa francuski **RHOVYL**, włókno stworzone na bazie PCW, które ma jednak tę przewagę nad polarem, że jest niepalne. Odwrotne – chłodzące – działanie ma **COOLMAX** firmy DuPont, który dzięki specjalnie ukształtowanym włóknom poliestrowym o owalnym przekroju skutecznie odprowadza pot na zewnątrz. Podkoszulek z czegoś takiego to ulubione ubranie rowerzystów. Równie zadziwiające właściwości ma **KEVLAR** (patent DuPonta), materiał pięć razy bardziej wytrzymały niż stal. Robi się z niego kamizelki kuloodporne, helmy, liny, trampoliny czy rakiety tenisowe. Zbudowany z włókien aramidowych swoją odporność zawdzięcza krystalicznej strukturze łańcuchów polimerowych. Mający podobną budowę **NOMEX** (również dzieło DuPonta) jest z kolei odporny na działanie gorąca, ognia i chemikaliów, dlatego z upodobaniem używają go strażacy, kierowcy rajdowi i astronauta.



Włókna optyczne i elektryczne są splecione ze zwykłymi włóknami tkaniny

Mikroprocesor zbiera dane ze wszystkich czujników. Zapisuje je i przekazuje do głównego procesora, który wysyła informacje do satelity

Wścibijskie czujniki

Czas na naprawdę myślące ubrania. W Georgia Institute of Technology we współpracy z firmą Sensatex stworzono inteligentny podkoszulek z sensorami biomedycznymi monitorującymi stan zdrowia osoby w niego odzianej. Ubranie uszyte jest z włókien optycznych splecionych z tradycyjną tkaniną. Zebrane informacje

Główny procesor pozwala na przesyłanie i odbieranie danych z satelity

Tkaniny superbohaterów

z podkoszulki przesyła drogą bezprzewodową do komputera w gabinecie lekarskim. Naukowcy myślą o kolejnych zastosowaniach: w mundurach kontrolujących stan zdrowia żołnierzy na polu walki, monitorujących ubraniach dla niepełnosprawnych czy dla ludzi starszych. Co więcej, sensory mogą również reagować na to, co się dzieje wokół, i informować na przykład służby chemiczne o typie toksycznych substancji, na które natrafily. Po-

dobny wynalazek – tkanina **DETECT** – ujrzał światło dzienne w brytyjskim Brunel University. Funkcję przekaźników informacji pełnią tu włókna węglowe, stalowe i srebrne. Jeśli jest to szpitalne prześcieradło, do lekarza popłyną dane biomedyczne, jeśli zaś Detect został użyty jako tkanina obiciowa w siedzeniach samochodowych, to komputer pokładowy dowie się, ile osób siedzi w środku, i dostosuje do tego zawieszenie auta.

Powyżej: Elektroniczny stanik. Tkanina z nici o funkcjach wyświetlacza



Kurtka firmy Pioneer z wbudowanym ekranem OLED pozwalającym oglądać telewizję

Żołnierze-kameleony

Wynalazek firmy International Fashion Machines wydaje się idealnym zaspokojeniem próżniaczych gustów elit światowej mody: elektroniczne ubrania zmieniają kolor na życzenie. Magia? Niezupełnie. Tkanina spleciona z przewodzących prąd nici pokrytych farbą elektroluminescencyjną jest po prostu wyświetlaczem. To technologiczne cudzińko nabiera nowego znaczenia, kiedy spojrzysz na nie jako na materiał na mundury wojskowe. Aż strach pomyśleć, ile mogłyby zdziałać niemal niewidzialni żołnierze-kameleony.



Rajstopy z włókna Lycra firmy DuPont stanowią naturalne „rusztowanie” dla ciała

Dla tych, co na stoku

Nieco prostsze i tańsze rozwiązanie – okablowane ubrania – to obecnie przebój stoków narciarskich. Producenci starają się, żeby przewody wplecione w strukturę tkaniny były odporne na pranie i ścieranie. Dokucza ci zimno? Jest na to sposób. Po naciśnięciu guzika podszewka MET5 kurtki firmy North Face wspomaganą bateriami litowo-jonowymi ogrzeje się nawet do temperatury 45°C. Z kolei kurtka snowboardowa The Hub firmy O’Neill pozwoli posłuchać muzyki i porozmawiać przez komórkę podczas zjazdu – wyposażona została w odtwarzacz MP3 i moduł łączności bezprzewodowej Bluetooth. W kaptur i kołnierzy kurtki zaprojektowanej przez Burtona i Motorolę wbudowano zestaw słuchawkowy Bluetooth i odtwarzacz iPod. Z tymi urządzeniami współpracują analogiczne moduły w czapce i kasku snowboardowym. Dla prawdziwych gadżeciarzy Motorola we współpracy z firmą Oakley skonstruowała okulary przeciwsłoneczne z łącznością bluetoothową.

wychowanie



Przedszkola montessoriańskie wywodzą się z Włoch z początku XX wieku



Fot. Getty/PPM

Przedszkole POCZĄTEK WSZYSTKICH PROBLEMÓW

OLGA WOŹNIAK

Wmuszanie obiadu, leżakowanie i strach, czy rodzice nie zostawili nas tu na zawsze. To się zmienia. Zbyt wolno, jeśli wiemy, że wychowanie przedszkolne to czas krytyczny dla dziecięcej psychiki

„Napisz o pani Teresce, która nie pozwalała się dzieciom ruszać w czasie leżakowania. Musiałam przewracać się na drugi bok tak, żeby nie widziała!”. „I o pani Ali, która kazała dzieciom śmiać się z dziewczynki, bo ta zżusiała się w majtki. Pani nie pozwoliła jej iść do toalety, bo miał być obiad”. Takich zamówień miałam wiele. Dowiadując się, że mam pisać o przedszkolach, każdy wywlekał przedszkolne traumy.

Przedszkola powstały w XIX wieku. Powód? Rozwój przemysłu. Chodziło o to, by dzieci pracujących kobiet „przechować” przez parę godzin we w miarę bezpiecznych warunkach. Na początku więc przedszkola powstały dla dorosłych. Druga połowa XX wieku przyniosła nowe odkrycia dotyczą-

ce psychologii dziecięcej. Okazało się, że u człowieka w wieku trzech, czterech, pięciu lat intensywnie rozwijają się zdolności społeczne i intelektualne. Trzeba było coś zrobić, by przedszkola z przechowalni zmieniły się w miejsca kształcące kreatywnych, samodzielnych ludzi. I o ile na Zachodzie się udało, w Polsce to droga przez mękę.

Lepiej z mamą?

Amerykańska High/Scope Educational Research Foundation śledziła losy kilkuset

osób przez blisko 40 lat. Sprawdzano, jak im się powodzi w wieku 14, 19, 27 i 40 lat. Okazało się, że ci, którzy chodzili do dobrego przedszkola, jako dorośli zarabiają więcej, rzadziej cierpią z powodu bezrobocia, częściej kończą studia i znacznie rzadziej popadają w konflikt z prawem niż ci, którzy spędzili ten czas w domu. Badania dowodzą, że każdy dolar wydany na edukację przedszkolną wraca pomnożony 17 razy. Skąd? Z podatków płaconych przez lepiej zarabiających absolwentów przedszkoli, z oszczędności na opiece społecznej w stosunku do bezrobotnych. Z tego, że mniej osób trzeba utrzymywać w więzieniach.

„Napisz o pani Eli, która zaciągała gadatliwe dziecko do kuchni i groziła, że obetnie mu język nożem”.

Więc jak to jest z tym przedszkolem?

– W Polsce źle – mówi zapytana o to Teresa Ogrodzińska, prezes Fundacji Rozwoju Dzieci imienia Amosa Komenskigo. – Po pierwsze, wiele przedszkoli działa według zasad tradycyjnej, nieuwzględniającej najnowszych odkryć pedagogiki. Po drugie, zamiast je poprawiać, w Polsce przedszkola się likwiduje. A to naprawdę nie jest droga, jaką podąża Europa. W Europie do przedszkoli chodzi blisko 80 procent dzieci. W Polsce o połowę mniej. Na polskiej wsi to zaledwie 13 procent.

Na Węgrzech do przedszkola chodzą wszystkie dzieci. W Portugalii każde dziecko ma zagwarantowany dostęp do wychowania przedszkolnego – choć nie jest obowiązkowe. Do dzieci z niedostępnych terenów jeżdżą wędrownie nauczycielki opłacane przez rząd. W Wielkiej Brytanii obowiązek szkolny zaczyna się od czwartego roku życia – pierwsze dwa lata to przygotowanie do nauki. Wcześniej dzieci mają wiele możliwości: dla maluchów tworzy się tak zwane *playgroups*, czyli grupy zabaw, świetlice, po wsiach jeżdżą świetlicobusy.

Tymczasem według badań CBOS-u co piąty Polak uważa, że to matka powinna się zajmować dzieckiem do czasu rozpoczęcia przez nie nauki w szkole. – W upowszechnieniu wychowania przedszkolnego za nami jest chyba tylko

Że nie ma tylu zabawek, że podłoga się nie błyszczy. A gdy zobaczyły dziewczynki, które wycinały z papieru, mało nie umarły ze zgrozy. Przecież nożyczkami można zrobić krzywdę!

„Napisz o przedszkolu, w którym zabroniono myć zęby po obiedzie, bo pani bała się, że dzieci zrobią sobie krzywdę szczoteczkami do zębów”.

Rodzic buntownik

– To, jak funkcjonują dziś polskie przedszkola, jest w dużym stopniu spuścizną po komunizmie – mówi profesor Anna Brzezińska ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie. – Studia pedagogiczne były łatwym sposobem uzyskania tytułu magistra. Trafiły tu często osoby bez powołania. Od tego czasu niewiele się zmieniło. Gdy w Polsce rozmawia się o edukacji, to ma się na myśli licea, studia, czasem podstawówki czy gimnazja. O przedszkolu się nie mówi. Tymczasem wiele badań pokazuje, że to bardzo ważna instytucja. Zajmuje się dziećmi w wieku, w którym buduje się w nich poczucie własnej wartości, pewność siebie, koncentracja, umiejętność słuchania, rozwój psychoruchowy, rozwijają zdolności życia w grupie.

W Polsce wychowanie przedszkolne wprowadzono w 1932 roku. Po II wojnie światowej uznano je za jedną ze sztandarowych zdobyczy systemu, bo umożliwiała wykonywanie

obowiązków masom pracującym, będąc jednocześnie pierwszym etapem indoktrynacji.

Dzieci należało przyprowadzić o 8 rano, odebrać o 16. W tym czasie trudną rolę wychowania przejmowało na siebie państwo. Rodzice nie mogli krytykować jego metod.

Zakładano, że dziecko jest bezradne i bez dorosłego nic nie robi. Trzymano je pod stałą kontrolą, nie ufano mu. – Dziecko miało wykonywać polecenia pani i być posłuszne – mówi profesor Brzezińska. – Wszelkie przejawy indywidualizmu piętnowano mianem „niegrzeczności” i karano. To było wykształcanie bezradności. Wychowywanie bezwolnego człowieka podporządkowanego władzy.

Przedszkole było kolejną instytucją służącą urabianiu charakteru. Dziś, mimo że komunizm upadł blisko 20 lat temu, reformą przedszkoli nikt się nie zainteresował. Tę ideologię wciąż szący się dzieciom do głów, choć już zupełnie nieświadomie.

Świadomi katastrofy bywają rodzice. Dzięki nim pod koniec lat 80. zaczęły powstawać przedszkola prywatne, traktujące dziecko i rodziców jak klientów, którzy gdy im się nie spodoba, pójdą do konkurencji. Dzięki tym przedszkolom do programu zaczęto wprowadzać nowoczesną psychologię, alternatywne metody wychowawcze.

Jednym z rodziców buntowników była Monika Rościszewska-Woźniak. W początkach lat 80. wraz z grupą znajomych mających dzieci w wieku przedszkolnym działała w nieformalnym Stowarzyszeniu Dobrego Zajmowania się Dziećmi. – Marzyliśmy, by przedszkole wspomagało rozwój naszych dzieci, a nie było tylko przechowalnią. Nie chcieliśmy, by je odgórnie programowano. Podzieliliśmy się dyżurami, ustaliliśmy zasady działania. Trochę na podstawie niewielu dostępnych zachodnich publikacji, trochę w dyskusjach.

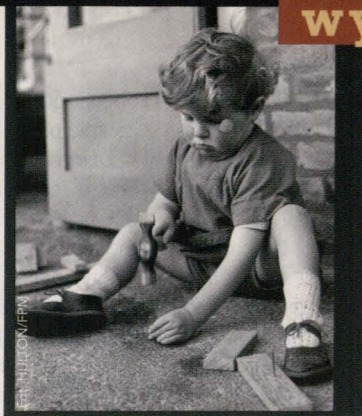
Te zasady były szokujące: rodzice mogli przyprowadzać dziecko przez cały dzień. Wchodzili do środka, raz w tygodniu mieli kilkugodzinne dyżury. Dzieci nie zmuszono do jedzenia, leżakowania i nie musiały prosić o pozwolenie, by iść do toalety. – Mogły się bawić, czym chciały. Próbowaliśmy znaleźć równowagę między zachowaniem ich wolności a podstawami dyscypliny i uczeniem reguł społecznych – opowiada Monika Rościszewska-Woźniak.

– Czy od tego czasu przedszkola się zmieniły? – pytam. – Zmieniają się. Motorem są rodzice, ale i niektórzy nauczyciele. Jest też kilka organizacji pozarządowych, które organizują szkolenia, pokazują nowe standardy, trendy.

Najważniejszy porządek

To trudne – mówi Teresa Ogrodzińska. – W wielu rodzinach główny nacisk kładzie się na posłuszeństwo, porządek, kindersztube.

wychowanie



W ogóle nie myśli się o tym, że dziecko wie, czego chce. Uważa się, że jest głupie, bo jest małe. Podobne przekonanie panuje w przedszkolach.

– Na szkoleniach najwięcej emocji wzbudza, gdy mówimy, że dzieci nie powinno się zmuszać do jedzenia i leżakowania – dodaje Ogrodzińska.

Jak to? Dać się dziecku zagłodzić? Nie kazać spać? Przecież dziecko potrzebuje snu.

– Jak będzie potrzebować, to samo powie – tłumaczymy. – A nikt nie słyszał o zdrowych dzieciach, które zmarły śmiercią głodową same z siebie. Oczywiście o ile zamiast obiadu, którego jeść nie chciały, nie dawano im słodyczy.

„Proszę, napisz o paniach, które kazały jeść, nawet gdy wszystko było zimne, i nie przejmowały się, że wymiotowała, bo nie mogłam”.

– A dlaczego nie namawiać do jedzenia? – pytam. – Mnie tam namawiano całe dzieciństwo. – W Polsce panuje kult jedzenia – mówi Ogrodzińska. – Gdy ktoś karmi, to znaczy, że kocha. Rodzice i wychowawcy bardzo się oburzali, gdy tłumaczyliśmy im, że namawianie może mieć fatalne skutki. My mówimy: „Proszę cię, zjedz chociaż trochę tej zupki. Spróbuj. Jak ci nie będzie smakowała, to już cię więcej nie poproszę”.

A potem w szkole pojawia się ktoś, kto namawia: „No, spróbuj amfetaminy. Jak ci nie będzie pasowało, to OK. Ale jak możesz odmawiać, jeśli nie wiesz, jak to smakuje”. I co robi dziecko tresowane przez nas do próbowania przez całe dzieciństwo? Próbuje.

Dajmy dzieciom spokój. Nie martwmy się, że przez miesiąc będą jeść tylko kluski albo chleb z masłem. Przez następny będą chciały tylko ser żółty, a za jakiś czas tylko buraczki. Nie urozmaicajmy im diety na siłę. Z czasem same to zrobią.

„W przedszkolu mojej córeczki wprowadzono nowe zasady wydawania posiłków. Dzieci same nakładają sobie to, na co mają ochotę. Niektórzy rodzice są podobno zbulwersowani, ale w naszym przypadku – to rewelacja! Asia, która ostatnio w przedszkolu nie jadła NIC, zainteresowała się wreszcie jedzeniem. Podobno te jej kompozycje są dość nietypowe, ale wreszcie nie wraca do domu wygłodzona” – pisze mama przedszkolaka na forum Gazeta.pl.

Metody alternatywne

Rodzice zmęczeni i zniechęceni tradycyjnymi przedszkolami szukają dla swoich dzieci miejsc, w których rządzą inne zasady. Coraz popularniejsze stają się przedszkola stosujące tak zwane alternatywne metody wychowawcze. – Rodzice wybierają przedszkola alternatywne, bo liczą, że mniej będzie się w nich dbało o program, a bardziej o rozwój dziecka – mówi pro-

fesor Brzezińska. W Polsce najbardziej rozpowszechnione są metody Montessori i Steiner. Na czym polegają?

Przedszkola montesoriańskie stworzyła na początku XX wieku Włoszka Maria Montessori. Była lekarzem i pracowała z dziećmi. Zaobserwowała, że mają

wrodzoną ciekawość świata i że w sposób naturalny chłoną wiedzę. Stwierdziła, że każde dziecko jest inne i trzeba do niego podchodzić indywidualnie. Banał? Na owe czasy było to dość rewolucyjne.

W przedszkolu montesoriańskim dziecko nie jest kolejnym trzylatkiem, który ma opanować określony program, ale Frankiem czy Zuzią z całym potencjałem i trudnościami, jakie ze sobą przynosi.

– W naszym przedszkolu uczymy przez doświadczenie i działanie – mówi Julia Wasilewska, pedagog pracująca w jednym z warszawskich przedszkoli posługujących się tą metodą. – Dużą wagę przywiązujemy do umiejętnego korzystania z wolności, przestrzegania zasad życia społecznego – pokazując dzieciom sens ich wspólnego ustalania i kierowania się nimi. Ustanawiamy zasady i ich pracę. Nie odrywamy dziecka od wykonywanego działania, bo „wszyscy już skończyli”. Pozwalamy mu pracować we własnym tempie.

Inna jest tu rola nauczyciela. Ma wspierać dziecko. Mądrze wykorzystując swoją wiedzę, ma stwarzać mu warunki do samodzielnych działań. Uważać, by zbytnia nadopiekuńczość, wyręczenie dziecka nie pozbawiały go poczucia sprawstwa potrzebnego do normalnego rozwoju osobowości. Nauczyciel ma pomagać dziecku, nie wyręczać go.

Dzieci w montesoriańskich przedszkolach są dobierane w grupy mieszane wiekowo. Zakłada się bowiem, że maluchy będą starały się naśladować starszych, a ci rozwiną umiejętność opieki nad młodszymi. Ciekawe jest to, że nie znajdzie się tu dwóch jednakowych zabawek. Ma to skłaniać dzieci do dogadywania się z kolegami, do zachowań społecznych.

Maria Montessori stworzyła oryginalny zestaw pomocy rozwojowych służących dziecku w procesie uczenia się. Wychodziła z założenia, że otoczenie jest kluczem do rozszyfrowywania rzeczywistości. Częstym zarzutem wobec tych

przedszkoli jest to, że dzieci cały czas się tam uczą, że się nie bawią.

– To dorośli tak myślą. Dla dzieci nauka jest zabawą. Nie należy im tylko przeszkadzać, lecz stymulować, zachęcać – mówi Wasilewska.

Pedagogika Montessori staje się coraz modniejsza, wszyscy rodzice powinni więc dokładnie sprawdzać, czy nazwa nie jest nadużywana, bo przedszkole ma kilka pomocy i tylko wykorzystuje elementy tej pedagogiki. To spójny system pedagogiczny i filozoficzny (przedszkole wychowuje w duchu chrześcijańskim). Trzeba rozważyć, czy nam to odpowiada.

Życie w zgodzie z rytmem

Przedszkola steinerowskie (zwane waldorfskimi) założył Rudolf Steiner. Był twórcą filozofii zwanej antropozofią (mądrością człowieka). Pedagogika oparta na jego filozofii funkcjonuje od 1919 roku.

Uważał, że rozwój człowieka podlega rytmem. W pedagogice waldorfskiej uważa się, że w pierwszych siedmiu latach życia dziecko przede wszystkim rozwija się fizycznie. Żyje bez poczucia czasu, korzystając z chwili obecnej. Naśladuje to, co w świecie istnieje. Dlatego naczelną zasadą w przedszkolach waldorfskich jest wychowywanie dzieci przez naśladowictwo. – System Steinera zakłada, że dziecko jest indywidualnością, którą osłania nauczyciel. Przedszkole zaspokaja potrzebę swobodnej zabawy, która powinna uczyć wchodzenia w role społeczne i rozwijać fantazję. Ta przeradza się w siły twórcze – tłumaczy Bogna Neumann z przedszkola na warszawskim Mokotowie.

To miejsce mało przypomina tradycyjne przedszkole. Ściany są kolorowe, meble drewniane. Próżno tu szukać lalek Barbie, plastikowych samochodzików, klocków lego. Ich miejsce zajmują szyszki, patyczki, kasztany, drewnienka, wiklina. – Nie dajemy „gotowców”. Przez konstruowanie zabawek z surowców naturalnych rozwijamy kreatywność dzieci – tłumaczy Bogna Neumann.

Zwolennicy zajęć dodatkowych także srodze się zawiodą. Pedagogika ta zakłada, że małych dzieci nie należy przeciążać intelektualnie. Mogłoby to zaburzyć ich rozwój fizyczny i emocjonalny. Dlatego nie ma tu lekcji angielskiego, będzie za to dużo zabawy, malowania, wyszywania, zajęć artystycznych.

– Wybrałam to przedszkole dla mojej córki, bo podoba mi się, że traktuje dziecko jako istotę duchową i dużą wagę przywiązuje się do jej

wewnętrzny rozwój. Umacniania jej pewności siebie, systemu wartości – mówi mama pięcioletniej Antosi.

– Metodzie steinerowskiej zarzuca się, że wychowuje dziecko w iluzji dobrego świata, a on wcale taki nie jest. Nie martwi się pani, że po tym przedszkolu córka wejdzie w inny, obcy świat?

– Jeśli dziecko stworzy w sobie równowagę duchową, to będzie żyć według własnych reguł. Nie chciałabym, by moja córka od dzieciństwa uczestniczyła w wyścigu szczurów, jaki fundują dzieciom niektóre przedszkola z mnóstwem zajęć dodatkowych.

Te był wybór świadomy. Częściej do alternatywnych przedszkoli trafiają dzieci rodziców szukających nie metody czy filozofii, ale atmosfery. Zdarza się, że są potem zaskoczeni. Nie znając filozofii, którą kieruje się dana metoda wychowawcza, zaczynają ją postrzegać jako sektorską. Głośnym przypadkiem była historia przedszkola z Lubonia sprzed dwóch lat. Zaczęło się od anonimu, który rodzice przedszkolaków zostali pocztą. Pojawiły się dociekania: dlaczego dzieci bawią się kawałkiem drewna? Dlaczego w przedszkolu nie ma zwykłych lalek? Dlaczego pani przy świeczce opowiada jakieś niesamowite historie? Sprawa otała się nawet o kuratorium.

Egzamin do pierwszej klasy

Wybór odpowiedniego przedszkola to jednak tak naprawdę luksus tylko dla mieszkańców wielkich miast. Co zrobić w miejscach, gdzie nie ma się stasie społeczno-ekonomicznej. – Bez przedszkoli będzie się pogłębiał podział na zamożnych, dobrze wykształconych i tych biednych, którzy nie wychodzą poza zawodówkę, bo już na starcie w szkole podstawowej odstają od swoich rówieśników i jest już za późno, by tę przepaść pokonać – mówi Teresa Ogrodzińska.

Coraz częściej status materialny i wykształcenie są dziedziczone po rodzicach, maleją szanse awansu kulturowego i intelektualnego ponad poziom domu rodzinnego” – pisze Joanna Olech w „Tygodniku Powszechnym”. Fundacja imienia Komenskigo pomaga „zaniedbanym” gromom w organizowaniu form edukacji przedszkolnej.

Zajęcia dla dzieci odbywają się kilka godzin w tygodniu, prowadzą je przeszkolone nauczycielki. O dziwo, protestuje Związek Nauczycielstwa Polskiego, uważając, że ważniejsze od edukacji dzieci jest to, czy przedszkolanki zatrudniane są zgodnie z Kartą nauczyciela. A w tym przypadku nie są, bo placówki Komenskigo nie dostają pieniędzy z Ministerstwa Edukacji – nie są więc zarejestrowane jako pełnoprawne przedszkola.

– W ten sposób jedyną metodą wyrównywania szans w naszym kraju stają się stypendia – mówi Ogrodzińska. – A można by było zacząć tak wcześniej...

Jak na razie państwo wprowadziło od zeszłego roku obowiązkowe zerówki. Mało kto wie, że zerówki wymyślono w latach 70. i miały to być etap przejściowy do wprowadzenia obowiązku szkolnego od szóstego roku życia. Jak wiele prowizorek tak i ta przetrwała długie lata. Do dziś nie ustalono, jaki tak naprawdę powinien obowiązywać program w klasach zero. Dlatego niejednokrotnie to, czego dzieci się tam uczą, powtarzane jest w klasach pierwszych. Zdarza się, że dyrektorzy szkół, którzy chcą tego uniknąć, wprowadzają... egzaminy dla pierwszaków i przyjmują tylko te dzieci, które umieją już czytać i pisać.

Paranoja? Owszem.

– Ale proszę, a na początku miałam tylko napisać o pani Teresce, która nie pozwalała się dzieciom ruszać w czasie leżakowania...

OLGA WOŹNIAK

WSPÓŁPRACA JUDYTA SIERAKOWSKA

Podyskutuj na ten temat w portalu Wirtualna Polska w serwisie www.wiadomosci.wp.pl

weź udział w konkursie, wygraj

użyj głowy, wyobraźni, ręk_ wykrzyż wszystkim, co jest w dechę, co cię boli, rozśmiesza, irytuje_ powiedz nareszcie to, co zawsze chciałeś powiedzieć_ złóż oświadczenie_ manifestuj_ zaprojektuj t-shirt_ taki, jaki zawsze chciałeś mieć_ rysuj, klikaj, fotografuj_ technika wykonania nieważna_ po prostu bądź kreatywny_ dostarcz nam projekt :o

wkliknij się na konkursową stronę: www.hp.pl/HydePark

hp invent

Wolność Słowa

hyde park

CINEMA CITY, gostados, ELLE, FLUID, o2.pl, PRZE KROJ, radiostacja, tlen.pl

technika wojskowa

KAWITACJA

Dzięki zjawisku kawitacji rosyjska torpeda Szkwiał może osiągnąć pod wodą prędkość ponad 350 km/h



W AMERYKĘ

Rosyjska tajna broń napędza stracha Pentagonowi

K

awitacja to koszmar konstruktorów okrętów i załóg okrętów podwodnych. Pierwszym niszczy śruby napędowe, a drugich naraża na wykrzyk przez wroga. To niezwykle zjawisko polega na tym, że zimna woda opływająca śrubę napędową zaczyna się nagle gotować, strasznie hałasując.

Zimny wrzątek

Wszystkiemu winne są prawa fizyki. Napęd okrętom zapewniają śruby – to one odpychają się od wody i poruszają całą maszynę. Z zasad hydrodynamiki wynika, że gdy śruba wiruje, woda najszybciej porusza się przy jej krawędziach. A im szybciej przepływa woda, tym bardziej spada jej ciśnienie. Z kolei im niższe ciśnienie, tym łatwiej woda zaczyna wrzeć.

Pod wodą szybki przepływ cieczy oznacza, że ciśnienie spada, a więc spada i temperatura wrzenia. Czasami może spaść tak bardzo, że woda zaczyna się wokół śruby gotować, mimo że ma zaledwie kilka stopni powyżej zera. Wtedy właśnie pojawia się kawitacja – zaczynają się tworzyć liczne bąbelki pary wodnej, które istnieją dzięki niskiemu ciśnieniu powstającemu wokół śruby. Jednak gdy tylko się od niej oderwą, ciśnienie wraca do normy, a pęcherzyki gazu się zapadają. Tak gwałtownie, że powstaje fala uderzeniowa, która nie tylko może uszkodzić śrubę, ale też wytworza hałas tak nieubliwany przez załogi okrętów podwodnych.

Okazało się jednak, że kawitacja może zdziałać też coś dobrego, o ile tylko umiejętnie się ją wykorzysta. Aby była przydatna, trzeba ją bar-

dzo wzmocnić. Powstają wtedy nie pojedyncze, małe pęcherzyki gazu, ale jeden wielki bąbel obejmujący cały płynący pod wodą obiekt. To zjawisko nazwano superkawitacją. Podstawowym problemem poruszania się pod wodą jest jej opór. Każdy, kto spróbował biegać w morzu czy basenie, wie, o czym mowa – tarcie jest tu około tysiąca razy większe niż w powietrzu. Dlatego najszybsze łodzie podwodne osiągają szybkość 80 kilometrów na godzinę, a torpedy nie przekraczają 130 kilometrów.

Tymczasem superkawitacja pozwala na zapomnienie o oporze wody – obiekt pod wodą nie płynie, ale leci w bańce gazu. Różnica? Podczas doświadczeń udało się w ten sposób uzyskać prędkość 1549 metrów na sekundę, czyli ponad 5,5 tysiąca kilometrów na godzinę!

Szkwał pędzi!

To wymarzone parametry dla torpedy – dżinsiejsze mają co prawda zasięg nawet ponad 100 kilometrów, ale płyną wolno, więc cel ma czas na wykonanie uniku. Gdyby torpeda mogła pędzić z szybkością kilkuset kilometrów na godzinę, przeciwnik nie zdążyłby nic zrobić. Badania nad wykorzystaniem zjawiska superkawitacji armia amerykańska rozpoczęła już w latach 50. Później jednak projekt zarzucono – zbyt trudno było rozpędzić torpedę, a potem utrzymać ją w gazowej niszy i równocześnie kierować pociskiem. Dlatego w 1995 roku USA przeżyły szok, gdy okazało się, że Rosja dysponuje działającą torpedą superkawitacyjną. Parametry nowej broni przyprawiły Amerykanów o ból głowy – torpeda WA-111 Szkwał

pędzi pod wodą z szybkością 360 kilometrów na godzinę i mimo zasięgu tylko 100 kilometrów jest zabójczą bronią, przed którą nie ma obrony. W dodatku Rosja szybko zajęła się sprzedażą swojej technologii – w 1999 roku zaproponowano ją Chinom, Indiom i prawdopodobnie Iranowi.

Ameryka natychmiast przystąpiła do pracy, starając się nadrobić stracone lata. Sprawa okazała się jednak trudniejsza, niż to się wydawało. Aby wywołać i stabilnie utrzymać zjawisko superkawitacji, potrzeba prędkości nie mniejszej niż 50 metrów na sekundę (180 kilometrów na godzinę). Klasyczny napęd torpedy nie może tego zapewnić. Poza tym konieczne jest nadanie obiektowi odpowiedniego kształtu – największe znaczenie ma przód, który styka się z wodą. Ta część, nazwana kawitator, odpowiada za nadanie wodzie takiej szybkości i kierunku przepływu, by obniżone ciśnienie utworzyło gazowy bąbel. Właśnie w nim znajduje się reszta torpedy, która obją się o brzegi niszy kawitacyjnej.

Rosyjski Szkwał napędzany jest prawdopodobnie silnikiem rakietowym na paliwo stałe. Jego kawitator ma prawdopodobnie kształt dysku. Ograniczone sterowanie zapewniają prawdopodobnie stateczniki dotykające krawędzi bąbla lub dysza silnika o zmiennym wektorze ciągu. Torpeda prawdopodobnie może przenosić ładunek jądrowy, choć nawet bez jakiegokolwiek go wyci sama siła jej uderzenia wystarczy, by zatopić większość okrętów.

Wszystko to domysły, bo do dziś niewiele wiadomo o konstrukcji Szkwała. Wiadomo, że to jego plany próbował kupić Edmond Pope, amerykański szpieg złapany w 2000 roku w Moskwie. Podejrzewa się też, że to awaria torpedy Szkwał spowodowała zatonięcie okrętu „Kursk”. Kłamstwa władz rosyjskich miały zapewne na celu ukrycie tego, bo stanowiłoby to fatalną reklamę dla produktu eksportowego.

Choć Amerykanie wielokrotnie pokpiwali z tego, że Szkwał jest topomy i niemal niestworzony, wyraźnie sprawą bardzo się przejęli. Można przeczytać mnóstwo zapewnień mówiących o tym, że już wkrótce wprowadzą liczne rodzaje broni wykorzystującej zjawisko superkawitacji. Prawdopodobnie w tajnych laboratoriach faktycznie taka broń działa, jednak nie zmienia to faktu, że USA ma do nadgonienia dobre 20 lat.

PIOTR STANISŁAWSKI

PRAKTYCZNY PRZEWODNIK PO WIEKU DOJRZAŁYM

ROZMOWY O PRZEMIJANIU



SZUKAJ W KSIĘGARNIACH

TYLKO TERAZ* 2 MODUŁY W CENIE 1

;-)

Zadzwoń i zamów

GRAŻYNA JANIAK
22 5842172

grazyna.janiak@edipresse.pl

* - do końca marca

LUKSUSOWE APARTAMENTY

W WILANOWIE, ul. Urodzajna 11

INFORMACJE:
(022) 885 41 66, (022) 885 95 96
0 600 252 796, 0 600 252 761

INWESTYCJA ZAKOŃCZONA!

Zapraszamy do oglądania apartamentów w sobotę, 19 lutego 2005 r., w godz. 11.00-16.00 oraz w innych terminach po uzgodnieniu telefonicznym

BAVARIA DEVELOPMENT Sp. z o.o.
ul. Urodzajna 11, 02-954 Warszawa
E-mail: bavaria@bhi.com.pl; www.bhi.com.pl

Bavaria Development Sp. z o.o. BHI Polska Sp. z o.o.

VIN DIESEL

KRONIKI

RIDDICKKA

49,99-

ŻADNE SIŁY WE WSZECHŚWIECIE NIE SĄ W STANIE ZMIENIĆ PRZEZNACZENIA

Film © 2004 Universal Studios. Wszystkie prawa zastrzeżone. Projekt graficzny © 2004 Universal Studios. Wszystkie prawa zastrzeżone.

z WAGĄ wiesz więcej

www.wab.com.pl

DAVID I. KERTZER

PAPIEŻE A ŻYDZI

O ROLI WATYKANU W ROZWOJU WSPÓŁCZESNEGO ANTYSEMITYZMU

już w księgarniach

PATRONAT MEDIALNY: PRZE KROJ

dwójka POLSKIE RADIO

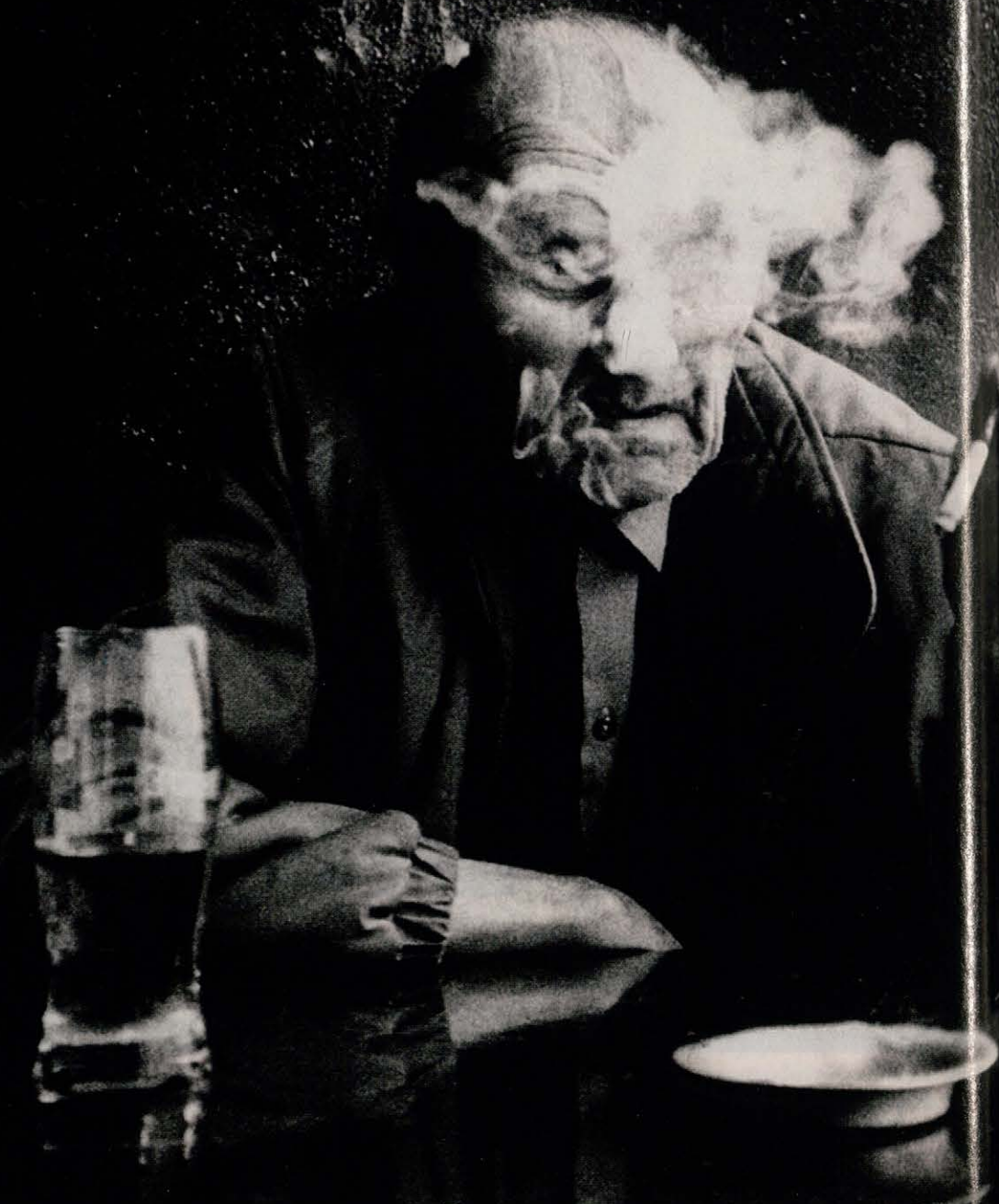
PORTAL KSIĘGARŃSKI www.ksiazka.net.pl

zamieszkać nad morzem...

Chorwacja
Kotobrzeg
Swinoujście

78-100 Kotobrzeg
ul. Armii Krajowej 20c/8
tel. + 48 94 352 73 59
tel./fax + 48 94 354 80 02
www.kornas.com.pl
e-mail: biuro@kornas.com.pl

kornas



Według Ackermana najlepsze zdjęcia rodzą się z przełamania barier i osobistego kontaktu – tego nieznanego sfotografował po krótkiej rozmowie w piwnej spelunie w Katowicach

ŚNIEG NIE MÓWI NIE

W Polsce lubię to, że niczego nie obiecuje. Nie łudzę się, że przyjemnie spędzę czas – mówi **MICHAEL ACKERMAN**, jeden z najbardziej uznanych na świecie fotografów, od kilku lat mieszkający w naszym kraju

ROZMAWIALI
KUBA DĄBROWSKI
I WOJTEK KOCOŁOWSKI
ZDJĘCIA
MICHAEL ACKERMAN/
AGENCE VU

Zdjęcia Ackermana są wycięte z wszelkich informacji – ten starszy mężczyzna z Krakowa mógłby pochodzić zewsząd i z każdego czasu



Michael Ackerman to odkrycie światowej fotografii ostatnich lat. Stworzył tak niepowtarzalny styl, że na całym świecie mistrzowie fotografii zaczęli robić zdjęcia „ackermanopodobne”. Jego czarno-białe zdjęcia opowiadają historię samotności, nieszczęścia, przecucia fatum. Dzieją się we wnętrzach pustych domów, na nocnych ulicach. Nie ma w nich zabawy konwencjami i mrugania okiem do widza. Klimat jego prac tworzą podstawowe środki wyrazu – wysokie kontrasty, duże ziarno, nieostrości. Jego dwa albumy – powstały podczas pobytu w Indiach „End Time City”, za który otrzymał Nagrodę imienia Nadara dla najlepszej książki fotograficznej 1999 roku, i „Fiction” z 2002 roku – zmieniły sposób myślenia o budowaniu fotograficznej narracji. Mroczne, pozornie niepasujące do siebie zdjęcia układają się w nich w spójną całość.

Ackerman od dwóch lat mieszka w Krakowie. Specjalnie dla „Przekroju” dokonał wyboru swych zdjęć z Polski. Udało nam się namówić go na wywiad.

Czekaliście na spotkanie z tobą w paskudnym barze z hot dogami. Na zewnątrz ponuro i ciemno. Co można robić w takim miejscu?

– Można siedzieć w domu i pić herbatę z imbirem. I czekać, aż w końcu spadnie śnieg. W zeszłym roku zacząłem fotografować zimowe pejzaże. Już w listopadzie była piękna zima. Teraz czekałem długie miesiące.

Czy twój nowy album będzie o Polsce?

– Nie. Pracowałem nad nim przez ostatnie kilka lat. Będzie dużo zdjęć z Polski, ale to akurat nieważne. I tak zazwyczaj nie można rozpoznać, gdzie zostały zrobione. Oczywiście niektóre będą miały „polski feeling”...

Dla mnie Polska to bardzo minimalistyczne miejsce. Tutaj nabiera sensu bycie same-

mu. Inne kraje są bardziej ruchliwe, dynamiczne. I pełne obietnic. Neapol, Nowy Jork, Paryż zdają się oferować wiele, ale to najczęściej kłamstwo. A w Polsce lubię to, że niczego nie obiecuje. Niczego tu nie oczekuję, nie luję się, że przyjemnie spędzę czas.

Mieszkasz w zniszczonej kamienicy, masz w kuchni kafłowy piec i monidła na ścianie.

– Lubię stare rzeczy, jak te monidła. Chciałbym umieć robić takie zdjęcia [śmiech]. Mam je od właścicieli barów na Kazimierzu – wymieniałem je za odbitki moich zdjęć.

W ogóle lubię bary. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie tu zobaczyłem, były śląskie knajpy ze starszymi facetami pijącymi cały dzień. Nawet będąc w środku, wydaje ci się, że patrzysz przez szybę. Jedyny problem z tymi barami, to że z reguły zamykają je o ósmej.

Ale lubię nie tylko speluny, gdzie wszyscy są pijani koło południa. W krakowskich ba-

rach też piękne marnuje się czas. Mam swoje trasy i zawsze kończę w tych samych miejscach. Lubię moje nawyki. Kiedy nie masz domu, robisz z nich alternatywny dom.

90 procent czasu, jaki spędzam w barach, w ogóle nie pracuję. Lubię być tam, gdzie nie wiem, czego oczekiwać. Takie bary to chyba ostatnie miejsca na świecie, gdzie przyszłość jest wciąż nieprzewidywalna. Nie lubię młodzieżowych lokali, tam wszystko dzieje się swoim nudnym, utartym rytmem. W ogóle cały świat robi się coraz bardziej przewidywalny. Tymi barami też bym się znudził, gdyby były

przewidywalne. To nie miejsca do wypicia drinka – tam możliwe jest spotkanie z nieznanym. Ale może to tylko moje rojenia...

Czyli przeprowadziłeś się do Polski, bo to miejsce jeszcze wolne od schematyzmu?

– Kiedyś zajmowały mnie miejsca, których niedługo nie będzie. Znalazłem coś takiego w Polsce, ale to nie będzie trwało wiecznie. Teraz wiem, że progres jest nie do zatrzymania – co ma polknąć, polknie. To jest zawsze przegrana bitwa i nie ma sensu walczyć. Ale takie miejsca mnie przyciągają – to fascynacja, której nie chcę w żaden sposób kwestionować.

Poza tym w ogóle nie myślę o „polskich realiach”, tylko o moim świecie.

Michael, zejdźmy na ziemię. Podstawowa kwestia – nie mówisz w ogóle po polsku...

– Radzę sobie – w Krakowie można się dogadać po angielsku. Ale na dłuższą metę to frustrujące. Jedną z rzeczy, które kocham w robieniu zdjęć, jest kontakt z obcymi. Fotografia pozwala usunąć dystans. Tęsknię za tym. Marzę o czymś więcej niż „popatrz tutaj”, chciałbym pomówić choćby o prostych rzeczach.

Jak w związku z tym pracujesz?

Polska to minimalistyczne miejsce, tutaj sensu nabiera bycie samemu

– Nie jest łatwo. Ostatnio fotografuję tylko tych, których znam. Bez języka nie mogę się do nikogo zbliżyć, a nie interesuje mnie – jak kiedyś – anonimowa fotografia uliczna. W Polsce na przeszkodzie stoi nie tylko język. Tutaj istnieje ściana, strach, paranoja, totalny dystans między ludźmi. Może dlatego robię coraz więcej pejzaży, śnieg nie powie „nie”...

Michael Ackerman, urodzony...

– ...w '67 w Tel Awiwie. Mieszkaliśmy w dużym domu z wielkim ogrodem. Proste, słoneczne dzieciństwo. Jedyna wojna, jaką pamiętam, to ta z 1973 – spędziliśmy jeden dzień w schronie. Nie wiem, jak teraz jest w Izraelu, ale kiedyś mężczyźni musieli iść co roku do wojska. Mój ojciec tego nienawidził, marzył o Ameryce. Wygrał wyjazd w loterii wizowej. Przeprowadziliśmy się, gdy miałem siedem lat. Zamieszkaliśmy w koszmarnym miejscu, jakim był nowojorski Queens. Radykalne przeciwieństwo tego co wcześniej – wielkie wstrętne budynki, Latynosi i rosyjscy imigranci, ciągle wojny gangów.

Pierwszy kontakt z fotografią?

– Pod koniec szkoły średniej musisz wybrać jeden przedmiot praktyczny – stolarkę, fotografię albo jakieś dziwne w rodzaju zajęcie o robieniu głośników. Wybrałem fotografię i byłem bardzo, bardzo złym uczniem.

Potem poszedłem na uniwersytet, ale nie pasowałem tam, czułem się otoczony przez przyszłych księgowych. Na zajęciach patrzyłem przez okno i myślałem o robieniu zdjęć.

Nie skończyłem studiów – wróciłem do Nowego Jorku, żeby zostać fotografem. Myślałem tylko o tym mieście. Było w nim tyle różnych ludzi i światów. Chodziłem do nocnych klubów, kościołów, synagog, na plaże. Dużo czasu spędzałem na Times Square. To była wtedy dzika okolica w centrum miasta – robiłem tam zdjęcia pijanych klientów wykopywanych z barów.

Później pojechałem do Indii. Byłem ignorantem, ktoś powiedział mi, że to ciekawe



Mimo chłodu i dystansu zdjęcia anonimowa postać z polskiej ulicy potrafi wzbudzić emocje

Nieostrość i duże ziarno zamazują cechy indywidualne. Zostaje to, co w nas wspólne



miejsce. Wciągnęło mnie. Krążyłem między Indiami i Ameryką. Żeby zarobić na bilety, robiłem głupie zdjęcia do głupich magazynów, pracowałem w ciemni magazynu „Village Voice” – pisma sfrustrowanej bohemy. Robiłem też chyba najtańsze w Nowym Jorku portrety do portfolio aktorom, których nie było stać na fotografów z Manhattanu. Nienawidziłem tego wszystkiego, czułem się jak mały człowiek na usługach jeszcze mniejszych ludzi.

Kiedy zrobiłeś pierwsze świadome zdjęcie?

– Pamiętam pierwszy raz, gdy poczułem się jak fotograf. Wróciłem z uczelni na wakacje. Pokazałem matce stos zdjęć. Głupoty, jakie każdy robi na początku: drzewa, gra światła i cienia, dziewczyny. Matka mówi: „To piękne”. Wtedy wchodzi ojciec, patrzy na mnie i mówi jej: „Przecież to gówno, czemu nie powiesz mu prawdy?”. I wychodzi. Byłem totalnie rozbity.

Ostatnio pokazałem matce nowy slide-show. Obejrzała i znów powiedziała: „Jakie to wszystko piękne”. Pytam ją: „Żadnej krytyki?”. Odpowiada: „Jest jedno zdjęcie, którego nie lubię. Albo dwa, ale pamiętam, jak zareagowałeś na krytykę ojca, więc nie powiem ci które”. To na prawdę słodkie.

Nie rozumiem ludzi, którzy w wieku 21 lat wiedzą, czego chcą. To dla mnie forma śmierci

Ojciec zawsze był wściekłym, antyspołecznym samotnikiem. Teraz mu trochę przeszło. Robił w życiu dziwne rzeczy – był chemikiem, uczył tenisa, miał lodziarnię. Gdy przyniosłem mu mój pierwszy album, powiedział: „Teraz widzę, że wiesz, co robisz”. Nigdy nie pchał mnie, abym był kimś innym, niż chciałem.

Rodziców nie obchodziły hierarchie. Prawnik, profesor, lekarz nie byli dla nich bogami. Chyba nawet Bóg nie był dla nich bogiem. Byli niereligijni i całkowicie bezpretensjonalni. Mieli w nosie to, czy ktoś ich szanuje. Myślę, że odczuwali perwersyjną przyjemność z bycia nieszanowanymi. Szczególnie ojciec, który ubierał się jak lump. Matka za młodu trochę malowała i interesowała się sztuką. Słowem – miałem szczęście.

Izrael, Ameryka, Indie. Jak trafiłeś do Europy?

– W 1997 roku fundacja World Press Photo zaprosiła mnie na warsztaty dla młodych fotografów w Holandii. Poza tym chciałem wydać książkę. Miałem trzy projekty. Ten o Indiach „End Time City” był niemal skończony, znalazłem dla niego francuskiego wydawcę. Wtedy poznałem ludzi z francuskiej agencji fotograficznej VU i zacząłem w Europie spędzać więcej czasu. W 1999 roku Sławomir Sierzputowski z „Gazety Wyborczej” zaprosił mnie do Polski. Tak po prostu, bez zlecenia na fotoreportaż.

Pierwszą noc spędziłem w Warszawie. Jak każdy głupi Amerykanin myślałem, że tu jest Rosja i totalny komunizm. Byłem zachwycony. Ten

minimalizm. Pamiętam wszystko – budki telefoniczne, betonowe kładki, tapety. Było Boże Narodzenie – śnieg i mgła. Następnego dnia poradzono mi, żebym pojechał do Krakowa. W Krakowie powiedzieli, że muszę zobaczyć Katowice.

To było przerażające, ale też nowe i fascynujące: tandetne budy, żule i narkomani snujący się po dworcu... Wszystkie te „piękne” rzeczy, które odejdą z nadejściem Europy. [śmiech]

Drugi raz przyjechałeś tu sam z siebie?

– Pięć lat temu. Pracowałem dużo w Neapolu i zatęskniłem za chłodem. Neapol jest gorący, pełen energii i ruchu. W powietrzu czuje się piękną przemoc. A ja zatęskniłem za pustką.

Kiedy pomyślałeś: „Mieszkam w Polsce”?

– To się stało samo. Do dziś nie czuję się przeprowadzony. Tak samo z moimi zdjęciami. Od czasu książki o Indiach niczego nie skończyłem. Wciąż mówię sobie: „Jeszcze trochę, jeszcze trochę”. Poza tym nie przyjechałem tutaj, żeby robić „projekt o Polsce”. Cały czas jestem niezadowolony, nie umiem i nie chcę powiedzieć: „To mój punkt widzenia na to miejsce”. Zresztą miejsca nie są kluczem do mojej fotografii. Po prostu żyję tym, co jest dla mnie w danej chwili dobre. Dookoła jest zbyt wiele pięknych rzeczy, by planować życie.

Nie rozumiem ludzi, którzy w wieku 21 lat wiedzą, czego chcą. To dla mnie forma śmierci.

Podobnie jest w fotografii. Dlatego nie robię zdjęć aparatem cyfrowym – od razu znalazłbym efekt. To jak proste przejście z punktu A do B, a ja nie do końca wiem, gdzie jest punkt B. Fascynuje mnie błądzenie po omacku.

Stykałeś się z ogromną liczbą ludzi na całym świecie. Kim są dla ciebie Polacy?

– Nie czuję się kompetentny, by o tym mówić. Gdy zacząłem fotografować w Nowym Jorku, interesowały mnie te wszystkie narodowe mikroświaty. To, jak bardzo ludzie się różnią. Teraz jest odwrotnie – interesuje mnie, jak bardzo się od siebie nie różnią. Interesuje mnie moment, gdy tracą indywidualność. Gdy zostaje z nich coś małego, ale ważnego. Chodzi o prosty fakt pozostawania przy życiu, o pomijającą wszystkie poboczne okoliczności siłę życiową. Gdy robię zdjęcia, chcę zobaczyć, co zostanie, jeśli wymażę wszystkie informacje na temat miejsca, osoby, zdarzenia. Fotografia to napięcie między tym, co widać w kadrze, i tym, co poza nim. Dla mnie ważne jest właśnie to, czego nie widać.

Coś cię tu jeszcze zadziwia?

– Kapusta. Gdziekolwiek pójdziesz, do jakiejkolwiek etnicznej restauracji – meksykańskiej, chińskiej, indyjskiej, japońskiej – zawsze serwują ci kapustę. Tak jakby chcieli ci przypomnieć: jesteś w Polsce!

ROZMAWIALI KUBA DĄBROWSKI
I WOJTEK KOCOŁOWSKI



W ten i następny weekend Adam Małysz może zostać mistrzem świata. Byłby to rewanż za Puchar Świata, którego w tym sezonie raczej już nie zdobędzie

ODWET MAŁYSZA

Mistrzostwa świata w skokach narciarskich rozegrane zostaną w dwa najbliższe weekendy. Z punktu widzenia formy zawodników to idealny moment. W lutym mistrzowie skoków balansują na granicy „fenomenu i narciarskiego piachu”. Sztaby szkoleniowe doskonale wiedzą, kiedy przychodzi ów „piach”, czyli zniżka formy spowodowana monotonią sportowego życia poza domem: samolot, hotel, zawody, wywiady, kolacja, sen, śniadanie, zawody i tak dalej, i tak dalej, aż do zajechania. W odpowiednim momencie trzeba spasować. Stąd Janne Ahonen, Adam Małysz czy Jakub Janda opuścili konkursy w japońskim Sapporo, by – jak twierdzą – dać organizmowi luz i przestać skakać także we śnie.

Dla niektórych mogą to być ostatnie mistrzostwa w karierze, ich motywacja wzrośnie więc ponad poziom, bo jak nie teraz, to już pewnie nigdy. Wystarczy zerknąć do dowodów osobistych tych najlepszych. Austriak Martin Hoellwarth ma już 31 lat, Norweg Roar Ljøekelson – 29, Janne Ahonen i Adam Małysz po 28, a najmłodszy z czołówki Czech Jakub Janda – 27.

Indywidualnie na średniej i dużej skoczni w Oberstdorfie do rozdania jest sześć medali. Chętnych, by zabrać je do domu – 50. Liczących się – co najmniej

- OBERSTDORF 2005** MISTRZOSTWA ŚWIATA W SKOKACH NARCIARSKICH
- 19 LUTEGO** – KONKURS INDYWIDUALNY NA ŚREDNIEJ SKOCZNI,
- 20 LUTEGO** – KONKURS DRUŻYNOWY NA ŚREDNIEJ SKOCZNI,
- 25 LUTEGO** – KONKURS INDYWIDUALNY NA DUŻEJ SKOCZNI,
- 26 LUTEGO** – KONKURS DRUŻYNOWY NA DUŻEJ SKOCZNI.

kilkunastu, ale nigdy nic nie wiadomo. Obecny trener Małysza zna to z autopsji – w 1991 roku odniósł największy sukces, zdobywając mistrzostwo na średniej skoczni. Ale później słuch o nim jako zawodniku zagał.

Rywalizacja w skokach narciarskich jest częścią mistrzostw świata w narciarstwie klasycznym, w skład którego wchodzi też biegi i kombinacja norweska. Od 1924 roku do II wojny światowej mistrzostwa rozgrywane były praktycznie co roku. W roku 1950 wprowadzono cykl czteroletni, na przemian z igrzyskami olimpijskimi. A od roku 1985 odbywają się co dwa lata. Obecne mistrzostwa świata rozgrywane są po raz 51. Tylko sześć razy impreza odbyła się poza Europą. Najlepszych klasyków na świecie trzy razy gościło Zakopane: w 1929, 1939 i 1962 roku.

Do roku 1962 skoczkowie rywalizowali tylko na jednym małym obiekcie k-70. Później na każde mistrzostwa świata składały się już dwa konkursy. Od roku 1982 rozgrywane są mistrzostwa drużynowe, od czterech lat także na dwóch skoczniach. Wymyślili to Finowie,

bo w swoim Lahti mieli zdobyć oba złote medale. Tymczasem wygrali Austriacy i Niemcy. Dwa lata temu we włoskim Predazzo był tylko jeden konkurs na dużym obiekcie. Włosie nie upierali się przy dwóch, bo mieli tylko jednego zawodnika. Teraz w Oberstdorfie Niemcy wracają do pomysłu Finów.

Nasze dokonania w skakaniu grupowym są znikome. Siódme miejsce na dużej skoczni wywalczono dwa lata temu w Predazzo. Polacy raczej obronią. Trudno jednak uwierzyć, by spełnili cel postawiony przez prezesa Polskiego Związku Narciarskiego i zdobyli piątą pozycję.

Indywidualnie w całej historii mistrzostw świata w skokach narciarskich Polacy wywalczyli siedem medali. W 1938 roku Stanisław Marusarz – srebro. W 1962 Antoni Ładziak – srebro. W 1970 Stanisław Gąsienica-Daniel – brąz. Adam Małysz zdobył złoto i srebro w 2001 oraz dwa złote medale w 2003 roku.

Największy skandal mistrzostw w skokach miał miejsce w 1938 roku podczas zawodów w Lahti. Dopiero po kilku godzinach buźliwych obrad przyznano złoto Norwegowi Asbjørnowi Ruudowi, a srebro Stanisławowi Marusarzowi. Polak oddał dwa najdłuższe skoki, ale w tamtych czasach nieznani z imienia i nazwiska sędziowie mierzyli odległość na oko. Marusarz przegrał złoty medal o trzy dziesiąte punktu. Oficjalnie zdecydowała o tym „elegancja lotu Norwega”.

Po 61 latach Marusarza pomścił w Lahti Adam Małysz, który jako pierwszy Polak zdobył złoty medal. Wygrał konkurs na średniej skoczni przy 29-stopniowym mrozie. Z trybuny dla VIP-ów dopingowali go nasi parlamentarzyści i członkowie rządu. Dla telewizji konkurs komentował Jerzy Buzek, który do Lahti wybrał się w lakierkach i stroju bankietowym. Premier zmarł do tego stopnia, że po zawodach nie chciał oddać ciepłej kurtki, którą pożyczyl mu Włodzimierz Szaranowicz z TVP.

Dwa lata później w Predazzo Małysz nie był faworytem. To był sezon Svena Hannawald, który jako pierwszy i jedyny w historii wygrał wszystkie konkursy Turnieju Czterech Skoczni. Atmosfera w polskiej kadrze była niezdoła i bardzo napięta, a kibice żądali głowy trenera Apoloniusza Tajnera. Tymczasem wszystko potoczyło się odmiennie – Niemiec nawet nie zbliżył się do podium, a na najwyższy stopień dwa razy wskakiwał Polak, bijąc rekordy skoczni.

Teraz Małysz może wygrać, choć nigdy dotąd w Oberstdorfie mu się to nie udało. Był drugi, trzeci, bił rekord, ale zawsze ktoś go przedzał. – Lubię tę skocznię, czuję ją i obiecuję, że ta „franca” kiedyś mi ulegnie – mówił podczas ostatniego Turnieju Czterech Skoczni. Trzymamy za słowo.

ARTUR KULIKOWSKI
POLSKIE RADIO, TRÓJKA

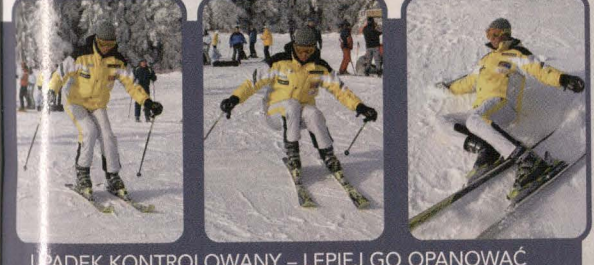
KUPON ZNIKOWY
-20%
DO ZREALIZOWANIA PODCZAS
TARGÓW EVENT ACTIVE
18-20.02.2005. TORWAR, WARSZAWA
UL. ŁAZIENKOWSKA 6a
NARCIARSKIEGO FIRMY FISCHER



JAKĄ POZYCJĘ UTRZYMYWAĆ, A JAKIEJ UNIKAĆ



OBROT Z PRZEKŁADANIEM NART WYGLĄDA GROŹNIE...



UPADEK KONTROLOWANY – LEPIEJ GO OPANOWAĆ



DWA SPOSOBY NA DŹWIGNIĘCIE SIĘ PO WYWROTCE

NAJPIERW KROKI, POTÉM ŚLIZGI

WRESZCIE STAJEMY NA NARTACH! TRZECIA CZĘŚĆ SZKOŁKI TO JUŻ CZYSTA PRAKTYKA NA STOKU, CHOĆ NA POCZĄTKU BLIŻEJ ZAPOZNAMY SIĘ Z PODŁOŻEM NIŻ SAMYMI NARTAMI...



Zanim nauczymy się pomykać na nartach w dół stoku, musimy opanować proste, choć istotne podstawy chodzenia i swobodnego poruszania się po śniegu.

Zakładamy więc narty i próbujemy się na nich swobodnie przemieszczać – naśladujemy zwyczajny chód, czyli przesuwamy narty po śniegu lub lekko je unosimy. Pomagamy sobie, wbijając na przemian kijki i opierając na nich ciężar ciała.

Teraz czas na pierwszy ślizg, na razie po płaskim terenie. Ustawiamy narty równoległe. Lekko prostujemy ręce przed sobą i wbijamy oba kijki mocno w śnieg. Staramy się energicznie odepchnąć i... jedziemy. A teraz stop, trzeba się odwrócić. Najprościej wykonać ten manewr, przestawiając dzioby nart. Obracamy się wokół własnej osi, próbując utrzymać pięty nart jak najbliżej siebie, odstawiając zaś dzioby, czyli przody nart. Przeszczepujemy z nogi na nogę, wspierając się na kijkach, i stopniowo zwiększamy kąt odstawienia dziobów. Najpierw próbujemy odwrócić się o 360 stopni, wykonując kilkanaście kroków, potem powtarzamy ćwiczenie, robiąc pełny obrót tylko „na cztery razy”. Pamiętajmy, że odwracanie się na nachylonym stoku jest dużo trudniejsze, więc nim się na to zdecydujemy, opanujmy tę czynność na łatwiejszym terenie. Na stoku zawsze odwracamy się do góry. Najpierw mocno wbijamy oba kijki za plecami i pewnie się na nich wspieramy. Następnie rozpoczynamy odstawianie dziobów nart. Nigdy nie odwracamy się, kierując narty w dół!

Kolejny etap nauki to podchodzenie na stoku. Najwygodniejszym sposobem podchodzenia na nartach jest tak zwane schodkowanie. Stajemy bokiem do stoku na równoległe ułożonych nartach. Opierając się na kijkach, podnosimy i odstawiamy górną nartę. Opieramy na niej ciężar ciała i dostawiamy dolną nartę. Możemy podchodzić w ten sposób prostopadłe pod górę lub kierując się w skos stoku.

Drugi sposób podchodzenia to tak zwana jodelka, czyli podchodzenie rozkrokiem.

Ustawiamy się przodem do stoku – pamiętajmy, że za plecami mamy nachylony stok, musimy więc mocno wesprzeć się na kijkach, tak jak przy obracaniu się. Rozkładamy dzioby nart na dwa, zaś pięty są blisko siebie. Narty tworzą literę V. Naprzemiennie podnosimy w górę i przestawiamy do przodu ustawione pod kątem narty. Najlepiej wbić w śnieg krawędź narty – tak będzie stabilniej.

Mniej przyjemnym, acz równie ważnym etapem nauki jest upadanie i podnoszenie się. Zawsze staramy się upadać na bok, prostopadłe do linii spadku stoku. Jeżeli widzimy, że narty przestają nas słuchać, bezpieczniejszym wyjściem będzie przerwanie jazdy i wyłożenie się bokiem na śnieg (ręce wyciągnięte przed siebie). Nie jest wskazane podpieranie się dłonią czy ramieniem, ponieważ może to doprowadzić do skręcenia stawów lub złamań kości. W ucieczce przed niekontrolowaną prędkością nie należy również odchyłać się do tyłu, bo skutek będzie odwrotny – pomkniemy jeszcze szybciej. Unikajcie koziołkowania w dół stoku!

„Orzeł zaliczony”, rozpoczynamy więc kolejne manewry. Podnosimy się, układając narty poniżej, w poprzek stoku, równoległe względem siebie. Pomagamy sobie kijkami – można chwycić oba: jedną dłoń na uchwyty, druga w połowie ich długości, wbić je na wysokości naszych bioder i opierając się na nich, wstać. Można wbić tylko górny i na nim się unieść, odpychając się od śniegu ręką.

Każde ćwiczenie należy wykonywać tak długo, aż poczujemy się pewnie i będziemy mogli je swobodnie powtórzyć w każdych warunkach.

Agnieszka Harat, Jacek Ciszka
skionline.pl

MATERIAŁ POWSTAŁ PRZY WSPÓŁPRACY ZE
skionline.pl

„SZKOŁKA NARCIARSKA”
ZAWSZE PO SERWISACH NARCIARSKICH
W TVN METEO **tvn meteo**



Już się nie obnażam

Witam, nazywam się Paulina Młynarska i jestem jedną z „bohatek” bardzo inteligentnego i autentycznie zabawnego tekściku Małgorzaty Sadowskiej o złych polskich filmach. Dowiaduję się z niego, że dzięki inwestycji, jaką było obnażenie mych wdzięków na ołtarzu dzieła pod tytułem „Wirus” Jana Kidawy-Błońskiego, udało mi się szczęśliwie zaistnieć i oto w nagrodę gram dzisiaj w „Złotopolskich”. Nie mam najmniejszych zastrzeżeń do uszczypliwości, którą autorka bardzo sprawnie nasyciła te słowa. Szkoda tylko, że są one kompletnie nieprawdziwe. Co prawda, rzeczywiście zagrałam w „Złotopolskich”, ale o ile pamięć mnie nie myli, ostatni odcinek, w którym się pojawia, pochodzi sprzed dobrych pięciu lat! Od tamtej pory zdążyłam zmienić zawód, obecnie jestem dziennikarką. Pracuję w telewizji Polsat, miesięczniku „Marie Claire” i francuskiej rozgłośni publicznej France Culture. Z aktorstwem wiąże mnie zaledwie kilka wspomnień, z których najbardziej wstydliwym z artystycznego punktu widzenia pozostaje rzeczywiście „Wirus”. Na marginesie dodam, że znęcanie się w recenzjach nad aktorami, którzy zaistnieli w fatalnych, grafomańskich scenariuszach i pod batutą niezdolnych i głupich reżyserów, jest trochę niesprawiedliwe, zwłaszcza

jeśli oszczędza się tych ostatnich... Wszak to oni odpowiadają za ostateczny kształt dzieła, a aktor często nawet nie wie, w co jest wmanewrowany. Taki to już błazeński zawód. Wiem, wiem... Jak się komuś nie podoba, zawsze może go zmienić! Osobiście, nauczona żalosnym filmem „Wirus” i nie tylko, tak właśnie postąpiłam. Pozdrowienia.

PAULINA MŁYNARSKA

Teczki na licytację

Teczki znajdujące się w dyspozycji IPN-u powinny zostać wystawione na



publiczną licytację. Trzymanie ich w archiwum powoduje straty finansowe i bezsensowne emocje części społeczeństwa. Środki finansowe uzyskane ze sprzedaży teczek przynajmniej w minimalnym stopniu zrekomensują koszty, jakie poniosło społeczeństwo na ich wyprodukowanie, oraz będą stanowiły jedyny pozytywny efekt ich istnienia. Obecnie jest optymalny termin wystawienia teczek na licytację. Reklama i powszechna rozpoznawalność teczek osiągnęły swoje apogeum. W późniejszym okresie zainteresowanie będzie spadać. Licytacja teczek będzie przedsięwzięciem trudnym i długotrwałym. Aby po wylicytowaniu pierwszych nie nastąpił gwałtowny spadek cen, proponuję, aby wygrywający licytację otrzymywali teczki w późniejszym terminie (na przykład za trzy miesiące, pół roku).

JERZY-KOWALEWSKI@WP.PL

W moim artykule „Męski poród” dwie historie opowiadające o porodach rodzinnych pochodzą z „Wysokich Obcasów”. Powstały w trakcie prowadzonej przez pismo akcji „Rodzić po ludzku”. Niestety, informacja o tym wypadła. A powinna być. Przepraszam wszystkich zainteresowanych, a zwłaszcza Joannę, Łukasza i Franka. Olga Woźniak

„Ja tylko pytam” w TV4
W naszym raporcie o polskiej telewizji „Chleba i polityki” błędnie przypisaliśmy talk-show „Ja tylko pytam” kanałowi TVN. Program emitowany jest oczywiście w TV4. Za pomyłkę przepraszamy.

MASA, BACH

Czekamy na Państwa listy.
Nasz e-mail:
redakcja@przekroj.pl
Nasz adres: ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa.

W roku 1945
w Krakowie
Redaktor:
MARIAN
EILE

ADRES REDAKCJI:
UL. WIEJSKA 12A, V.P. 00-490 WARSZAWA,
TEL. 584 25 25,
FAXS 584 25 21
WWW.PRZEKROJ.PL

E-MAIL:
redakcja@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNY:
Piotr Najsttub

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Jacek Kowalczyk

DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:
Elżbieta i Bogdan Zochowscy

SEKRETARZE REDAKCJI:
Magda Gędzińska, Marcin Sendecki,
Marta Świątek (zastępca)

ASYSTENTKA:
Anna Romotowska

KULTURA:
Bartek Chaciński (szef), Marcel Andino, Włodek,
Tadeusz Nyczek, Małgorzata Sadowska,
Andrzej Saramonowicz,
Justyna Sobolewska

KRAJ:
Wojciech Mazowiecki (szef), Julia Gwizdowska,
Magda Papuzińska (zastępca), Juliusz Gwizdowski, Marcin
Fabjański, Joanna Gorzelińska, Grzegorz Injalski,
Cezary Łazarewicz, Rafał Madajczak, Michał Matys,
Max Suski, Paweł Wieczorek

ŚWIAT:
Wawrzyniec Smoczyński (szef), Jakub Kumiński,
Jakub Mielnik, Marek Rybarczyk

NAUKA:
Olga Woźniak (szef), Piotr Stanisławski

ROZRYWKA:
Marcin Pieszczyk

PRACOWNIA GRAFICZNA:
Piotr Gidlewski, Mateusz Hankeła, Maria Koch,
Patrycja Kühn, Małgorzata Łaska, Agata Lich,
Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski

PAN OD RYSUNKÓW:
Jacek Ziemiński

FOTODYDZIAŁ:
Marcin Kapica (szef), Bogdan Krężel (fotograf),
Urszula Matusik, Olga Piłsińska, Marek Szczepaniak

KOREKTA:
Tatiana Hardej,
Dariusz Janiszewski

ARCHIWUM:
Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok

REDAKTOR TECHNICZNY:
Alan Jawor

SEKRETARIAT: Iwona Chmielewska

EDIPRESSE
POLSKA

WYDAWCA:
EDIPRESSE POLSKA S.A.
UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA,
TEL. (0-22) 584 22 00,
FAXS (0-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA:
Zbigniew Napierala

WICEPREZES:
Ewa Redel

DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:
Izabela Bochenek

DYREKTOR FINANSÓW:
Paweł Satkowski

PUBLIC RELATIONS:
Marcin Fedisz

DYREKTOR TYGODNIKA „PRZEKRÓJ”:
Iwona Zabielska-Stadnik

DZIAŁ DYSTRYBUCJI:
Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PRODUKCJI:
Danuta Kamińska – dyrektor

PRZYGOTOWALNIA:
Eidipresse Polska – Zbigniew Szymański (dyrektor)

DZIAŁ PROMOCJI:
Dorota Rakowska – Product Manager

BIURO REKLAMY:
Ewa Kozłowska – dyrektor,
Anna Orłowska – zastępca dyrektora,
Artur Dudek, Grażyna Janiak,
Małgorzata Skorupa

ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa,
tel. (0-22) 5842-295, -172, -311, -594
faks (0-22) 584 25 92

DRUK:
WINKOWSKI SP. Z O.O. – RADZYMIN

PAPIER: OKŁADKA – GALERIE FINE,
PRODUKCENT – M-REAL

SRODEK – GALERIE BRITTE,
PRODUKCENT – M-REAL

PRENUMERATA WYDAWNICZA
zamówienia (płatność przy odbiorze przesyłki)

tel. (0-54) 2365528 (pn-pt, godz. 8-16)

Dodatkowe informacje i reklamacje
(Izabela Mroczek, Agnieszka Bogdańska)

TEL. (0-22) 584 22 29 LUB 584 22 30 (PN - PT, GODZ. 9-17)

PRENUMERATA@PRZEKROJ.PL

PRENUMERATA.KONKURSY@EDIPRESSE.PL

PRZEZ POCZTĘ
PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE
NA TERENIE CAŁEGO KRAJU

PRZEZ RUCH SA
INFORMACJA TEL. (0-22) 532 87 31,
FAXS (0-22) 532 87 32

NA CAŁYM ŚWIECIE W INTERNECIE
WWW.EXPORTIM.COM
FAXS/TEL. +46-8-6639963

ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWIONICH NIE ZWRACAMY.
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN
I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH.



„Przekrój” wydaje
polecenia
kulturalne

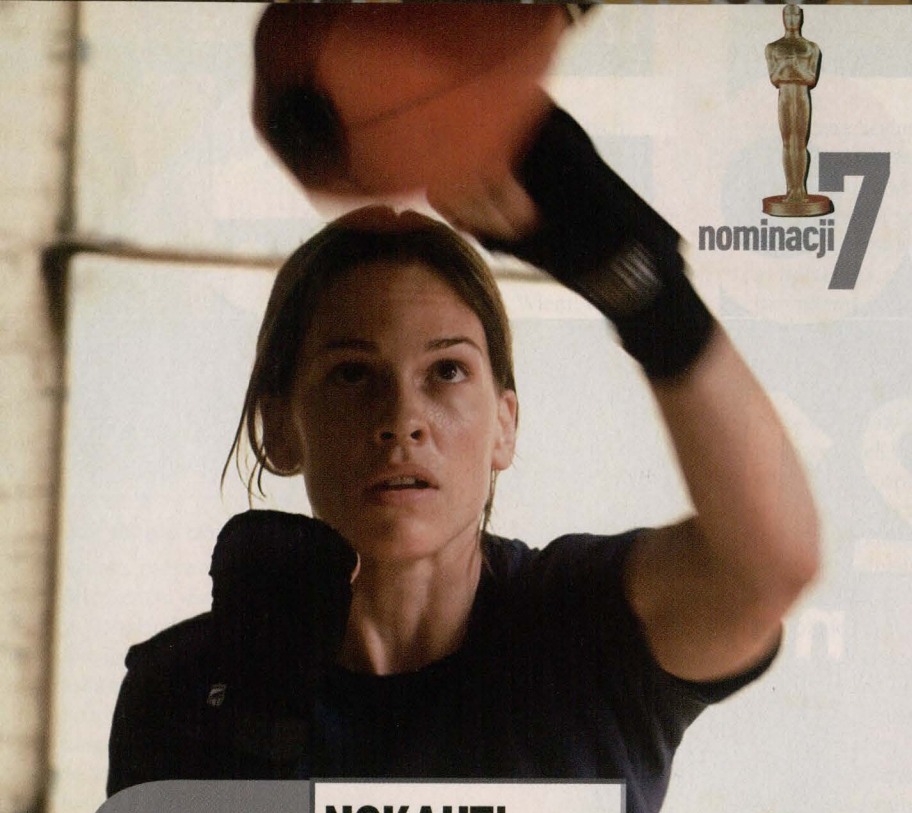
tydzień

21 nominacji!

Aż 21 nominacji do Oscarów zdobyły trzy filmy, które w jednym tygodniu wchodzi na ekrany polskich kin. W tym roku wyjątkowo największych faworytów polska publiczność pozna jeszcze przed ceremonią wręczenia Oscarów (ta odbędzie się w nocy z 27 na 28 lutego). Emocjonująco zapowiada się pojedynek reżyserski Clint Eastwood – Martin Scorsese (obaj na zdjęciu). Scorsese, autor „Aviatora”, nie ma szczęścia do Oscarów – i należy mu współczuć, bo to legenda kina, ale mimo to w „Przekroju” będziemy trzymać kciuki za Eastwooda i jego „Za wszelką cenę”. Dlaczego? O tym na kolejnych stronach. (BACH)

RECENZJE „AVIATORA” I „ZA WSZELKĄ CENĘ” NA S. 76.

Fot. CORBIS/FREE



7
nominacji

NOKAUT!

●●●●●○

Eastwood buntuje się przeciw Bogu i samemu sobie

Pisząc o „bohaterach egzystencjalnych” Eastwooda, angielski filmoznawca Brian McNair zauważa, że „odzwierciedlają ten moment w amerykańskiej kulturze popularnej, kiedy niewinność i bezwzględne posłuszeństwo autorytetom zastąpione zostały przez cynizm i możliwość buntu”. W „Za wszelką cenę” Eastwood dochodzi do kresu. Wypowiada posłuszeństwo nie tylko Bogu, lecz także samemu sobie. Wizerunkowi twardego kowboja, którego powołaniem jest „dzielić i rządzić”.

Zrazu wszystko przebiega zgodnie z oczekiwaniami. Ambitna i niedoświadczona Maggie (znakomita Hilary Swank) chce zrobić karierę w boksie zawodowym. Prosi Frankiego Dunna, cenionego trenera (Clint Eastwood), by ją wziął pod swoje skrzydła. Ten jednak, niechętny nowinkom typu „kobięcy boks”, konsekwentnie odmawia współpracy, mimo że za dziewczyną wstawia się jego przyjaciel Eddie (Morgan Freeman). Ale Maggie to uparta istota, więc wreszcie udaje jej się zdobyć zaufanie trenera. Tu widz ma wrażenie, że rozszyfrował przesłanie filmu: Frankie przekazuje Maggie swoje umiejętności i wartości, dzięki

czemu kobieta zwycięży na męskich zasadach. Sam spełni się jako ojciec (rodzona córka zerwała z nim kontakt) i jako mentor. Nic z tego. Film Eastwooda jest powalający jak nokaut. Od początku obraz i dialog maskują gorzką prawdę zawartą w słowie „kłęska”. Dawno nie widziałem filmu tak dogłębnie podważającego wartości, z którymi obnosi się amerykańska kultura: wierę w zwycięstwo, w religijne i moralne nakazy, w siłę autoafirmacji, patriarchalną opatrność. Ocalona zostaje tylko wiara w ludzkie miłosierdzie.

Im bliżej końca, tym bardziej film przypominał mi (oświetleniem, kompozycją kadrów) malarstwo Edwarda Hoppera. Na jego obrazach samotne jednostki śnią w miejskich pejzażach swój depresyjny amerykański sen. Miały odnosić sukcesy i panować nad światem, a tkwią w letargu, gdzieś na obrzeżach rzeczywistości, nieświadome tego, że przegrały. Uświadomi im to „Za wszelką cenę”. To, że tak wyrotowy dla hollywoodzkiego kina film nakręcił z własnym udziałem jeden z jego największych twórców, budzi moje uznanie i szacunek. Dlatego właśnie za Eastwooda będę trzymał kciuki w czasie oscarowej nocy.

BARTOSZ ŻURAWIECKI

„ZA WSZELKĄ CENĘ”,
REŻ. CLINT EASTWOOD,
USA 2004, BEST FILM,
PREMIERA 18 LUTEGO

EASTWOOD kontra SCORSESE

Kto wygra wyścig po Oscary?

Za wszelką cenę” nominowano w siedmiu kategoriach, w tym samego Clinta Eastwooda w trzech. Ma szanse na wygraną. Akademia lubi aktorów-reżyserów, nagradzała ich w ciągu ostatnich 20 lat trzy razy. Ceni też reżyserów, którzy w swoich filmach grają (Eastwood dopiero po roli we własnym filmie dostał Oscara). To przemawia na korzyść Eastwooda. W dodatku już dostał Złoty Glob i nagrodę Gildii Reżyserów (a 50 z 57 laureatów tej ostatniej dostało też Oscary).

Poza tym Akademia lubi opowieści o bokserach. „Rocky’emu” dała 10 nominacji i trzy Oscary (w tym dla najlepszego reżysera), a „Wściekłemu bykowi” osiem nominacji i dwie nagrody. Lecz wtedy pominięto reżysera – Martina Scorsese. Co ciekawe, zarówno wtedy, jak i 10 lat później pokonali go reżyserzy-aktorzy. Do trzech razy sztuka? Kto wie, może jeśli i w tym roku przegra, zażyczy sobie z zemsty grać w swoich filmach? Do tej pory przemycił tylko na ekranie w epizodach. Tylko Scorsese udało się dostać 10 nominacji (za „Gangi Nowego Jorku”) i odejść z kwitkiem. Złośliwi twierdzą, że wręcz kalkuluje przy wyborze projektu, by mieć największe szanse na Oscara. W tym roku powinien wygrać, bo zrobił film „historyczny” (14 z 20 ostatnio nagrodzonych Oscarami reżyserów mówiło o historii), biografii (6 z 20), w dodatku dał mu jednowyrazowy tytuł (7 z 20). I jest z pochodzenia Włochem, a tę narodowość Akademia nagradza najczęściej. Pewnie sobie pluje w brodę, że odmówił reżyserowania „Listy Schindlera”. Choćby dlatego powinien w tym roku wygrać – żeby znów robić dobre, osobiste kino. (SOL)

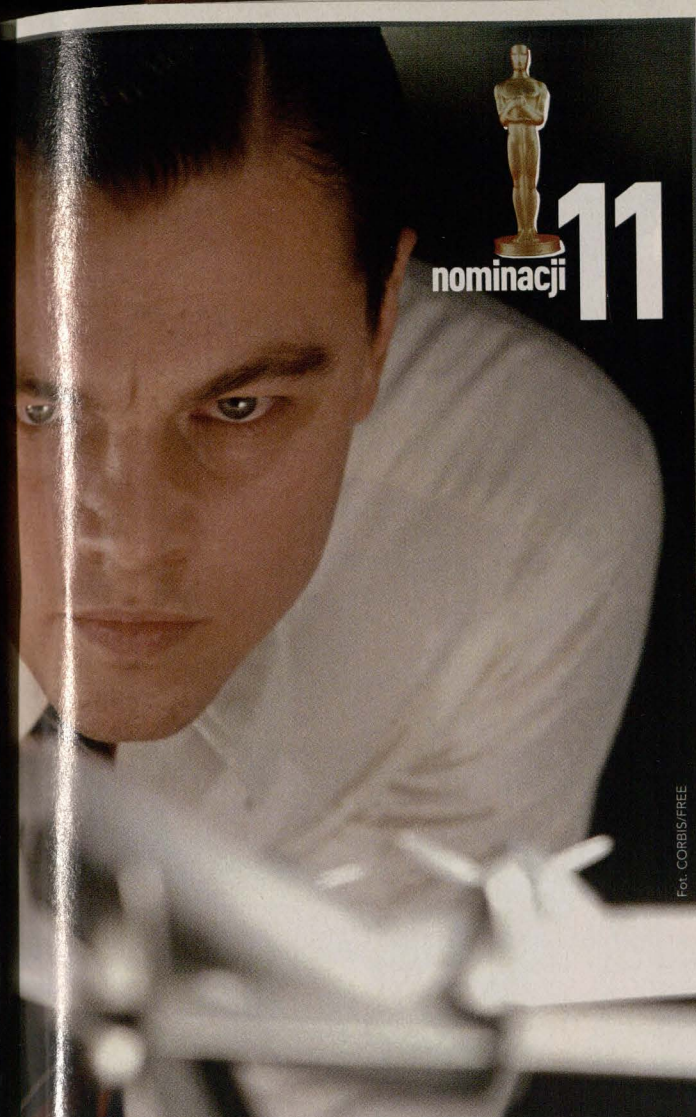
SZALEŃSTWO BEZ METODY

●●●●○

Najefektowniejszy, najbardziej widowiskowy i... najbardziej hollywoodzki film Martina Scorsese

Niemal każdy dzień z trwającą 71 lat życia Howarda Hughesa to temat na film. Począwszy od dzieciństwa spędzonego w całkowitej niemal izolacji, pod okiem zaborczej matki, po ostatnie, znaczone obłędem lata i śmierć na pokładzie samolotu. Śmierć i wariat, największą miłością darzący, właśnie samoloty.

Film Martina Scorsese opowiada o najbardziej aktywnym, twórczym i szalonym okresie życia Hughesa (Leonardo DiCaprio), który przypadł na lata 30. i 40., kiedy to milioner rozpoczął przygodę z przemyślanym właśnie swój złoty okres Hollywood. Bajecznie bogaty 26-letni bawił się w produkowanie filmów, wielokrotnie przekraczając budżet, wyrzucając kolejnych reżyserów, których sam zastępował



11
nominacji

ciągnąc produkcję latami. Wdawał się w liczne romanse z ówczesnymi gwiazdami (w filmie mowa jest o dwóch – Katherine Hepburn i Avie Gardner) i permanentnie je zdradzał” z ukochanymi samolotami, które projektował i oblatywał, cudem uchodząc z życiem podczas licznych lotniczych rekordów.

Filmowy Hughes żyje naraz w kręgu światła: rozbawionego Hollywood, wielkich interesów, szalonych lotniczych projektów – w tym nadmiarze zdarzeń i wątków (do którego dochodzi jeszcze narastający obłęd) gubi się bohater w końcu trudno dociec, czy oglądamy historię wizjonera, szaleńca, ekscentryka, czy też wiecznego chłopca, któremu wciąż mało było zabawek? Zaryzykuję tezę, że to po prostu... nie jest film o Hughesie. „Aviator” jest przede wszystkim pełnym nostalgii (a tej twórcy „Chłopców z ferajny” jest mistrzem) hołdem dla złotej epoki Hollywood i w ogóle Ameryki okresu gospodarczego boomu, technologicznego postępu, szaleńczego projektów, próżności, blichtru i wspaniałej zabawy.

Scorsese nie tylko bardziej niż o wiarygodność bohatera dba o wiarygodność tła – dopieszczono go w szczegółach i detalach – przywołuje epokę nie tylko wspaniale dobraną muzyką, lecz także sposobem filmowania. Historia Hughesa opowiedana jest bowiem, w miarę jej rozwoju, w stylu kina z lat 20., 30. i 40., co widać choćby dzięki delikatnie zmieniającym się kolorom. Jednocześnie to film na wskroś nowoczesny (trzeba przyznać, że jak na człowieka, który nie znoś latać, Scorsese fantastycznie wyreżyserował sceny latania). I właśnie ze względu na niezwykle rozmach „Aviator” przypomina mi „Świerkową Gęś”, najstojniejszy z projektów Hughesa, gigantyczny (140 ton wagi!) drewniany samolot-statek na 750 pasażerów. Nad wyraz efektywna i bardzo droga „Świerkowa Gęś” w powietrze wzniosła się tylko raz.

Udało jej się przelecieć niewiele ponad kilometr.

MAŁGORZATA SADOWSKA

„AVIATOR”, MARTIN SCORSESE,
USA 2004, VISION, PREMIERA 18 LUTEGO



3
nominacje

CIĄŻĄCA CODZIENNOŚĆ

●●●●●○

To nie jest film o problemie aborcji, choć bohaterka na co dzień przerywa ciężę

Wbrew etykietce, której nowy film Mike’a Leigh dorobił się nie tylko w Polsce, „Vera Drake” nie jest filmem o aborcji. Na szczęście. Szukanie w nim na siłę argumentów „za” lub „przeciw” nie ma więc sensu – Leigh konsekwentnie staje obok moralnych dylematów czy filozoficznych dyskusji, a ideologicznej publicystyki unika jak ognia.

W takich dyskusjach tytułowa bohaterka, sprzątaczką, która pomaga kobietom pozbyć się niechcianych cięż, okazałaby się zresztą całkowicie bezradna. Vera Drake (świetna, jakby zrosnięta z rolą Imelda Staunton) po swojemu wyciąga rękę do młodziutkich dziewczyn i usatkwanych już pań, dla których cięża – przypadkowa i niechciana – to problem wymagający rozwiązania. O pomoc proszą ją zagubione, niewykształcone znajome i sąsiadki, z czasem kobiety zupełnie obce. W ich indywidualnej sytuacji i dramaty (niektóre cięża są efektem zdrady, inne gwałtu, jeszcze inne – głupoty) Leigh nie wnika, ale nie wnika w nie przede wszystkim sama Vera Drake. Nie zatrzymuje się, nie próbuje zobaczyć w „pacjentce” konkretnej kobiety i jej indywidualnego życia. Ucieka – jak bohaterowie innego filmu Leigh „Wysokie aspiracje” – w codzienne rytuały, konwencjonalne słowa i gesty (choćby zaparzanie herbaty). Problem Drake? Raczej społeczeństwa – jak zawsze u Mike’a Leigh (między innymi w „Sekre-

tach i kłamstwach”) opartego na powierzchownych relacjach. Vera okazuje się niemal idealnie stopiona ze światem, w którym żyje – powojenną, przasną Anglią, duszną, wypraną z intensywnych kolorów (klastrofobiczność znakomicie podkreślają utrzymane w tonacji brązów, zieleni i żółci zdjęcia Dicka Pope’a), podzieloną na sferę oficjalną i tę inną, niepożądaną i wstydlivą. To tylko krok do rosnącej w siłę patriarchalnej obłudy, zbiorowej hipokryzji, która seks zmienia w tabu, ciężę w problem, a kobiety – w bezbronne ofiary męskiej głupoty i bezkarności.

Dużo ważniejsza niż społeczny pazur (bardzo przecież aktualny) jest dla mnie sama Drake. Swoją naturalną dobrocią, prostolinijnością i naiwnością budzi sympatię, ale też wątpliwości. To kobieta, której życiem kieruje chęć pomagania innym, lecz także zasada przyzwyczajenia. Z latami zaczyna dokonywać zabiegów aborcji machinalnie, rutynowo, niemal bezmyślnie, trochę tak, jakby obierała ziemniaki dla rodziny. Wstrzykuje „pacjentkom” wodę z mydłem i wychodzi – gdy za dwa dni pojawiają się krwawienia i bóle, kobiety zostają już same.

Gdy miałem okazję rozmawiać o tym z Mikiem Leigh, ten przerwał mi ze złością: „Czy panu w ogóle podobal się ten film?”. Tak. „Vera Drake” to bowiem rzadki przykład kina przeszyci wającego na wskroś. Nie o aborcji jednak, ale o codzienności, przekleństwie rutyny i życia nieświadomego, choć pełnego dobrych intencji.

PAWEŁ T. FELIS

„VERA DRAKE”, REŻ. MIKE LEIGH,
WIELKA BRYTANIA/FRANCJA/NOWA ZELANDIA
2004, SPINKA, PREMIERA 18 LUTEGO

mistrzostwo
na piątkę
warto
ujdzie
kiepskie
dno

Amos

mistrzostwo
na piątkę
warto
ujdzie
kiepskie
•••••

ZMYSŁOWA PSZCZELARKA

Być może **Tori Amos nie zna się na chowie pszczół**, ale jej płyta to miód

Jeśli ktoś zaczynał jako cudowne dziecko, grał na fortepianie w wieku trzech lat, to mając 42 lata, powinien być artystycznym emerytem. Tori Amos spełnia te założenia, ale w najbliższym czasie chyba nie grozi jej emerytura. Wszystko wskazuje na to, że kryzys formy ma już za sobą. „The Beekeeper” to jej najlepsza płyta od lat. Może w tekstach enigmatyczna (patrz wywiad obok), ale za to niezwykle komunikatywna od strony muzycznej, co nie zawsze zdarzało się tej autorce w ostatnich latach. Tori jest nieprzerwanie przywiązana do oszczędnego składu (zwykle fortepian, czasem organy, sekcja rytmiczna i głos), a piosenki, które tu napisała, są bardziej przejrzyste niż ostatnio.

Punktem odniesienia jest znowu Kate Bush. Wokalistka i autorka równie świadoma i wybitna, która jednak milczy od 12 lat. Tori zajęła jej miejsce na rynku – wielką popularność zaczęła zdobywać właśnie wtedy, gdy Bush przestała nagrywać. Teraz po raz pierwszy zmierzają się

w bezpośrednim pojedynku – bo Kate Bush wraca na scenę z nową płytą jeszcze wiosną tego roku.

Dziwna tytułowa (*beekeeper* to tyle co pszczelarz) fascynacja Tori Amos rodzi nie gorsze efekty niż uwielbienie dla pszczół u równie niepowtarzalnego Davida Sylviana (ten dwukrotnie przywoływał pszczoły tytułami najlepszych swych płyt: „Secrets of the Beehive” i „Dead Bees on a Cake”). W wywiadach Tori mówi, że fascynuje ją zmysłowość wpisana w zajęcie pszczelarza. To dobrze oddaje całą atmosferę romantyzmu i poezji, którą artystka kreuje wokół siebie. Przecież wystarczy powiedzieć: „A jak zmysłowo jest, gdy pszczoła cię uzałdzi w tyłek!”, by cała ta zwiewna aura przysła jak bańka mydlana. I podobnie z nową muzyką Tori, pełną kruchego, ulotnego wdzięku – łatwo tę bańkę przekłuć. Lepiej jednak podejść bezkrytycznie i jakis czas się z nią oswajać, bo to jak miód – towar z bardzo długim terminem ważności, nieprędko się nudzi.



TORI AMOS „THE BEEKEEPER”, SonyBMG

BARTEK CHACIŃSKI

MĄDROŚĆ JEST SEXY

Nie gloryfikujmy młodości! – **wzywa Tori Amos**

Pani poprzednia płyta „Scarlet’s Walk” była reakcją na wydarzenia 11 września. Na nowej też śpiewa pani o terroryzmie, ale chyba inaczej rozumiamy? – Znaczenie słowa „terroryzm” wypada się, by wywołać u ludzi określone reakcje. A czasem trzeba pozbyć się warstwy konformistycznych tekstów, jakie narosły wokół danej postaci. Doszedłem do wniosku, że terroryzm to przemoc, jaką ludzie zadają sobie we własnym domu, we własnym mikroświecie czasem w samych sobie. Terrorysta to niekoniecznie facet w turbanie czy w mundurze wojskowym, jak się nam wmawia. Jesteśmy odpowiedzialni za siebie. Myślę, że będziemy umieli radzić sobie z przemocą w naszym własnym życiu, poradzinę w sobie ma jednak różne oblicza... – Piosenki są tu jak oddzielne formy bytu, istnieją niezależnie ode mnie, a ja muszę je tylko tłumaczyć. Oczywiście każda z nich reprezentuje inny element kobiecości. Cała płyta jest podzielona na sześć części – sześć ogrodów, w których mieszkają piosenki. Przechadza się po nich, uosobienie wiedzy i mądrości. Ona zachęca naszą kobiecą naturę do przebudzenia i zdobycia świadomości.

Znów głównym tematem pani tekstów jest kobiecość – w każdej piosence ma jednak różne oblicza...

– Czy to znaczy, że kobiecość cały czas trzeba tłumaczyć?

– Kobiecy same nie są świadome, czym jest kobiecość. Wszyscy są przekonani, że kobiecość daje odpowiedzi na wszystkie pytania. To nieprawda. Musimy przestać gloryfikować młodość. Negujemy młodość, którą zdobywamy, mając 30, 40, 50, 60 lat. Mądrość, jaka wynika z doświadczenia, nie jest dla nas sexy. Rozmawiam z dziewczynami, które mówią, że boją się stać starsze, bo ich generacja chce być młoda. Bo starość nie daje nadziei. Myślę, że Boże, do czego doszliśmy?

Na nowej płycie pojawia się symbolizm chrześcijański, ale i to chrześcijaństwo rozumiane jest na sposób kobiecy!

– Oczywiście, bo chrześcijaństwo poświęciło kobiecą naturę. Istnieją dwa symbole Marii: Matki Boskiej, pozbawionej seksualności, i Marii Magdaleny – pełnej seksualności. Poprzez muzykę postanowiłam połączyć dwie Marie, które w sobie podział, który wpojono mi jako młodej kobiecie. Bo chociaż nie czuję się obecnie związana z żadnym wyznaniem, zostałam wychowana jako córka katolicka i chrześcijaństwo miało na mnie wielki wpływ. Przejmuję się na przykład, gdy słyszę, jak politycy manipulują naukami Jezusa, by propagować wojnę.

ROZMAWIAŁA MALWINA WAPIŃSKA

TORI AMOS ZAMYŚLA SIĘ NAD ZMYSŁOWOŚCIĄ PRACY PSZCZELARZA
PO PRAWĘJ BAABA W STROJACH DEFORMATORÓW JAZZU. NA PRZEDZIE LIDER – BARTOSZ WEBER



JAZZ – CO TO JEST?

Spokojnie, nikt już nie zwraca sobie głowy odpowiedzią na powyższe pytanie. Środowisko młodych polskich jazzmanów na linii Warszawa-Trójmiasto korzysta z wpływów rocka, punka, elektroniki, yassu, improwizacji, nawet country. Baaba i Pink Freud to dwa najbardziej kreatywne zespoły, również gorąco przyjmowane na festiwalu muzyki tanecznej Astigmatic, jak i jazzowym Warsaw Summer Jazz Days. A że jazzmani chętnie wydają ostatnio albumy z remiksami, ci też to zrobili – potraktowali temat ciekawie i zaprosili znajomych do zagrania jeszcze raz utworów po swojemu albo zdeformowania ich na komputerze. „Remixas Con Gas” wypada bardziej różnorodnie, stylistycznie rozpięty jest między country i eksperymentalną elektroniką. „Jazz fajny jest” – utrzymany w spokojnym klimacie nu jazzu, o co zadbał Envee, Emade, Bunio i Bogdan Kondracki. Pod zbiorczym hasłem „jazz” dostajemy przegląd najciekawszych młodych polskich twórców już bez podziału na kategorie.

BAABA „REMIXAS CON GAS”, Lado ABC
PINK FREUD „JAZZ FAJNY JEST”, Rockers

MDLI MNIEJ

Autor muzyki do „Amelii” pokazuje, że ma rockowe korzenie

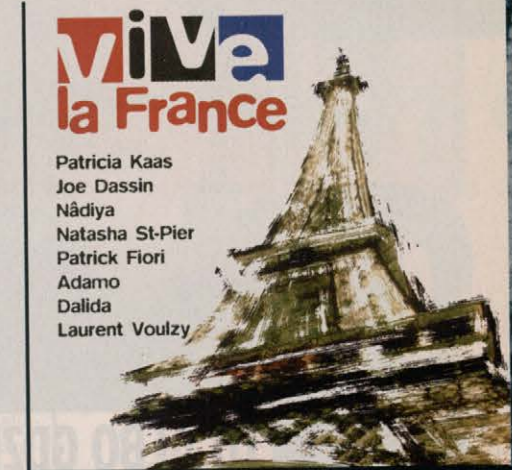
Miała niespodzianka. Miałem już dość słodczy Yanna Tiersena, któremu wprawdzie udało się stworzyć rozpoznawalny styl brzmieniowy, ale zdążył mnie nim solidnie zemdląć. Tymczasem jego nowy album – pierwszy od „L’absente” z 2001 roku, wymyślony do spółki z amerykańską wokalistką Shannon Wright (niegdyś w Crowdsell, od 1999 roku nagrywa solo) – jest zadziwiająco świeży. Tiersen powraca do swych rockowych, undergroundowych korzeni, w których wzrastał w rodzinnej Bretonii. Na wspólnej płycie nagranej ponoć w 20 dni „cukierki” Tiersena (wciąż charakterystyczne) neutralizowane są brudną gitarą i chropowatym, nosowym, przepięknym głosem Amery-



kanki, która w lirycie brzmi jak Chan Marshall (z Cat Power), a w furii jak PJ Harvey. Tych niespełna 40 minut to idealne remedium dla uzależnionych od ścieżki dźwiękowej z „Amelii”. Od dawna Tiersen nie nagrał tak udanej płyty – w przeciwieństwie do Shannon Wright, która złych nie nagrywa. Jej ostatniego albumu „Over The Sun” wyprodukowanego przez Steve’a Albiniego wciąż słucham z zapartym tchem.

JACEK HAWRYLUK
YANN TIERSEN & SHANNON WRIGHT, Ici d’ailleurs/Vicious Circle

Wiosenny koktajl francuskich hitów



Patricia Kaas
Joe Dassin
Nâdiya
Natasha St-Pier
Patrick Fiori
Adamo
Dalida
Laurent Voulzy

Patricia Kaas
Laurent Voulzy
Baby G
Nâdiya
Dalida
In-Grid
Kate Ryan
Natasha St-Pier
Joe Dassin
Adamo
Maurane
Calogero
Patrick Fiori
Laetizia
Catie Collie

Sony Music Entertainment Polska Sp. z o.o.
02-879 Warszawa, ul. Chóralna 14
tel.: +48-22 33-66-000, fax: +48-22 33-66-011
www.sonymusic.pl



TU ALBO GDZIE INDZIEJ

Tom Ewy Lipskiej: mało słów i dużo do czytania

Trzymają się poeci! Co ciekawe, ci starsi ostatnio lepiej niż młodszy. Po wspaniałym zbiorze Julii Hartwig, znakomitym powrocie Ryszarda Krynickiego, po wciąż aktywnym Różewiczu – kolejna nowa Lipska. Od paru lat regularnie wydaje wiersze. Zbiór „Ja” znalazł się w finale nagrody Nike 2004. Jest więc wciąż na topie, w dodatku w świetnej formie.

„Gdzie Indziej” ma tylko 25 wierszy i właściwie żadnego nieokreślonego. W dążeniu do esencjonalności młodsza koleżanka goni więc starszą, Szymborską, dotąd uchodzącą za wzór wydestylowanej oszczędności. Da się zatem ten zbiorek przeczytać jednym tchem, ale ostrzegam: trzeba znacznej wprawy i odporności. Wiersze Lip-

skiej, na pierwszy rzut oka przejrzyste, pisane zazwyczaj krótkimi, dobitnymi frazami, są w istocie gęste jak leśny ostęp. I szybko się okazuje, że co krok trzeba przystawać, cierpliwie rozplątywać gałązki-metafory. Ale wysiłek się opłaca. Lipska ma wielki dar tworzenia zaskakujących napięć międzysłownych, cieszących każdego, kto lubi giętkość języka i fruwanie wyobraźni.

Książka ma trzy wielkie tematy: przemijanie, miłość i Gdzie Indziej. Przemijanie to popołudnie, druga połowa, przybliżanie się do tego czegoś, co tylko raz czy dwa nazwane jest wprost śmiercią; częściej „tramwajową pętlą”, „pojutrzym” albo „Stamtąd”. Nie towarzyszy mu ani rozpacz, ani lęk, że czas nieubłaganie się kurczy; to raczej stwierdzenie faktu, że nie będzie inaczej. Ewentualny niepokój można próbować rozpraszać choćby humorem: „I kiedy tramwaj staje na przystanku / zaśmiewają się jeszcze jego ha-

Na przemijanie bywają dwa lekarstwa: miłość i ucieczki do Gdzie Indziej. Miłość odwraca uwagę, bo pochłania, wciąga w inne, lepsze myśli. „Podaj mi swój szept. / Dzisiaj rezygnuję z kolacji” – mówi poetka, a z tej deklaracji wyrzeczenia się posiłku ciała na rzecz mowy serca można wiele odczytać. Oczywiście miłość nie jest wyłącznie lekiem na całe zło czasu. Potrafi wciągać w swoje wielkie wojny, czyniąc z nas „szeregowców miłości”, co „samotni na wszystkich frontach / nie chcą wracać do życia / chociaż schron niczego nie obiecuje”.

A motyw trzeci, ucieczki do Gdzie Indziej? Nie przypadkiem wyprowadziła go Lipska aż na tytuł tomu. Otóż nieuchronne zbliżanie się do „pętli tramwajowej” życiowej drogi wywołuje odruchową potrzebę powrotów w czas. Czy aby szczęśliwszy? Może tylko dawniejszy, z którego został na języku smak naleśników z serem i ciasta ze śliwkami. Czas tamtej „Cafe Museum”, gdzie spotykaliśmy się w sobotnie poranki. Czas, w którym się ukryli „Pan Ferek. Jego żona. Pies” i niania „pracująca przy pączkach z różą”. Po nich już tylko ślady, cienie. „Rzeczce wyschło gardło”. „Nagła ulewa zmyła ślady naszych ust”.

A kiedy nie pomagają wspomnienia, można się udać do krainy Gdzie Indziej. Tam „żadne wojny nie byłyby się o nas. / Żadna ludzkość. Żadne wojsko. Żadna broń”. Tam „bylibyśmy wreszcie szczęśliwie samotni”, a „Miłość. Nieprzytomny rozdział. / Przewracałaby nam szeptem kartki w sercach”.

Trudno pisać o takich książkach na szczyptach szpaltach tygodnika. Krytyk zawsze będzie miał wyrzuty sumienia, że z bujnego ciała poezji wyciąga mamy szkielec kilku suchych też. Można by tyle napisać choćby o muzyczności tych wierszy... albo dlaczego „Dyskoteka” aż krzyczy z obrzydzenia? I co znaczy, że „Poetów nie ma. / Jest tylko moment nieuwagi”? Zamieszkajcie na dłużej w tej gęstej książce. Lepiej tam niż gdzie indziej.

TADEUSZ NYCZEK



EWA LIPSKA „GDZIE INDZIEJ”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2005

WĘGIERSKI BLUES

W tej opowieści „pływa się” z przyjemnością

Jest taki jaśniejszy smutek, który skłania do łażenia po periferiach miasta i picia wina plecami do sali. Amerykanie nazywają go *blue*. Jeśli mają państwo ochotę na odrobinę bluesa – właśnie ukazała się smutna i piękna debiutanka powieść Zsuzsy Bank. Rzecz jest smutną nieśpiesznie opowieścią dziewczynki, która z bratem i ojcem wyrusza w podróż po prowincjach Węgier, zatrzymując się w domach krewnych. Zarzewiem tułaczki była emigracja matki, tuż po węgierskiej rewolucji w 1956 roku. Pewnego dnia bez pożegnania uciekła na Zachód. Bank kreuje poczet zwątpionych postaci, które są szczerze obdarzone rozmaitymi wadami, a mimo to wzbudzają sympatię. Ich życie badawczo oglądane przez dziecko zyskuje podwójny wymiar. Jest też „pływak” książką o dzieciństwie i o samotności, cenie, którą płacimy za indywidualne życie, za własną wrażliwość. Podczas lektury „Pływaka” swobodnie „pływa się” w tych historiach, mijając czas.

AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO

ZSUZSA BANK „PŁYWAK”, PRZEŁ. ELŻBIETA KALINOWSKA, Czarne, Wołowiec 2004

PIEKŁO ZE ŚNIEGU

Applebaum pokazała fenomen Gulagu po amerykańsku: poprzez pamiętniki więźniów



ANNE APPLEBAUM JEST NA CO DZIEŃ DZIENNIKARKĄ „WASHINGTON POST”

Jak pokazać największy na świecie system pracy niewolniczej z tysiącami obozów, które tylko w roku 1942 zamęczyły pracą, mrozem i brakiem nadziei cztery miliony więźniów? Anne Applebaum, dziennikarka „Washington Post”, pokazała fenomen Gulagu w typowo amerykański sposób. Aby nie zasypać czytelnika naukowym farszem, książkę zbudowała na wspomnieniach więźniów. Zasobów archiwalnych NKWD nie ma tu wiele. Tekst broni się dzięki pamiętnikom, w których zdumiewająca wzmianka goni nieprawdopodobny cytat. Dopiero one oddają cały piekielny charakter Głównego Urządzenia Łagieriej.

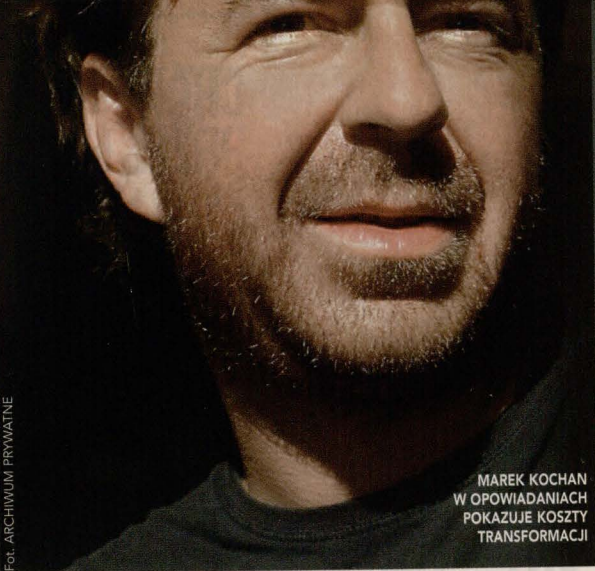
Applebaum uprzedza także pytania. Czy Gulag był „łżejszy” od kombinatu Auschwitz? Czy miał mordować, czy tylko wysysać energię? Gdy w latach 30. NKWD po raz drugi aresztowało żonę pisarza Lwa Razgona, ten dotarł przed oblicze samego prokuratora z pytaniem, czy prawo zezwala karać dwukrotnie za to samo. „Oczywiście, że nie – odparł prokurator – ale co ma z tym wspólnego prawo?”.

Gulag był czymś więcej niż widzimisię Stalina. Był fundamentem sowieckiego państwa. Jedyną siłą w systemie, która zmuszała do tworzenia czegokolwiek. Co drugie miasto wyrosło na Syberii dzięki łagiernikom. Podobnie każda fabryka, linia kolejowa, nowy port. Gdyby nie niewolnicy, system by runął. A tak bolszewicka cywilizacja dotarła aż do Pacyfiku. Za cenę, której z niczym nie da się porównać.

MICHAŁ WÓJCIK



ANNE APPLEBAUM „GULAG”, PRZEŁ. JAKUB URBAŃSKI, Świat Książki, Warszawa 2005



MAREK KOCHAN W OPOWIADANIACH POKAZUJE KOSZTY TRANSFORMACJI

ZWIERCIADŁO ZAKŁAMANIA

„Ballada o dobrym dresiarzu” to wykrzywiony portret ludzi wielkiego miasta

Tytuł tej książki może sprawiać wrażenie podczepiania się pod dresiarzką legendę prozy Masłowskiej, ale zaświadcza, że opowiadanie „Ballada o dobrym dresiarzu” ukazało się w nieodżałowanej „Machinie” na dobre pół roku, zanim Dorota zaczęła pisać „Wojnę polsko-ruską...”. Nie jest to zresztą debiut. Powieść 36-letniego dziś Kochana „Franquizea”, która wyszła osiem lat temu, przeszła niemal niezauważona. Można powiedzieć, że nieszczęśliwie wyprzedziła swój czas. O ile w tamtej książce w groteskowej formie Kochan pokazywał katalog szans, jakie w okresie prosperity mógłby wykorzystać młody inteligent, o tyle w opowiadaniach z wydanego właśnie zbioru „Ballada o dobrym dresiarzu” widzimy rubrykę z kosztami transformacji.

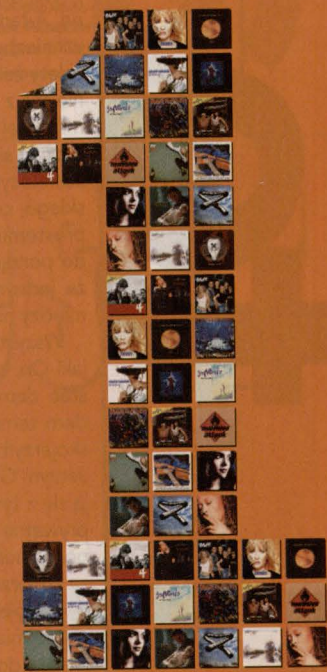
Skoro życie sprzedawców tak bazarowego obuwia, jak i zagranicznych fast foodów opisują dosłownie na bieżąco reportaże prasowe, literatura winna być w większym stopniu sprawą wyobraźni – zdaje się mówić autor. Obcujemy więc z ochroniarzem pilnującym, by nikt nie siadał na ławce przed biurowcem („Ławka”), dresiarzem-inteligentem niemogącym na swoim osiedlu wyjść z domu w garniturze bez ryzyka pobicia („Ballada o dobrym dresiarzu”) czy żyjącym w świecie filmów o Jamesie Bondzie chłopaku z blokowiska („Nie mam czasu by umrzeć”). Tych przedstawiciele wielkomiejskiego plebsu łączy z portretowanymi równie pieczołowicie reprezentantami klasy średniej życia w zakłamaniu, konieczność udawania. Młoda prawniczka z „Wakacji nad ciepłym morzem” wstydzi się pokazywać publicznie na Mierzei Wiślanej, bo cennemu kontrahentowi mówiła, że jedzie nad Morze Śródziemne. Wreszcie małżeństwo Olczaków z „Cukiernicy po babci” udaje rodowitych warszawiaków, by zyskać akceptację w zasiedziałych żoliborskich domach. Właśnie aspirującym do awansu społecznego (także „Meduza” o akwizytorze, który zdobywa reklamy, uwdzając mediaplanerki) Kochan poświęca najwięcej uwagi. A że ma zarazem świetny słuch na ludzką mowę, czyta się te opowiadania wyśmienicie.

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ



MAREK KOCHAN „BALLADA O DOBRYM DRESIARZU”, W.A.B., Warszawa 2005

Legendarne albumy w dobrej cenie

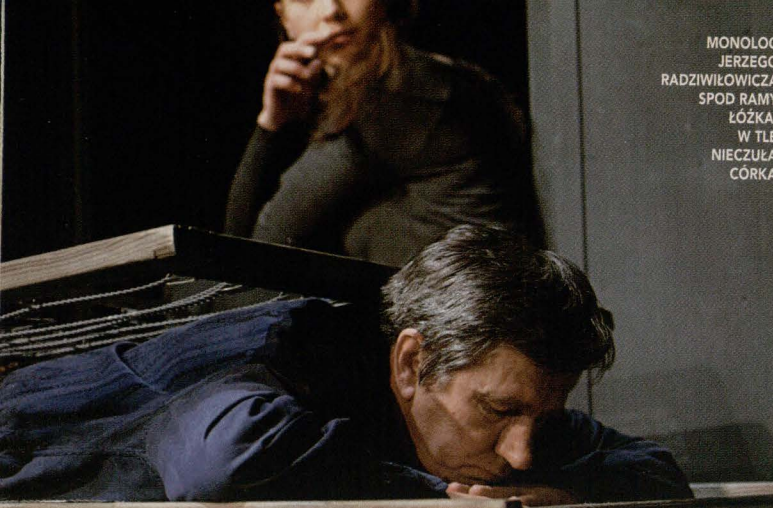


Szukaj płyt z „Jedynką”

Music from EMI



mistrzostwo na piątkę warto ujdzie kiepskie dno



MONOLOG
JERZEGO
RADZIWIŁOWICZA
SPÓD RAMY
ŁÓŻKA,
W TLE
NIECZUŁA
CÓRKA

CHÓR PRZEZ MUR

●●●●●○
Polsko-niemieckie kompleksy teatrem skutecznie leczone

Najpierw na scenie stoi mur. Z pustaków, ale może przypominać ten prawdziwy, który dzielił. A potem mur zostaje zburzony. Rozjeżdża go wrak samochodu. Jeden z tych, które odtąd sznureczkiem będą jechały z niemieckich złomowisk przez wyrwę w murze do warsztatów i na giełdy biednego kraju na wschodzie. A niektóre, te w idealnym stanie, pojedą nie ze złomowisk, tylko z eleganckich parkingów, z których wyprowadzą je przedsiębiorczy mężczyźni znający parę niemieckich słów. „Jedź na urlop do Polski, twój samochód już tam jest” – głosił ponoć slogan reklamowy któregoś z biur podróży na zachód od Odry i Nysy.

Czyż to nie piękny początek spektaklu o polsko-niemieckich i niemiecko-polskich stereotypach? Andrzeja Stasiuka zainspirowało autentyczne wydarzenie: niemiecki jubiler obudzony alarmem wyciągnął broń i zastrzelił jednego z rabusiów. Przeżył jednak zbytni szok i serce nie wytrzymało. Za chwilę będą mu przeszczepiać pompę z piersi... zastrzelonego polskiego złodzieja. Cóż za upiorna perspektywa dla przyzwoitego mieszczanina! Nie ma się co dziwić, że podrywa się z mar: niech serce będzie angielskie, holenderskie, włoskie nawet, ale nie ze wschodniej barbarii! Wspaniale Peter Siegenthaler gra wybuch martwego, acz dotkniętego do żywego porządnicza. A z drugiej strony nasz rodak – dawca rozdwojony na ciało (Oskar Hamerski) i duszę (Roma Gąsiorowska) – także skarży się na los. Czy zrobił co złego? No dobrze, kradł, ale ci tu i tak mają za dużo... No i muszą pokutować za stare i nowe grzechy. A w ogóle tylko do tego się, nudziarze, nadają, żeby ich okradać. Ponętnie rozmizdrzona dusza mityguje szczerze ciało bez większego przekonania.

Trudno „Noc” uznać za dramat. To raczej paradne oratorium chóralnych lamentacji, patetycznych arii

Fot. GRAZYNA JAWORSKA/AG



DUSZA ROMY
GĄSIOROWSKIEJ
PRZEKOMARZA SIĘ
Z CIAŁEM OSKARA
HAMERSKIEGO
NA TEMAT WYZSZOŚCI
PORZĄDNOŚCI
NAD GRZECHEM

i komicznych ansambli. Wielogłos o narodach przedzielonych historią, murem i uprzedzeniami, które spotkać się mogą na gruncie... wzajemnych wad. Takie hybrydy gatunkowe doskonale czuje Mikołaj Grabowski, najprostszymi teatralnymi środkami ożywiający tę międzynarodową epopeję. Miesza polszczyznę i niemczyznę, podsuwa obydwu nacjom lustro pozornie przyjazne i swojskie – to, którego używał w obu wersjach „Opisu obyczajów”. I śmieje się ścichapęk, gdy złączonych przeszczepem mężczyzn godzi wspólna pasja do nowych i starych samolotów, które „gdy pikowały, to jakby Wagner

brzmiał”. A gdzież to one pikowały i po co? Przedstawienie powstało w Düssel-dorfer Schauspielhaus, którego to teatru szefowa, Polka Anna Badca, zamówiła tekst u Stasiuka, ściągnęła Grabowskiego i pomieszała aktorów ze Starego Teatru ze swoimi. Teraz ma być grane trochę w Nadrenii, trochę w Małopolsce. Obu punktom Europy przyda się sąsiedzkie odśmianie.

JACEK SIERADZKI

„Noc” ANDRZEJ STASIUKA,
REŻYSERIA MIKOŁAJ GRABOWSKI, SCENOGRAFIA
PAUL LERCHBAUMER, KOSTIUMY UTE
LINDENBERG, MUZYKA MIKOŁAJ TRZASKA.
KOPRODUKCJA DÜSSELDORFER SCHAUSPIELHAUS
I STAREGO TEATRU W KRAKOWIE

CHWALIĆ PANA, KRÓTKIE

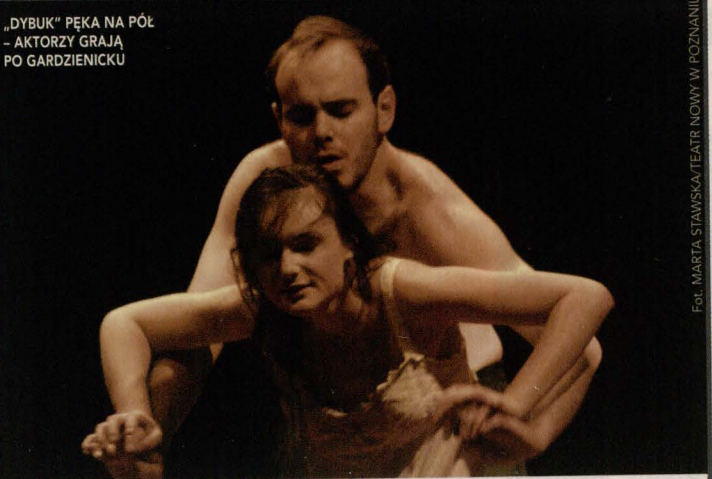
●●●○○○
Spodziewałem się, Bóg wie czego, a tu takie rozczarowanie. Trzeba nie lada odwagi, by robić „Dybuka” rok po Warlikowskim. Młodziak Passini odwagę miał, gorzej z wizją inscenizacyjną i warsztatem. Spektakl pęka na pół: młodzi aktorzy grają „po gardzienicku” – zwartą grupą, dziarskim ruchem i symbolicznym gestem, starzy zaś po staremu – powoli i z namaszczaniem. Scenariusz przeintelektualizowany, za dużo kabaly i mistyki, za mało fabularnej klarowności. Scena zagracona. Chwalić Pana, że krótkie.

„DYBUK” SZYMONA ANSKIEGO, REŻYSERIA
PAWEŁ PASSINI, TEATR NOWY W POZNANIU

POGADANKI ZAMIĄST ROZBIERANKI

●●●○○○
Korzystając z reporterskiego doświadczenia zdobytego podczas jednego z warszawskich porno-festiwali, Paweł Sala napisał dramat o niejkiej Sandrze, która zdobyła dla Polski złoty medal w skokach na łożku (700 orgazmów w jeden dzień!). W krakowskim spektaklu dosłowność pojawia się tylko w języku, na scenie nikt ani się nie rozbiiera, ani nie kopuluje. W głosie Sandry Korzeniak grającej rekordzistkę jest tania zmysłowość i ból, nie ma wstydu. Magdalena Popławska i Katarzyna Warnke z tkliwą złośliwością demaskują iluzje i pustkę swoich bohaterek. Dziwna sprawa z tym przedstawieniem. Prezentowane w październiku jeszcze jako warsztat na baz@rcie podobało mi się o wiele bardziej. Przeniesione w kontekst dorosłej premiery sporo straciło. Znikła gdzieś dawna dezynwoltura, posmak prowokacji, zostało poczucie prowizorki.

„GANG BANG” PAWEŁ SALI,
REŻYSERIA KRZYSZTOF JAWORSKI,
NARODOWY STARY TEATR W KRAKOWIE



STRASZNA TEŚCIOWA

●●●○○○
Jeden z najlepszych polskich dramatów ostatnich lat. Historia dzieciobójczyni kućji (bardzo dobra rola Ewy Sobczakówny), która za sprawą bezwzględnej teściowej pozbywa się powitych ukradkiem norowodków. Z biedy, głupoty, ze strachu. Wieś wie o zbrodni i nie pu-

ści pary z gęby. Mąż wie i nic nie robi. A proboszcz łązi po scenie z wielką drewnianą figurą Jezusa na osiołku i mamrocze bez sensu: „Dlaczego nikt mi nie powiedział?”. Reżyser tka tę wstrząsającą opowieść delikatnie, bardzo prostymi środkami, bez naturalizmu. Jakby zamiast się dziwić – lamentował. Kawał mądrego teatru.

„KUĆJKA I JEJ DZIECI”
MARKA PRUCHNIEWSKIEGO,
REŻYSERIA MAREK PASIECZNY,
TEATR WSPÓŁCZESNY W SZCZECINIE

Fot. MARTA STAWSKA/TEATR NOWY W POZNANIU

CZY ON TO ON?

●●●○○○
Jerzy Grzegorzewski zrobił spektakl o sobie (albo kimś innym)

Dziwne przedstawienie. Oczywiście dla kogoś postronnego wszystko, co robi Grzegorzewski, jest dziwne, czemu się nie ma co dziwić, bo jest to teatr z ducha i ciała poetycki, a poezja nie każdemu podchodzi. Mnie, owszem, podchodzi, choć nie powiem, że wszystko zawsze chwytam, tak dobrze to już nie jest.

No więc siedziałem teraz w teatrze, patrzyłem na scenę. A tam najpierw bardzo długo ciurkiem z pamięci mówił niezbyt zrozumiałe rzeczy Jerzy Radziwiłowicz, przyciśnięty żelazną ramą łożka. Potem było trochę akcji, głównie też z udziałem Radziwiłowicza w towarzystwie dosyć milczącej młodej aktorki. Od połowy o tyle się zmieniło, że zaczęły się pojawiać zdania z Wyspiańskiego i migawko-scenocycytaty z wcześniejszych spektakli Grzegorzewskiego, co znacznie umailo całość. Ale nadal trudno było prostemu recenzentowi, z natury zawodu skłonemu do porządkowania, coś więcej z tego chaosu pojąć. Poza jednym: urodą poniekąd scen, a nawet przerw między nimi, kiedy z głośników dobiega kaszel bohatera.

Wszystko wskazywało, że tym bohaterem miał być niejaki On, rozdwojona (na Radziwiłowicza i Malajkata) postać demiurga-reżysera-alkoholika. Konia jednak z rzędem temu, kto niewtajemniczony w zakulisową wiedzę skojarzyłby tę postać na przykład z autorem widowiska Jerzym Grzegorzewskim. A od tego skojarzenia zaczynają się z tym spektaklem schody. Jeśli jest to rzeczywiście prywatne wyznanie, dotykamy bolesnej sprawy: czy jego pokretność jest wynikiem osobistych trudności reżysera ze stworzeniem spójnej wizji teatralnej – czy też, jeśli ma być zbiektywowanym portretem Chorego Demiurga, jest zamierzona i ma na celu pokazanie wewnętrznego chaosu dowolnego bohatera? Na to pytanie mogą już tylko odpowiedzieć widzowie, we własnym sumieniu i zgodnie ze swoją wiedzą.

Pojawił się nawet w związku z tym spór prasowy między recenzentem „Gazety Wyborczej” a urażonym środowiskiem krytycznoteatralnym o prawo do wywleknięcia przez recenzenta prywatny reżysera. Spór bezpodstawny, gdyby Grzegorzewski zrobił wybitne przedstawienie. Ale, niestety, tak chyba w tym wypadku nie jest, nad czym okropnie ubolewa niżej podpisany, wielki i dotąd niemal bezkrytyczny admirator wielkiego reżysera.

TADEUSZ NYCZEK

„ON. DRUGI POWRÓT ODYSA” ANTONINY GRZEGORZEWSKIEJ I JERZEGO GRZEGORZEWSKIEGO, REŻYSERIA I SCENOGRAFIA JERZY GRZEGORZEWSKI, TEATR NARODOWY W WARSZAWIE

semestr

magazyn studentów

ZAKRĘCONA SEŚJA

studia
praca
lifestyle
kultura

w każdym numerze specjalny

PRZE KROJ

miesiąc



SZKLANY BIGOS NA WPROST

Po bitwie na programy stacje informacyjne sięgają po nową broń – **infotainment: informację i rozrywkę w jednym**

Na początku lutego na ekranach telewizorów niemal jednocześnie pojawiły się trzy programy mające w zamierzeniach ich autorów traktować politykę na wesoło. Dwa z nich – „Bigosowa i szwagry” oraz „Lekka jazda Mazurka i Zalewskiego” – to dzieła telewizji publicznej, trzeci – „Szkoła kontaktowa” – mogą oglądać widzowie TVN24. Wedle zapewnień zamieszczonych w materiałach promocyjnych ma w nich być luźno, lekko i zabawnie, przy czym każdy skonstruowany jest według innego klucza.

Nadawany w niedzielne popołudnia talk-show powracającej po latach do telewizji góralki Zofii Bigos przypomina poobiednią posiadówkę u babci. Bigosowa, zaznaczając wyraźnie, że ma ukończone tylko siedem klas, bez ogródek zadaje zaproszonym politykom takie pytania, jakie chciałoby zadać pewnie wielu widzów (lecz jakich większość wstydziliby się zadać). Polityk, który w innej sytuacji postugiwałby się ogólnikami i nie wahał odpyskować, wobec góralki musi się zachowywać jak uczeń na pierwszej randce. Tyle że nie wiadomo, po co pojawiają się towarzyszący gospodyni „szwagrowie” – wcinający się z dowcipami Bohdan Smoleń i naśladowca głosów Waldemar Ochonia.

Zupełnie inaczej wygląda program znanej z tygodnika „Wprost” pary szyderców Roberta Mazurka i Igora Zalewskiego. Ich „Lekka jazda” to zlepek pomysłów znanych z innych talk-show: kanapa, didżej na żywo, sitcomowe reakcje publiczności – całość najbardziej przypomina (nadawany o tej samej porze!) program Kuby Wojewódzkiego. Prowadzący mówią więcej niż goście i zdradzają chęć do znęcania się nad nimi. Problemem i tu są „ozdobniki” – DJ Macu wyraźnie mamuje się za konsolą, a już zupełnie nie wiadomo, co w programie robi asystentka Maria Agüero – anorektyczna i drewniana. Ciężko się właśnie zastanawiam – powiedziała w pierwszym programie, usiłując skojarzyć, kim jest widoczny na zdjęciu Marek Borowski. Oj, ciężko.

„Szkoła kontaktowa” skazuje na mniejszą widownię pora emisji (od poniedziałku do piątku o 22). Może to i dobrze, bo formuła zapraszania do studia satyryków (między innymi Krzysztof Daukszewicz, Artur Andrus, Tomasz Jachimek) w roli komentatorów politycznych jak dotąd się nie sprawdza. Program emitowany jest na żywo, a satyrycy, zestresowani rolą „No, niech pan będzie zabawny”, są ponurzy, nudni, wręcz irytujący. Prowadzący na przemian program dziennikarze TVN – Grzegorz Miecugow i Tomasz Sianecki – też nie mogą odnaleźć się w roli wyluzowanych żartownisiów. Sianecki, potrafiący trafnie spuentować każdego newsa w „Faktach”, w „Szkle...” wygląda na przestraszonego.

MAZUREK I ZALEWSKI W NOWYM PROGRAMIE WYŚMIEWAJĄ POLITYKÓW...
...A ODKURZONA ZOFIA BIGOS SERWUJE IM LUDOWE MĄDROŚCI



MAX SUSKI

„BIGOSOWA I SZWAGRY”, TVP1, NIEDZIELA, GODZ. 15.55
OGLĄDALNOŚĆ PROGRAMU Z 6 LUTEGO: 5 PROC.
(1,788 MLN WIDZÓW)
„LEKKA JAZDA MAZURKA I ZALEWSKIEGO”, TVP1, NIEDZIELA, GODZ. 22.10, OGLĄDALNOŚĆ PROGRAMU Z 13 LUTEGO: 4,09 PROC. (1,466 MLN WIDZÓW)
„SZKOŁA KONTAKTOWA” TVN24, PONIEDZIAŁEK-PĄTEK, GODZ. 22.00, ŚREDNIA OGLĄDALNOŚĆ W OKRESIE OD 31 STYCZNIA DO 2 LUTEGO: OK. 1 PROC. (143 TYS. WIDZÓW)

SŁOWA WYCZESANE

Jak zatrybić

Młody słownik obfituje w słowa z serii „sprawdź, czy należy do naszego grona”. Służą one odsianiu ludzi, z którymi w ogóle warto gadać. To odsiewanie przypomina mi dowcip rysunkowy z małym miasteczkiem w tle i Gozillą, która zmierza w jego kierunku. Godzilla patrzy właśnie do góry na napis umieszczony na wysokim słupie: „Jeśli jesteś niższy od tego słupa, to nie możesz zniszczyć miasteczka”.

Te pytania kontrolne to na przykład „Jarzysz?”, „Czaisz?” i „Kminisz?”. Odpowiadać należy „Spoko” albo „Kumam”. Zwykle „tak” nie ułatwia sprawy. Wprawdzie dający sygnał, że zrozumieliśmy komunikat, ale odpowiedź wysłałiśmy nie w tym samym kodzie. Pytając uzna, że dalsza konwersacja może zakończyć się – jak wyprawa Gozilli – fiaskiem. Oto trzy słowa pomocne w takiej sytuacji.

„Mówiłem ci Łucek, ja tu jeszcze wróć / Wszystko pochytam i wszystkiego się nauczę” – śpiewa Kazek Staszewski na płycie „Melasa”. I jeśli od razu nie pochytaliście co znaczy pochodzące z gwary śląskiej słowo „pochytać”, to jeszcze rdzenny przykład z opisu wyreczki szkolnej: „Mało jednak było takich pieronów między nami, coby to wszystko mieli dokumytnie pochytane, tak jako w ksióznkach pisom”.

Kto wymyślił tryby, już pewnie macie pochytane. Jeśli jeszcze nie znacie tej historii, odpowiadam: Trybow. A kto wymyślił jodłownię? Nie Jodłow, też Trybow – kiedy mu się coś w tryby wkręciło. W każdym razie Trybow te tryby wytrybił. Trybił, trybił, aż zatrybiło

– i już miał pochytane, co w trybach trybi. Nie wytrybił tylko jednego: że tryby mogą być niebezpieczne.

Wieloznaczność „trybienia” niektórych odstraszy. Rozjaśnić znaczenie może im taki oto dialog na temat filmu „Vanilla Sky”, który przytaczam za film.onet.pl:

– „Ja nie zatrybiłem, o co w nim dokładnie chodzi. Ale film typowy dla roli Cruise’a („Oczy szeroko zamknięte”) i doskonały soundtrack.

– Nie zatrybiłeś? Obejrzyj jeszcze raz”.

Zaciemni im obraz sprawy fakt, że „zatrybić” to jeden z ulubionych czasowników kibiców piłkarskich. Z relacji z meczu Mieszka Grzegorz z Huraganem Pobjedziska (Gra II liga z IV, więc nie szkodzi, jeśli nic z tych nazw nie trybiecie): „Niestety, zanim zespół zatrybił, przegrywał już 0:3”. Albo: „Po meczu pucharowym z Kolejarzem nasz zespół w końcu »zatrybił«. Choć mam też przykład komputerowy, gdzie „trybić” ma podobne znaczenie (za www.pclab.pl): „Muszę wyjąk kieszeń, chwilę odczekać, pogłaskać go i wznieść modły, aby zatrybił” – to, rzecz jasna, o komputerze. Czy już trybiecie? Podpowiem, że w XVI wieku o czeladzi mówiono, że się ją „trybuje”, a nie „uczy”. Teraz można „wytrybić” – coś nowego, z niezbędną dozą kreatywności – albo „trybić” – jakąś prawdę o świecie.

I trzecie nowe słowo z tej serii: „dźwigać”. Skojarzcie z „dźwiganiem brzemienia wiedzy”, a zatrybiem. Jeśli macie wszystko dobrze pochytane, udzielcie odpowiedzi na każde kontrolne pytanie. I tak na „Chytasz?” można odpowiedzieć „Trybię”. Na „Trybisz?” – „Dźwigam!”, a na „Dźwigasz?” – „Pochytałem”. Jeśli zaś dalej nie zatrybiliście, to nie możecie wejść do grona użytkowników młodej polszczyzny ani ich kolegów. Chyba że byliście więksi od tamtego słupa – wtedy i tak będą się z wami chcieli jakoś dogadać.

bartek.chacinski@przekroj.pl

WSZYSTKO NA TWOJĄ KOMÓRKĘ

DZWONKI NR 7128/7928

MONOFONICZNE		POLIFONICZNE	
Top One, Biały Miś	T1620381Z18	PT1635806Z18	PT1635806Z18
Aventura, Obsession	T1615174Z18	PT1613511Z18	PT1613511Z18
Barthezz, On the Move	T1464707Z18	PT1460414Z18	PT1460414Z18
Boys, Jesteś Szalona	T1483743Z18	PT1483743Z18	PT1483743Z18
Czesław Niemen, Pod Papugami	T104722Z18	PT904077Z18	PT904077Z18
Danzeł, Pump It Up	T151253Z18	PT151705Z18	PT151705Z18
Dwa Plus Jeden, Winda do nieba	T1430613Z18	PT867605Z18	PT867605Z18
Eminem, Like Toy Soldiers	T193073Z18	PT1924344Z18	PT1924344Z18
Eric Prydz, Call On Me	T1674809Z18	PT1674348Z18	PT1674348Z18
Farba, Choc tu zostac	T1398258Z18	PT1398286Z18	PT1398286Z18
Film: Gliniarz z Beverly Hills	T653933Z18	PT740347Z18	PT740347Z18
Film: Mission: Impossible	T688068Z18	PT752942Z18	PT752942Z18
Film: Mortal Kombat	T1260973Z18	PT1269605Z18	PT1269605Z18
Film: Ojciec Chrzestny	T30704Z18	PT865608Z18	PT865608Z18
Film: Ostatni Mohikanin	T639830Z18	PT1693060Z18	PT1693060Z18
Film: Rocky III: Eye of The Tiger	T578914Z18	PT871708Z18	PT871708Z18
Groove Coverage, Runaway	T181606Z18	PT1881795Z18	PT1881795Z18
Gwen Stefani, What You Waiting For?	T702794Z18	PT175675Z18	PT175675Z18
Happy End, Jak się masz Kochanie	T1400404Z18	PT1400435Z18	PT1400435Z18
Ivan i Deifin, Jej czarne oczy	T1669084Z18	PT166850Z18	PT166850Z18
K-Maro, Femme Like You	T470573Z18	PT904083Z18	PT904083Z18
Kombi, Słodkiego, miłego życia	T732064Z18	PT749615Z18	PT749615Z18
Kreskówka: Gumisie	T10430Z18	PT658975Z18	PT658975Z18
Kreskówka: Pszczołka Maja	T1908298Z18	PT189985Z18	PT189985Z18
Mandaryna, Bo Z Dziewczynami	T1816109Z18	PT181369Z18	PT181369Z18
Mandaryna, Lete Indian	T1930728Z18	PT1930404Z18	PT1930404Z18
Monika Brodka, Dziewczyzna Mojego Chłopaka	T1835534Z18	PT1892540Z18	PT1892540Z18
Nadyia, Et C'est Parti	T179696Z18	PT1786049Z18	PT1786049Z18
Sarah Connor, Living To Love You	T1979363Z18	PT1959229Z18	PT1959229Z18
Scooter, One (always hardcore)	T919Z18	PT668342Z18	PT668342Z18
Serial: Cztery pancerni i pies	T913Z18	PT1165766Z18	PT1165766Z18
Serial: Janosik	T949102Z18	PT671801Z18	PT671801Z18
Serial: Stawka większa niż życie	T1508914Z18	PT1512873Z18	PT1512873Z18
Sumptastic, Kołysanka	T1620381Z18	PT1635806Z18	PT1635806Z18
Top One, Biały Miś	T1620381Z18	PT1635806Z18	PT1635806Z18

ABY ZAMÓWIĆ DZWONEK MONOFONICZNY: WYŚLIJ SMS NA NUMER 7128, A W TREŚCI WPISZ NUMER DZWONKA (NP. T808452Z18). ABY WYŚLAĆ DZWONEK INNEJ OSOBIE W TREŚCI WPISZ NUMER TELEFONU ADRESATA: NUMER DZWONKA (NP. +4860X600600:T808452Z18). CENA DZWONKA TO: 2 PLN (2,44 z VAT)

ABY ZAMÓWIĆ DZWONEK POLIFONICZNY: WYŚLIJ SMS NA NUMER 7928, A W TREŚCI WPISZ NUMER DZWONKA (NP. PT808452Z18). W ODPOWIEDZI OTRZYMASZ ZAKŁADKĘ WAP, Z KTÓRĄ NALEŻY SIĘ POŁĄCZYĆ I POBRAĆ DZWONEK. ABY WYŚLAĆ DZWONEK INNEJ OSOBIE W TREŚCI WPISZ NUMER TELEFONU ADRESATA: NUMER DZWONKA (NP. +4860X600600:PT808452Z18). CENA DZWONKA TO 9 PLN (10,98 z VAT)

KOLOROWE TAPETY NR 7928

NOKIA, SONY ERICSSON, MOTOROLA, SIEMENS, SAGEM, ALCATEL, MITSUBISHI, SAMSUNG, PANASONIC GD67, PHILIPS, LG, SHARP, SENDO S600



WYŚLIJ SMS NA NUMER 7928, A W TREŚCI WPISZ NUMER TAPETY (NP. B776000Z18). W ODPOWIEDZI OTRZYMASZ ZAKŁADKĘ WAP, Z KTÓRĄ NALEŻY SIĘ POŁĄCZYĆ I POBRAĆ TAPETĘ. ABY WYŚLAĆ TAPETĘ INNEJ OSOBIE W TREŚCI WPISZ NUMER TELEFONU ADRESATA: NUMER TAPETY (NP. +4860X600600:B776000Z18).

GRY JAVA NR 7928



SPRAWDŹ CO MOŻESZ POBRAĆ NA SWÓJ TELEFON:
NOKIA: NOKIA (2650,3100,3200,3300,3650,3660,5100,3510,5140,6100,6200,6220,6230,6610,6610i,6800,6810,6820,7200,7210,7250,7250i,7650,8910i)
SE: SONY ERICSSON (T610,T618,T620,T628,T630)
MV: MOTOROLA (V300,V400,V500,V525,V600,V800)
SAM: SAMSUNG (C100,X100,X600)
SC: SIEMENS (S55,SL55,M55)
SC6: SIEMENS (C60,MC60)
S65: SIEMENS (CX65,M65,S65)
SC65: SIEMENS (C65)
MT7: MOTOROLA (T720i,T722i)
SAG: SAGEM MY X5-2
WYŚLIJ SMS NA NUMER 7928, A W TREŚCI WPISZ NUMER GRY (NP. JV971Z18) (NAPIERW SPRAWDŹ, CZY TA GRA JEST PRZEZNACZONA NA TWÓJ MODEL TELEFONU). W ODPOWIEDZI OTRZYMASZ ZAKŁADKĘ WAP, Z KTÓRĄ NALEŻY SIĘ POŁĄCZYĆ I POBRAĆ GRĘ. ABY WYŚLAĆ GRĘ INNEJ OSOBIE W TREŚCI WPISZ NUMER TELEFONU ADRESATA: NUMER GRY (NP. +4860X600600:JV971Z18).

REKLAMACJE MOŻNA ZGŁASZAĆ W DNI ROBOCZE OD 9:00 DO 17:00 POD NUMEREM 0 708 277 677 (CT Creative Team 1,05 PLN/MIN, 1,28 PLN/MIN z VAT), LUB NA ADRES INTERNETOWY: WAPSTER@WAPSTER.PL. Koszt wysłania SMS-a to: numer 7128: 1 PLN (1,22 z VAT), numer 7228: 2 PLN (2,44 z VAT), numer 7928: 9 PLN (10,98 z VAT). Usługa dostępna w sieciach ERA, PLUS, IDEA, HEYAH, SAMI SWOI



FOT. ACTION PRESS/FREE



FOT. MAREK SZCZEPANIK/EP

PALUCHY W GRZE

Gdy na dworze ściska mróz, a liga ma przerwę, można pograć w finger football

Spotkanie towarzyskie w pubie. Przy jednym ze stolików słychać dopingujące pokrzykiwania. Nagle gwar staje się głośniejszy, ze stołu spada mała biała gumowa kuleczka i toczy się po podłodze pod sąsiedni stolik. W pośpiechu na nią rusza młody człowiek z czymś przypominającym napastrki na palcach dłoni. Zapytany, o co chodzi, odpowiada: – Mamy tu mały mecz. No, wiesz... finger football.

Kiedyś w podstawówce na przerwach między lekcjami chłopcy oddawali się grze we wbijanie goli piłką z kawałka papieru, którą wkopywało się za pomocą palców rąk do bramki skonstruowanej z ołówków. Teraz ktoś postanowił zrobić na tym interes i wyprodukował gotowe zestawy do finger footballu.

Trampki z plastiku

Za jedyne 2,95 euro (czyli około 12 złotych) można kupić zestaw, w skład którego wchodzi dwie pary plastikowych minitrampki i miniskarpet, które zakłada się na palce (wskazujący i środkowy), oraz minipiłka i dwie bramki. Jak uważają użytkownicy, zabawa jest przednia – po kilku godzinach żmudnych ćwiczeń można zostać sprawnym fingerfootballistą i bez trudu dryblować pomiędzy szklankami z piwem, ewentualnie między zszywaczem i przyciskiem do papieru – w zależności od tego, co akurat znajduje się na stole, przy którym siedzimy. Podczas gry można odbierać piłkę „na klatę”, czyli wierzchem dłoni, albo odbijać „kolanem”, czyli zgięciem palca. Grać można wszędzie, samotnie i z przyjaciółmi.

Okazuje się, że biznes da się zrobić nawet na czymś, co spokojnie można sporządzić samego w domu przy użyciu jedynie kawałka papieru. Dobrze wie o tym Kanadyjczyk Richard Crasnick, który opatentował kilka lat temu podobną grę

nazwaną FIKI Football (w skład zestawu nie wchodziły co prawda plastikowe buciki, jedynie dwie bramki i skórzana trójkątna piłka przypominająca tę do footballu amerykańskiego). Zrobił na tym pomysłem niezły interes. Dogadał się z ponad 20 szkołami w całych Stanach i zaczął produkować minifootballowe piłki z logo każdej z nich. Pomysłem zainteresowały się również wielkie korporacje z koncernami piwowarskimi na czele.

Fingersporty dla każdego

Pomysł „piłki palcowej” wykorzystala także firma Canon, która podczas zeszłorocznych mistrzostw Europy UEFA ruszyła z kampanią reklamową zatytułowaną właśnie „Finger Football”. Widzowie w 25 krajach mogli zobaczyć spoty pokazujące pracowników biurowych z zapalem oddających się piłkarskim rozgrywkom. Zabawa polegała na tym, by z odpowiednio spreparowanego zdjęcia ulubionego piłkarza (trzeba wyciąć dwa półokrągłe otwory na nasze palce, czyli „nogi” zawodnika) zrobić swojego gracza. Firma wypuściła również ponad siedem milionów podstawek pod piwo, specjalnie zaprojektowanych w ten sposób, aby fani mogli używać ich do gry.

Na pomysł, by nogi zastąpić palcami, wpadli nie tylko fani piłki nożnej. Od kilku lat wielką popularnością cieszą się fingerboardy, czyli minideskorolki o długości niecałych 10 centymetrów (pisaliśmy o nich przed rokiem w „Przekroju”). Jest też fingersnowboard, fingerbiki, czyli miniaturowe wyczynowe rowery bmx, fingermotory – małe motory crossowe, a nawet fingersurfy – minideski do surfingu umożliwiające surfowanie po falach zrobionych w wannie. W Polsce popularny jest fingerboard, ale jak do tej pory niewiele osób słyszało o finger footballu. – Palcowy football może się u nas przyjąć – mówi fingerboardzista Wojtek Wawrzak. – Mamy w kraju wielu zapalonych piłkarzy, którzy nudząc się zimową porą, mogą sięgnąć po tę zabawkę, tak jak skateboarderzy sięgają po fingerboardy.

SYLWIA KAWALEROWICZ

rzeczy niedorzeczne



FOT. IWANTONEOFTHOSE.COM

BIUROWY PANCERFAUST

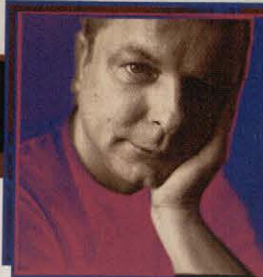
Broń na ciężkie spory biurowe

Airzooka wygląda jak wielka suszarka do włosów, ale to broń, z której strzelamy powietrzem. Polecana jest znużonym pracownikom biurowym. Można za jej pomocą włączyć alarm pożarowy albo znieśc rozrzucić koleżkę dokumenty i patrzeć, jak pociera czoło, zastanawiając się, czy nie czas już iść na urlop. Jak to zrobić? Trzeba naciągnąć przypiętą z tyłu gumkę wraz z foliową osłoną i strzelić. Z airzooki wyleci kula powietrza, która zachowuje się jak wszystkie wiry powietrzne czy wodne, czyli obraca się wokół własnej osi. Nasz pocisk ma zasięg około siedmiu metrów, więc zabawa tym bardziej ekscytująca, że możemy pozostać niezauważeni. Dostępna jest też mini-airzooka, ma jednak tak małą moc, że nadaje się najwyżej do zdmuchiwania świeczek. (KDJ)



WYMYSŁIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

KULINARNE PIÓRO POLSKI



TADEUSZ PIÓRO

Warszawski spleen

Dawno nie widziałem tak brzydkiego miasta. Wszędzie błoto i roztapiający się śnieg, emeryci z trudem człapią po koślawych chodnikach, z nieba spada jakaś obsceniczna ciecz, mamy luty. W jednym mieście właśnie w lutym jest najwięcej samobójstw. W Nowym Jorku Christo ustawił kilkadziesiąt bram z barwnymi draperiami w Central Parku i lutowa szarówka nabrała wesołych kolorów. U nas o koloryt lokalny zadbał Bronisław Wildstein, i to jeszcze w karnawale. Co zrobić, żeby nie poddać się wisielczym nastrojom? Ekstrawagancką zupę rybną.

Podstawą dobrej zupy rybnej jest wywar, a dobry wywar to już ekstrawagancja, ponieważ trzeba kupić jedną lub dwie ryby w całości. Z głów, szkieletów i ścinków mięsa robimy wywar z dodatkiem cebuli, marchwi, selera, liścia laurowego, pieprzu i odrobiny białego wina. Po półgodzinnym gotowaniu wywar odciedzamy. Kłopot w tym, że większość ryb sprzedawanych w całości jest cienka, to znaczy filety, które z nich wytniemy, będą cienkie i rozpadną się w trakcie gotowania zupy. Są jednak wyjątki, na przykład sum, i choć w zasadzie nie powinno się mieszać ryb morskich i słodkowodnych w jednym daniu, to sum może być właśnie wyjątkiem potwierdzającym regułę. Poza sumem do zupy dobry będzie dorsz, halibut, męcznik i inne ryby sprzedawane w postaci filetów lub dzwonek nie cieńszych niż półtora centymetra – ale nie losoś ani tuńczyk.

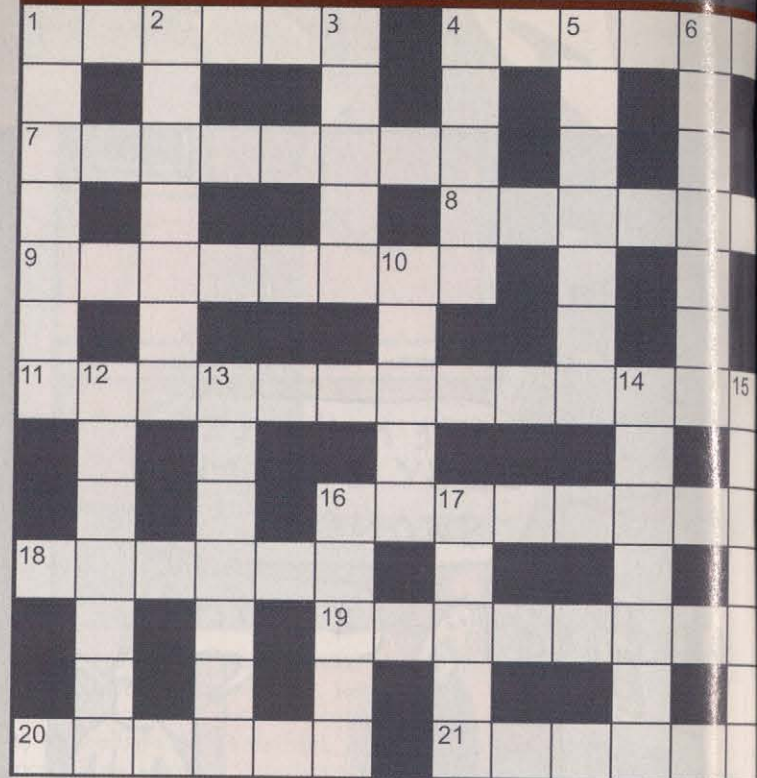
Pokrojone w kawałki na spory kęsy ryby krótko obsmażamy w oliwie i przekładamy na talerz. W tym samym tłuszczu smażymy dwie posiekane cebule, mieszając, żeby się nie przypaliły, usiłując wszakże doprowadzić je do stanu skarmelizowania. Może to potrwać 20 minut lub dłużej. Kie-

dy cebula będzie ciemnobrązowa, dodajemy trzy pokrojone w kostkę pomidory pozbawione skóry i pestek oraz dwa posiekane ząbki czosnku. Gotujemy jeszcze kwadrans, dolewając trochę wywaru, jeśli mieszanka warzywna zacznie przywierać do dna. Wlewamy kieliszek brandy, podpalamy z wielką ostrożnością, a kiedy płomień wygasa, wlewamy kieliszek sherry lub białego wina (około 100 mililitrów) i odparowujemy przez dwie minuty. Dodajemy teraz zawczasu przygotowaną mieszankę zapachowo-smakowo-kolorystyczną. Dwie kromki bagietki lub pszennego chleba bez skórki smażymy w dwóch łyżkach oliwy na złoto. Na suchej patelni lub w piekarniku rumienimy garść obranych migdałów. W kilku łyżkach białego wina namaczamy kilka niteczek szafranu. W robocie kuchennym mielemy szafran z winem, migdały, chleb i ząbek surowego czosnku na miazgę, którą dodajemy do patelni z cebulą i pomidorami. Dodajemy również ryby i wywar. Gotujemy na małym ogniu przez 10 minut. Jeżeli zależy nam na jak największej ekstrawagancji, po pięciu minutach można dodać trochę świeżych muli w muszlach i gotować zupę przez kolejne pięć minut pod przykryciem. Świeże mule docierają już do naszych sklepów, zazwyczaj w czwartki. Ale to tylko taki bajer, żeby zupa ładnie wyglądała z otwartymi muszlami na powierzchni. Naprawdę liczą się ryby.

Taka zupa to cały posiłek. Podajemy ją z chlebem lub grzankami, potem tylko prosta sałata, ser lub owoce. Czy w trakcie posiłku patrzeć na to, co dzieje się za oknem, niech każdy z własnym sumieniem uzgodni. ■

www.przekroj.pl/pioro

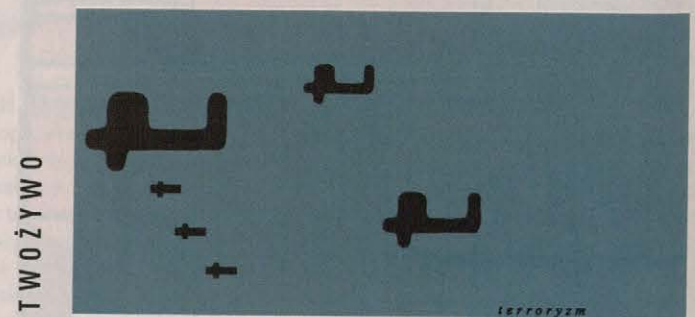
KRZYŻÓWKA nr 8



- POZIOMO:**
 1. TRZYMANY W RYZACH
 4. DUPA WOŁOWA
 7. WC PREMIERA
 8. PISANY PELICANEM
 9. OD TATY DLA ALI
 11. LIGA RODZIN POLSKICH
 16. MATEMATYKA KRÓLIKA
 18. GOŁA W AKTACH
 19. BANDA RENIFERA
- 20. KRZYK WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA**
 21. ZAMYKA WALIZKĘ
- PIONOWO:**
 1. KŁADZIONY, ALE STAWIANY
 2. STROJNY MEBEL
 3. DOKOŁA PRZYCHODNI
 4. ODWÓJKI
- 5. Z WARSZAWY DO KAWY**
 6. MODNE DRZEWO
 10. TRON Z „Z”
 12. PROBLEM PKP
 13. KLEPIE BABKĘ
 14. LICHOTA
 15. DZIKI MAJERANEK
 16. ŻŁOTA RĄCZKA
 17. WRÓG WODNIKA

- Rozwiązanie krzyżówki nr 5:**
Poziomo: 1. orzech 4. senior 7. lajkonik 8. tercet 9. szczerba 11. identyfikator 16. ordynans 18. smutek 19. Rodzinka 20. statut 21. kanapa
Pionowo: 1. oklaski 2. zdjęcie 3. honor 4. sekta 5. nagroda 6. okienko 10. bufor 12. diament 13. nietakt 14. tkalnia 15. roszada 16. okręt 17. dudek

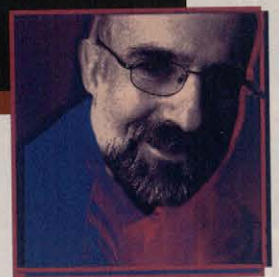
Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 3 nagrody wylosowali: Renata i Wojciech Gęsparski Warszawa; Piotr Grabowski, Warszawa; Tomasz Kasper, Dąbrowa Górnicza; Aleksander Wójcik, Lublin; Daniel Zimniak, Górowo Iławeckie. **Gratulujemy!**



GRUPA TWOZYWO

to tabu
 teraz
 terrorizm
 to tabu
 teraz
 terrorizm
 to tabu
 teraz
 terrorizm

WINNY BIENIŃCZYK



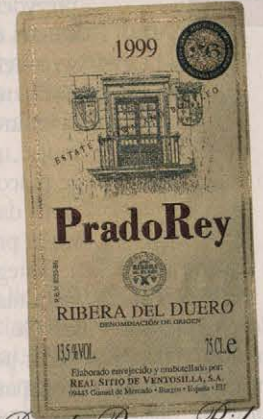
MAREK BIENIŃCZYK

Kocham cię jak Pinot Noir

No wreszcie, stało się! Wreszcie ktoś się nami zainteresował, pochylił nad naszym życiem. Długo czekaliśmy, lata milczałyśmy, gdy przedstawiano losy pilotów i kierowców wyścigowych, przeżyliśmy cicho ślinę, gdy opowiadało o dziejach hazardzistów, narcomatów, bilardzistów. I proszę, nie minęło sto lat, a wino wkroczyło do kina, stało się tematem filmu fabularnego. Ameryki, w kolorach, z aktorami, muzyką i nominacjami!

Wino wkroczyło jako rekwizyt, którym dotychczas było. Element zagadki kryminalnej u Hitchcocka czy towarzysza damsko-męskich konwersacji. Pamiętajcie, jak to zazwyczaj bywa: wchodzi do mieszkania, on wyciąga z lodówki szampana i siadają na kanapie. Albo są w restauracji, elegancja, wino kołysze się w wysokich kieliszkach, które ujmują z zadumą w wysmukłe dłonie, by niespiesznie mówić dalej o miłości czy interesach. W „Sideways” („Bezdroża”), który wszedł na nasze ekrany, też siedzą na kanapie i w knajpie, tyle że ona go pyta: - Powiedz mi, dlaczego lubisz pinot noir? A i on ma do niej osobiste pytanie: - Słuchaj, co tak naprawdę sądzisz o cabernet?

Bohaterami tego romantyczno-komicznego filmu drogi, jeśli dobrze rozpoznałem gatunek, jesteśmy naprawdę my, winomani. My tu mamy swoje problemy, upadki i wzloty, my tu cierpimy, nas rzucają inni. Na nas kieruje wzrok kamera, gdy chodzimy po winnicach, gdy wyjmujemy kolejne butelki, wyciamy bukiety. Na początku nie jest dobrze, rzuciła nas cudna jak łania żona, rozeszliśmy się z mężem pozerem, piszemy książki, których nikt nie chce wydać, jesteśmy samotni jak pojedyncze parcele, na nie już nie liczymy. Lecz oto spotykamy się z sobą, ty i ja, rozmawiamy o pinot noir, pytamy o cabernet, znaleźliśmy nić porozumienia, z której da się zrobić wydmieć wspólny sweter, może zapomniać o byłej żonie pięknej jak łania, o mężu pozerze (który



Prado Rey. Ribera del Duero 2001. hiszpańska klasyka. polska cena - około 90-100 złotych

co prawda też miał kolekcję win, ale o głębi pinot noir nie umiał wydusić ani słowa); ostatecznie miłość dzięki winu zwycięża, dzieci znów nowe się narodzą. Trochę wychodzimy w tym filmie na miłych idiotów, bilardziści mieli lepiej, ale niech im tam!

Jakieś radio spytało o opinię o scenariuszu, reżyserii, grze aktorów, więc odpowiedzieliśmy: o tak, znakomity casting butelek. Zaraz po filmie długo w winońskim gronie o nim rozmawialiśmy. Ekstraklasa wykonawców: Cheval Blanc, Dominique Laurent (z Pommardem, tylko który, psiakrew, rocznik?), Kistler, Romanée Conti. Ale

co to było, ta ciemna etykieta? Z pewnością amerykański pinot noir. Poniż? Nie, Poniżego wyciągnęli później. Później? No, później, jak już poszli do łóżka. Nie, wcześniej, jak jeszcze nie poszli. Simi? Może Simi, ale ja bym ich pinot noir nie brał. A nie Marcassin? Nie, oni nie mają takiej etykiety. To mogło być syrah, może Qupé. Nie, coś ty, Qupé pili wcześniej, gdy się jeszcze nie spotkali.

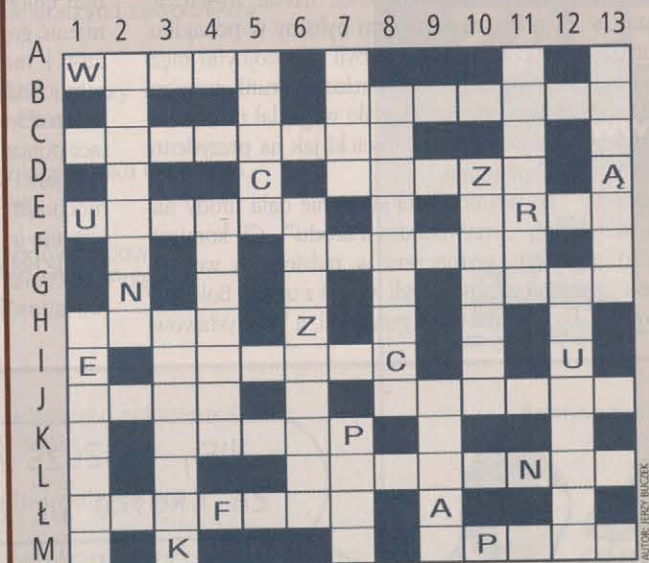
Omówiliśmy dokładnie film i rozeszliśmy się do domów. Zapomniałem zapytać Krzysztofa, skąd jego zdaniem był ten sauvignon blanc, gdy siedzieli pierwszy raz w restauracji, z Napa czy Sonomy; krzyknąłem do niego, ale już zniknął w przejściu podziemnym. Zwróćcie, proszę, uwagę, kiedy pójdziecie do kina (bo nie można przecież zajmować się tylko winem), to wróćcie po tej scenie, jak on zamawia dla siebie i kumpla Qupé Bien Nacido. I może dostrzeżecie też rocznik, byłoby super. ■

www.przekroj.pl/bieniczek

JOLKA nr 8

OKREŚLENIA PODANO W INNYM SZYKU NIŻ KOLEJNOŚĆ WYRAZÓW W DIAGRAMIE. PO WYPEŁNIENIU DIAGRAMU NALEŻY ROZSZYFROWAĆ NASTĘPUJĄCE HASŁO:

C11 _J3 _K5 _D7 _J10 _/L3 _/K6 _L10 _I3 _L5 _F2 _/G4 _J2 _M9 _A11 _F10 _C13 _E6 _L7 _/K12 _H2 _C5 _G11 _A3 _M11 _/H3 _D2 _B10 _/J11 _/L7 _L12 _M1 _F11 _/E13 _J13 _/H4 _G8 _E3 _/C8 _L9 _J6 _/D9 _L6 _A4 _/J9 _B7 _C4 _M7 _/K1 _/B11 _F7 _L13 _H8 _C1 _H10 _



- WYRAZY 9-LITEROWE:**
 • mydło mu się kończy galopem • odpustowa pokusa turpisty
- WYRAZY 8-LITEROWE:**
 • przedpokój toruński • krzywikiem wywija • haldka wokół wariata, bohatera lub waźniaka • purpurowa eminenca
- WYRAZY 7-LITEROWE:**
 • matrymonialny kawałek chleba • modły nie uchronią go przed zębami króliczków • ambrozja dla dociekliwców • bawidwerek • strzeli – i skradkę diabli wzięli • błędna wstęga • o Ammannie górnice • gatunkowa nie dla szczura
- WYRAZY 6-LITEROWE:**
 • wyprawa pańskiego oka • łup bizona • związane ręce • donbaski as
- WYRAZY 5-LITEROWE:**
 • niefarbowany lis • narzędziowa mimikra miesiąca • akrobaci manualu • nalistny mulek dla pszczołek • silnika okno na świat • rasowy zaznaczacz zaznaczy już na nim
- WYRAZY 4-LITEROWE:**
 • kanada dla bałwanka • ekotop jęczyzka • wpisuj poziomo, śpiewaj pionowo • ekspert od pobieżności • w teczce Dedala • lep jak lec

Rozwiązanie jolki nr 5: MIEJSCE NA ZACHÓD SŁONCA, KORALOWY, ZIELONY I SZARY. DWA MIEDZIANKI ZA MIEJSCE STOJĄCE! (z książki „Tytus sam” Mervyna Peake’a).

Rzędami: rozszczep, tytoń, dyskreja, kmieć, duszek, kwant, przebój, adwokat, kącik, lasuch, Alamo, podbierak, dzida, dymochłon.
Kolumnami: rydzik, wandalizm, zasada, uniform, zarost, opad, szal, zaczepek, tandem, król, ptak, kupiec, miesiąc, dymochłon.

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 3 nagrody wylosowali: Stanisław Padula, Przedbórz; Maria Rakicka, Przemyśl; Stanisław Robak, Paczków; Janina Rujna, Zielona Góra; Krystyna Sanicka, Kraków. **Gratulujemy!**

Pomiędzy czytelników, którzy do niedzieli 27 lutego (decyduje data stempla pocztowego) nadesłali poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy książki **Jorge Luisa Borgesa „Rzemiosło poezji”** (Prószyński i S-ka).



„Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Krzyżówka 8 lub Jolka 8



FOT. BOGDAN KRZEL

Chłopcy

Pan Bóg nie poskąpił Relidze i Lisowi urody i zalet duchowych. Są, jeśli idzie o rasę, jak ojciec i syn. Mają szansę przyciągnąć elektorat i dobrze go podzielić

W USA dzieją się zawsze rzeczy najdziwniejsze. Niektóre godne są pozazdroszczenia, jak na przykład tabuny pięknych i utalentowanych aktorek filmowych, nieprzerwanie pojawiających się od stu lat na ekranach filmowych. Hollywood to czarodziejski młynek seksu albo ukryty pas transmisyjny, który z całych Stanów nadsyła swoje pięknotki. A może same mkną dobrowolnie pielgrzymkami do „fabryk snów”, podobnie jak nasze dziewice do Częstochowy. Tak jest od początków kina, bo już w filmach Charliego Chaplina powabne dziewczyny przyciągały uwagę. Ale filmowcy to babcie – i ci starozakonni ze spuchniętymi sakiewkami, co na filmy łożą, i panowie reżyserzy; magicy i uwodziciele.

Choć mężczyźni w filmach amerykańskich też byli zawsze wspaniali. Wysoki standard antropologii genetycznej urody przestrzegany jest także w polityce, zwłaszcza przy wyborze prezydenta. Nie przypominam sobie, by amerykański prezydent był kurduplem albo brzydalem: zawsze byli to mężczyźni postawni i z gębami do oglądania. Wprawdzie Nixon czy Truman nie grzeszyli zachęcającą urodą, ale w przeważającej mierze byli to amanci, a tacy jak Kennedy czy Clinton, to daj nam Boże! W dodatku obydwoj byli „psami na kobiety”. Babcie – kraj wielki – a oni

ładni i normalni. Zdaje się, że u nich istnieje niepisana norma estetyczna obowiązująca przy wyborze prezydentów. Może to przejaw ichniej demokracji otwartej na ludzi, a także efekt stabilnych partii, które muszą pamiętać o wyglądzie swoich kandydatów na prezydenta; nie mogą odstraszać wyglądem i, co równie ważne, muszą mieć wdzięk. (To właśnie owa „sympatyczność”, która działa, zanim w TV otworzy się usta. Choć wdzięk nauczyć niepodobna, to jednak na kursach Akademii Obywatelskiej Stowarzyszenia Ordynacka w Katowicach uczy się tej właściwości za 500 złotych.)

Nasze rodzime doświadczenia w tej konkurencji nie są najlepsze. My stoimy na kulturze kartoflanej – do wina czy kukurydzy nam daleko – co może mieć swoje antropologiczne konsekwencje w wyglądzie polityków. Nie sięgając w odległe czasy, a jeno do początku niepodległości, trzeba stwierdzić, że pod tym względem byliśmy w porządku. Piłsudski i Mościcki byli przystojnymi mężczyznami. A nawet bardzo uwarunkowanymi mężczyznami. Piłsudski wyglądał na Naczelnika Państwa, a Mościcki jak na prezydenta I RP przystało.

Po wojnie Bozia jakoś nie dała urody naszym „przywódcom narodu”. Ci komunistyczni, wymoczeni w radzieckich wekach ideologicznych, byli wyżęci z urody. Bolesław Bierut miał coś z gutaperki, a Władysławowi

Gomułce ujawniały się cechy czegoś przesowanego z obejścia wiejskiego. Walega i Kwaśniewski mają swoje urody, ale do Gregory'ego Pecka trochę im zostało.

Za niedługo będziemy wybierać nowego prezydenta i nie chce mi się sobie wyobrazić, co nas czeka. Bo prezydenta trzeba widzieć w amerykańskim Zgromadzeniu Narodowym, w Pałacu Elizejskim, Watykanie czy u królowej angielskiej. Generalnie rzecz ujmując, prezydent nie może robić wrażenia, że pracował w garkuchni przy nie najświetniejszych daniach, i nie może też mieć niecierpliwości przepracowanego ginekologa.

Dlatego, nie wdając się w kolejne poetyckie fantasmagorie, zdaje się, że społeczeństwo nasze wie, o co chodzi, sugerując w rankingach wybór pomiędzy Religą a Lisem. Tu widać także zwaną mądrość narodu. Religa i Lis mają dwie niezaprzeczone przewagi nad innymi konkurentami, które z czasem nabiorą większego znaczenia, także symbolicznego: nie śmierdzą naszym partyjniactwem i wyglądają należycie. Pan Bóg nie poskąpił im urody i zalet duchowych. Są, jeśli idzie o rasę, jak ojciec i syn. Tandem ten ma szansę przyciągnąć elektorat i dobrze go podzielić: starsi głosowaliby na Religę, a młodszy na Lisa. Zwłaszcza kobiety. Ale także ludzie rozsądni i przywoici, którzy chcieliby nareszcie głosować za kims, a nie odwrócić się raz jeszcze od urn i poniechać udziału w życiu obywatelskim.

Na placu boju zostałyby jeszcze Bronisław Wildstein. Ale z nim jest jak z tym czteroletnim chłopcem w Ameryce, który chciał zamienić grę komputerową. Ponieważ był wieczór i matka spała, wziął kluczyki od jej samochodu i pojechał do wypożyczalni. W drodze powrotnej zawadził o dwa parkujące pojazdy, potem zahaczył o wóz policyjny. Policjanci stwierdzili, że nikt nie prowadzi samochodu. Potem odkryli w nim malucha. Uznano jednak, że chłopca nie można karać, bo nie był świadom swojego działania. ■

www.przekroj.pl/kutz



NIE, JESZCZE NIE DZIŚ.
ZA KRÓTKO SIĘ ZNAMY.

Active Events - sportowe show

Active Events Sport to pierwsze profesjonalne targi sportowe, którym towarzyszy niespotykana dotąd liczba imprez towarzyszących. To niepowtarzalny sportowy show dla każdego.

Organizatorzy wyszli z założenia, iż sport to przede wszystkim dobra zabawa. To aktywny, żywy i radosny sposób spędzania wolnego czasu. Stąd pomysł zastosowania nietypowej i oryginalnej formy promocji różnych dziedzin sportu.

Sport jest trendy

Sport jest modny! Potwierdzą to liczne pokazy mody, w tym prezentacje odzieży narciarskiej, kolekcji outdoorowej, plażowej oraz casual. Podczas pokazów zobaczyć będzie można między innymi odzież firm takich jak Bergson, Campus, Fischer, Reebok oraz innych.

Raj dla aktywnych

...energeticznym i żywiołowym. Dla tych, którzy w swoim życiu nie akceptują nudy, zorganizowane zostały dwa dni nieprzerwanych pokazów i prezentacji:

- Fitness Show Mistrzyni Świata Fitness Aleksandry Kobielał
- Pokaz tradycyjnych chińskich sztuk walki Kung Fu w wykonaniu Akademii Tradycyjnego Hung Gar Kung Fu;
- Badminton Show w wykonaniu najlepszych zawodników tej dyscypliny;
- Turniej tenisa stołowego Stiga CUP pokazy najlepszych wykonaniu Mistrzów Polski;
- Bergson Show wspinaczkowy pokaz Tomka Oleksego najlepszych polskich zawodników;
- prezentacja najlepszych samochodów rajdowych prowadzona przez trzykrotnych Mistrzów Polski w Pucharze Peugeot, Adamus Zacharko
- pokazy tańca break dance;
- Pokazy filmów oraz slajdów z najdalszych zakątków świata;
- Basketball Show by Sure Shot Gramet

...to tylko kilka najważniejszych. I naturalnie...

- dla wszystkich zwiedzających konkursy z atrakcyjnymi nagrodami!

Całość poprowadzona będzie w dynamiczny sposób przez aktorów, sportowców i popularnych dziennikarzy.

Zapraszamy!

PRZE
KROJ

RMF

ACTIVE EVENTS
zima 2005

I TARGI SPORTOWE
i niepowtarzalny SHOW



S
P
O
R
T

Warszawa
TORWAR
ul. Łazienkowska 6a

18-20 lutego 2005
ZAPRASZAMY!

www.activeevents.pl



Sponsorzy:



POWERADE



GRAPPOL.pl

Patron główny:



Patroni medialni:



PRZEŁAZ
SPORTOWY



Puls
Biznesu



PODRÓŻE
Magazyn Turystyczny

Men'sHealth

STUDENCKA ŚWIATA GÓRY



SportBiznes.pl

skionline.pl

BusinessPrestige
www.businessprestige.pl

HAJKI BRZOSKI
Hollywood
Ania miała w sobie
Taki Hollywood
Ze jak przyszedł reżyser
To jej od razu całego Makbeta pokazał
Dariusz Brzoska Brzoskiewicz

**KINIO
TEATRZYK**
PRZEMKA JURKA

Rh+
czyli spisek krytyków filmowych

Wstępują: **KRYTYCY FILMOWI**
(persony charakterystyczne się fatalnie niskim morale).

Scena: ciemny pokój, nierozpoznawalne twarze, atmosfera konspiracji.

KRYTYK I: – Panowie, film jest świetny (wszyscy kiwnąją głowami na takt), czyma w napęciu i niepokoi moralnie (pochrzęstwiano), albowiem dobytek ważnego społecznie problemu handlu

narządami (pojędyńcze referaty do toalety), poza tym świetne aktorstwo, Przybylska, Bujakiewicz (oblastne usmiechy), Figurski (atmosfera erotyecznej niejednoznaczności, popłoch).

Niemniej nie możemy ocenić go pozytywnie (stłumione okrzyki), albowiem kienje nam zażadość o cudze sukcesy (szmer dezaprobaty wobec cudzych sukcesów), zwłaszcza komentaryjne (ogólna nerwowość), a poza tym Zamojła zrobił

„Młode wilki” (buczenie, tupanie, gwizdy)!
KRYTYK II: – No, to dwie gwiazdki maksimum. Tylko żeby się niki maksimum. Tylko żeby się niki nie wyłamiał (nieme zapewnienia, że niki się nie wyłamie; krytycy w minutowych odstępach opuszczają salę).

THE END/KURRYNA
(zapada bezszelestnie).

NIEormal Cytaty
Zebrali Nielot Kiwi

„Uroda to nie wszystko. Liczy się wdzięk i wysoka kultura osobista”.
Quasimodo
„Wolę Latynosów”.
Wanda

„Choć dasz krowie kakao, nie wydoisz czekolady”.
E. Wedel



Rys. SWEBER/NEW YORKER

– Myśle, że seks ordalny jest wtedy, gdy blyko o tym mowią.

**TOOOO
TOOOO
TOOOO**

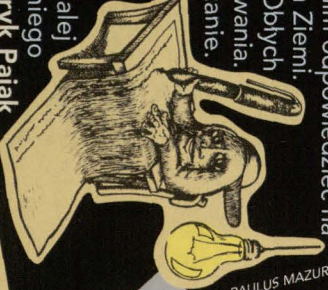


Fot. GETTY/FPM

Rodzina Obłych
Nazwisko i imię

Nauczycielka języka polskiego zadaje całej klasie domowe wypracowanie. Każdy uczeń ma w nim odpowiedzieć na pytanie, kim jest i co robi na Ziemi. Po powrocie do domu syn państwa Obłych od razu zabiera się do wypracowania. – Kim jestem? – powtarza sobie pytanie. – I co robię na Ziemi?

Na kilkunastu kartkach zapisuje wiele razy swoje nazwisko i imię i zasypia bardzo zmęczony tym pisaniem. Budzi się i pisze dalej – najpierw nazwisko, a obok niego imię. **Patryk Pająk**



Rys. PAULUS MAZUR

Historia na zakrętach, Zwiąszcza w ostatnich latach, Rodaków myśli pęta W dzisiejszych dylematach.

Dylemat ten do rana Sen z oczu spędzał tacie; **Czy lepiej być w organach, Czy lepiej w aparacie?**

Zaczęła się odnowa. Dylemat inne przyćmił: **Czy tylko fastrygować, Czy szyć grubymi nićmi?**

Z historią wkrótce ważki Dylemat się przywlece: **Popychać lepiej taczki Czy dopchać się do taczek?**

Å z demokracją taki Dylemat do nas przyszedł: **Czy wcześniej iść do mafii, Czy zdobyć immuniet?**

Dylemat z nowym wiekiem Przybliża się wytrwale: **Czy jeszcze być człowiekiem, Czy już nim nie być wcale?**

Z głowy...
KRZYSZTOFA BILICZY
W walce z zacołaniem wciąż brak postępu.

LAST MINUTE
KRZYSZTOF PYTA
O kolejnym raporcie NIK: – Ile potrwa likwidacja w Warszawie bazaru na Stadionie? – Dziesięciolecia.

Dylematy

Janusz Sipkowski



PRZYCODY STANIĘAWA Z EODZI.

TATO, TATO! DZWOŃMIĄ POPYWIAĆ PİKUSIA!

STO ZŁOTYCH! CHYBA ODSZALELIŚCIE!